



Rumer  
Godden

inspektorze,  
na pomoc!

**RUMER GODDEN**

**inspektorze, na pomoc!**

Przełożyła Jadwiga Olędzka

**ISKRY • WARSZAWA • 1977**

Tytuł oryginału THE GREENGAGE SUMMER

Okładkę projektowała

ZOFIA KONARSKA

Copyright © by Rumer Godden, 1958

Państwowe Wydawnictwo „Iskry”,

Warszawa 1977 r.

Wydanie II.

Nakład 50 000 + 275 egz.

Ark, wyd. 10,4. Ark, druk. 13,75.

Papier druk, sat. IV kl., 70 g, 70/100.

Druk z klisz rozpoczęto w lutym 1977 r.,

ukończono w kwietniu 1977 r.

Zakłady Graficzne w Gdańsku,

ul. Świętojańska 19/23.

Zam. 3370. N-29.

Cena zł 30.–

## Rozdział pierwszy

**P**rzez cały tamten upalny sierpień, który spędziliśmy we Francji, objadaliśmy się renklodami – aż do przejedzenia. My z Joss czułyśmy się winne. Byłyśmy jeszcze w tym wieku, kiedy łakomstwo uważa się za grzech dziecinny, a ten stan rzeczy nadawał mu jakąś cechę beznadziejnej trwałości; wierzyłyśmy do tej pory, że nasze wady będą z wiekiem znikać, tymczasem żadna nie znikła. Hester oczywiście wcale się nie wstydziła. Will – choć wtedy wołało się na niego Willmouse – a więc Willmouse i Vicky byli jeszcze za mali, by sięgnąć wyżej niż do najniższych gałęzi, ale zbierali owoce leżące w trawie. Wszystkim nam zabroniono surowo wdrapywać się na drzewa.

Ogród otaczający hotel „Les Oeillets” dzielił się na trzy części. Najpierw z tarasu schodziło się na wysypane drobnym żwirem ścieżki, rozbiegające się dokoła domu; dalej, za niskim bukszpanowym żywopłotem, był dziki park pełen posągów i starych zarośniętych alejek, a pomiędzy parkiem i rzeką rozciągał się sad otoczony wysokim murem. Niebieska furka w tylnej ścianie prowadziła na brzeg rzeki.

Sad wydawał nam się ogromny i może rzeczywiście był duży. Samych drzew renklodowych rośło tam czternaście rzędów. Wśród nich, nawet w to upalne, skwarne lato, stała na wysokiej trawie przez cały dzień rosa. Drzewa były stare, powyginane, pokryte mchem i porostami, ale smaku ich

owoców nie zapomnę nigdy. W hotelowej jadalni Mauricette układała je we wspaniałe piramidy na deserowych talerzykach wyłożonych liśćmi wina. *Reines Claudes* – mówiła, by nauczyć nas nazwy owocu, i odstawiała osobno talerzyk dla nas, ale byliśmy zanadto objedzeni, by jeść jeszcze więcej. W sadzie nie musieliśmy nawet zrywać renklod – same spadały z drzew w ręce.

Pokrywał je zwłaszcza w cieniu, błękitnawy nalot, w słońcu przez jasnozieloną skórę przeświecał bursztynowy miąższ. W nadpękniętych owocach sok był szczególnie ciepły i słodki. Przyjechalśmy z Southstone, gdzie znaleźliśmy tylko ulice i ogródki przed domami; nigdy dotąd nie mieliśmy możliwości swobodnego buszowania po sadzie, nic więc dziwnego, żeśmy się objadali.

- Letnia choroba – mówiła mademoiselle Zizi.
- Niestrawność – stwierdzała madame Corbet.

Nie wiem, które określenie było lepsze, ale zawsze potem mówiło się o tym lecie w naszej rodzinie „renklodowe lato”

– Powinnaś to opisać – powiedziałam do Joss. – To przytrafiło się przecież przede wszystkim tobie.

Ale Joss odcięła się od tego, jak robi zawsze, odgradzając się od niektórych spraw, to znów pogrążając się w nich i trzymając je w tajemnicy przed innymi.

– To ty lubisz pisać – odrzekła. – A poza tym... – urwała – to wydarzyło się tak samo tobie.

Nie odpowiedziałam. Jestem już dorosła lub prawie dorosła – „i ciągle nie możemy o tym zapomnieć” – jak stwierdziła Joss.

– Większość ludzi może żyć trzydzieści, czterdzieści lat i nie przeżywa takich rzeczy – próbowałam się bronić.

– Większości ludzi takie rzeczy się w ogóle nie zdarzają – orzekła Joss.

Kiedy na chwilę przerywam pracę, którą właśnie wykonuję, lub gdy nie mogąc usnąć w nocy leżę bez ruchu, a do głowy napływają mi różne myśli, wracam tam znowu. Czuję wszystkie zapachy tak charakterystyczne dla „Les Oeillets”: zapach gorącego piasku i chłodnych tynkowanych ścian, jaśminu i bukszpanowych listków nagrzanym słońcem, i rosy na wysokiej trawie; zapach, który wypełniał dom i ogród, gdy monsieur Armand gotował w kuchni, i tak typowy dla samego domu zapach wilgotnej bielizny, politurę meblową i zawsze – leciutki – rur kanalizacyjnych. Słyszę też dźwięki, które zdają się wiązać tylko z „Les Oeillets”: szelest topoli rosnących na dziedzińcu pod murem, kapanie wody z ciekącego w kuchni kranu zmieszane z cienkimi głosami x mówiącymi coś po francusku, głucha odgłos walącego o podłogę ogona Reksa i podobne do tego uderzenia kijanki, którą ktoś prał bieliznę nad rzeką; sapanie płynących pod prąd barek i monotonny śpiew Mauricette, zawsze nucącej przez nos; i krótkie francuskie zdania, rzucane głośno przez Toinette i Nicole z okien na piętrze; i daleki hałas miasta, i bliski plusk ryby w rzece lub miękki stuk spadającej na ziemią renklody.

- Ale z przyjemnością wróciłyście stamtąd – powiedział wuj William.
- My to nigdy naprawdę nie wróciłyśmy – odpowiedziała Joss.

Kiedy ten okres minął, wydawało się dziwne, że my, to znaczy Joss i ja, mamy dalej szesnaście i trzynaście lat, tyle samo, ile miałyśmy w dniu naszego przyjazdu w ów gorący, duszny wieczór na początku sierpnia. Przyjechaliśmy wszyscy: mama, Joss, ja – czyli Cecil – Hester i malcy – Willmouse i Vicky. Była chyba dziewiąta.

– Dlaczego tak późno? – spytała mademoiselle Zizi. – Jest przecież mnóstwo dziennych pociągów.

– Czekaliśmy na Gare de l'Est, aż mama poczuje się lepiej.  
– Ale się nie poczuła – powiedział Willmouse.  
– I przez cały dzień nic nie jedliśmy – dorzuciła Vicky – tylko trochę jakiejś obrzydliwej kiełbasy i chleb.

– I pomarańcze, które mieliśmy ze sobą – dodała Hester, zawsze dokładna. – Dwanaście pomarańczy. Zjedliśmy je w pociągu.

Mademoiselle Zizi wzruszyła ramionami, a ja splonęłam rumieńcem na myśl, że na pewno pomyślała, iż należymy do rodzin, które objadają się w pociągu pomarańczami.

Na stacji nie było taksówek, ale po wielu wysiłkach, czego nie lubię wspominać – cały dzień był zresztą jak zły sen – znaleźliśmy tragarza, który zgodził się zawieźć nasze walizki na ręcznym, wózku.

Zapadał już zmierzch, kiedy nasz mały orszak wyruszył ze stacji. Mężczyźni wracali z połowu rybi kobiety rozmawiały na progach domów i w wypielęgowanych ogródkach, gdzie mieczyki i cynie o dziwnych w półmroku barwach zdawały się unosić w powietrzu za żelaznymi odrodzeniami.

– Francuzi nie mają ogrodów – mawiał wuj William. – Oni tylko hodują kwiaty.

Na ulicach bawiły się dzieci. Willmouse i Vicky wpatrywali się w nie zafascynowani. Pewnie myśleli, że to oni są jedynymi dziećmi na świecie, które przebywają jeszcze o tej porze na ulicy.

Otoczał nas chaos obcego miasta, obcych domów, obcych ulic. Przyglądali nam się ludzie, ale nie zwracaliśmy na to uwagi. Nie zwracaliśmy uwagi na nic; wydawało się, że ciała nasze nie należą do nas, lecz idą oddzielnie, a my unosimy się, jak kwiaty, wśród zmierzchu. Może byliśmy zbyt zmęczeni, by czuć cokolwiek.

Wózek podskakiwał po „kocich łbach”, które – choć nigdy dotąd nie chodziliśmy po nich – wydawały nam się niewątpliwie francuskie. Mama

jęczała cicho, ilekroć tragarz skręcał w następną ulicę. Droga wydawała się długa i zanim doszliśmy do bramy hotelu, w domach pokazały się zapalone lampy, a większość drzwi była już pozamykana. W „Les Oeillets” spuszczano co wieczór o dziewiątej psy i zamykano bramę, zostawiając tylko otwartą furtkę. Wózek nie chciał się w nią zmieścić i musieliśmy czekać – ciągle jakby oderwani od własnych ciał – a tymczasem tragarz nacisnął dzwonek.

Zadzwęczał on donośnie. Rozległo się głuche szczekanie. Nie znaleźliśmy jeszcze wtedy Reksa i Rity, ale wiedzieliśmy, że to szczekanie dużego psa. Dwa głosy uciszyły go – ostry kobiecy i męski lub raczej, jak się wydawało, chłopięcy o męskim brzmieniu; przypuszczenie było słuszne, bo za chwilę ukazał się wysoki chłopak. Miał na sobie fartuch, który białą w mroku, gdy chłopiec zbliżał się ku nam; fartuch trzepotał, pantofle kłapały, a na oczy opadł mu kosmyk włosów, kiedy pochylił się, żeby pociągnąć za rygiel. Przytrzymał otwartą bramę, aby nas przepuścić. Pachniał potem, papierosami i...

– Czy to cebula? – wyszeptalam.

– Nie cebula. Czosnek – odszepnęła Hester. – Nie pamiętasz kielbasy na Gare de l'Est?

Chłopak był brudny, niechlujny, ponury.

A potem weszliśmy do hotelu i Eliot powiedział:

– O Boże! Ochronka!

Potem przeprosił nas za to.

– Ale byliście wszyscy ubrani na szaro – tłumaczył. – Dlaczego byliście tak ubrani?

Hester popatrzyła na niego.

– Widocznie nie był pan dawno w Anglii – powiedziała grzecznie. – To nasze szkolne mundurki.

W Anglii wszyscy – z wyjątkiem Joss – byliśmy z nich dumni. Istnieją



dwa rodzaje rodzin: dla jednych mundurek szkolny to degradacja, poczucie, że jest się takim samym jak wszyscy; dla drugich – to pewne osiągnięcie: mundurek to lepszy, porządniejszy strój niż inne noszone dotychczas. Należeliśmy do drugiej kategorii. Szare ubranko Willmouse'a oraz nasze płaszczki, spódniczki i kapelusze, przepisowe w szkole im. Świętej Heleny, były najlepszym odzieniem, jakie posiadaliśmy, jedynym odpowiednim na podróż.

- Inne dziewczynki mają jeszcze inne stroje – mówiła często Joss.
- Ale nie wuj William płaci za nie – odpowiadała mama.

Oczy Joss ciskały teraz nienawistne spojrzenia na Eliota, choć nie można się było spodziewać, że on wie, kim ona jest. Nasze szkolne kapelusze miały kształt talerzy do zupy. Vicky wyglądała w swoim jak muchomor na dwóch nogach. Kapelusz Joss na jej czarnych, gęstych włosach był za mały i odsłaniał czoło; wyglądała w nim prawie brzydko, a jej plisowana spódniczka była za krótka.

Naturalnie zanim Eliot powiedział o tej ochronce, wydarzyło się bardzo wiele i zjawił się on dopiero później. Ale właśnie Eliota pamiętamy najlepiej z tego pierwszego wieczora. Stał się jego główną postacią.

- Kiedy on przyszedł, już nic potem nie było straszne – powiedziała Hester, ale ja byłam zmuszona dodać:
- Z wyjątkiem tej właśnie strasznej rzeczy.

## Rozdział drugi

**C**o? Tylko dwa paszporty? – wykrzyknęła mademoiselle Zizi, kiedy naza-jutrz rano zaniósłłam nasze paszporty do recepcji.

- Moja siostra Joss ma własny, a my, reszta, jesteśmy na paszporcie mamy – odrzekłam z przykrością, bo słuchał tego boy hotelowy, który nas

wpuścił; wiedzieliśmy już, że ma na imię Paul. Z pogardliwą miną polerował mosiężną kratę i zerkał ukradkiem na paszporty. Twarz jego mówiła wyraźnie, że on nie podróżowałby z matką.

Walczyłam o paszport.

– Dlaczego Joss może mieć, a ja nie?

– Ona ma szesnaście lat – odrzekła mama i dodała: – Zapominasz, jaka jeszcze jesteś młoda.

Pomiędzy każdym z nas a następnym było trzy lata różnicy – tyle zazwyczaj trwały wyprawy ojca – ale my z Joss zawsze byliśmy Duże, a Willmouse i Vicky – Mali. Pośrodku, na ziemi niczyjej, znajdowała się Hester. JossiCecil – to było jedno słowo, choć oznaczało, że niekiedy musiałam być starsza, niżbym wolała. Teraz i ja zostałam usunięta na ziemię niczyją. Rozumiałam tę nieuchronność – trzynaste lat to nie dziecko i nie kobieta jeszcze... – w każdym razie nie uznana za taką, jak teraz Joss. Ale było to bolesne. Oddzielny paszport był publicznym potwierdzeniem jej obecnej pozycji. Zajęła ją całkiem naturalnie, pozostawiając mnie z tyłu, tak jak wyniosła się z sypialni, którą zawsze miałyśmy wspólną, do własnego pokoju.

– Są po temu powody – powiedziała mama w sposób umyślnie wymijający, choć wiedziała, że ja orientuję się doskonale, jakie to powody, i pozwoliła Joss zamienić się na pokój z Willmouse'em, przenosząc go do mnie.

Byłoby bardziej naturalne, gdybym dzieliła sypialnię z Hester, ale nie można jej było rozłączyć z Vicky.

– Widzisz, ja muszę spać z nogą w jej łóżku – powiedziała Hester.

– Wyciągasz nogę i kładziesz do jej łóżka? – spytałam.

– Tak, bo ona inaczej nie uśnie.

– Ale czy ci nie zimno?

– Czasami zimno. – Dodała jeszcze, żebym nic nie mówiła mamie.

Spokój w naszym domu był w dużej mierze zasługą Hester, ale byłam oburzona. Poruszyłam tę sprawę z Vicky.

– W ten sposób wiem, że ona jest blisko – powiedziała, jakby to usprawiedliwiało ten dziwny zwyczaj.

– Ale to brzydko.

– Niech sobie będzie brzydko.

W rodzinie naszej można by przeprowadzić ścisłą linię podziału: po jednej stronie znalazłaby się Hester, Vicky i ja, po drugiej Joss i Willmouse. Nazwisko nasze brzmiało Grey. Wołałabym, żebyśmy się nazywali Shelmerdine albo de Courcy, albo jakoś „z francuska z podwójnym „f”, albo żebyśmy mieli nazwisko składające się z dwóch członów, na przykład Stuvesant-Knox. Ale my nazywaliśmy się po prostu Grey

– To lepsze niż Bullock<sup>1</sup> – powiedziała Joss.

<sup>1</sup> B u l l o c k (ang.) – wól.

Niezupełnie udało nam się tego uniknąć. Wuj William nazywał się Bullock, William John Bullock, i my trzy, Vicky, Hester i ja, byłyśmy tak niewątpliwie w typie Bullocków jak i on: niskie, krępe, rumiane, o oczach koloru niebieskiej ostróżki.

Hester i Vicky nie najgorzej na tym wyszły, bo Bullockowie mieli dorodne dzieci. Jasnowłosa Vicky o jędrnym, perłowym ciałku była urocza. Hester ze swoją różową cerą i loczkami miała swoisty wdzięk. Ale ja, tak jak i wuj William, byłam niewysoka i masywna, miałam jasne mysie włosy i bardzo żywe rumieńce. Nikt nie wyglądał normalniej niż wuj William, a ja pragnęłam mieć wygląd niezwykły. Dlaczego nie urodziłam się podobna do Joss? Dlaczego nie mogłam być Joss? Joss i Willmouse byli ciemni i smukli i mieli skórę barwy kości słoniowej, przy której ich rzęsy i włosy wydawały się jeszcze ciemniejsze.

– Królowna Śnieżka – powiedziała o Joss Hester, a w głosie, jej po raz pierwszy usłyszałam cień zazdrości.

Byli też oboje w jakiś nieuchwytny sposób niezwykli. Willmouse z wyglądu przypominał elfa, a Joss miała oczy kształtu migdału. Stąd właśnie wzięło się jej dziwne imię<sup>2</sup>.

<sup>2</sup> J o s s (ang.) – bożek chiński.

- Bo Chińczycy mają skośne oczy – wyjaśniała sama.
- Przypisuje im się to – poprawił ją ojciec w czasie jednej ze swych wizyt w domu. – Ale większość z nich ma oczy takie same jak my wszyscy.
- Na obrazkach mają skośne – powiedziała Joss, która znała się na malarstwie.

Ona i Willmouse byli w równym stopniu próżni i – zdolni. Joss malowała i poważnie traktowała to zajęcie, a Willmouse miał swoją „pracownię”, według naszego określenia.

Upłynęły lata, zanim przekonaliśmy się, że zamiłowanie jego dotyczyło w rzeczywistości koni, nie strojów. Pudełko z przyborami do szycia, albumy, lalki, które tak martwiły wuja Williama – „Lalki! Duchu Gordona!” – wszystko to ściśle się z tym wiązało. Albumy zawierały zbiór modnych wykrojów, deseni i próbek materiałów. Willmouse miał też nożyczki i szpilki do upinania swoich projektów. „Ja nie szyję – mawiał. – To będzie zrobione w mojej pracowni” – a jego modele, lalki, panna Dawn i Dolores, nie były właściwie lalkami, lecz artystycznymi manekinami z drzewa o ruchomych członkach. Joss dostała je od wuja Williama do pomocy przy malowaniu, ale ku zdziwieniu mamy nie chciała ich tknąć; zaanektował je więc Willmouse. Mama dawała sobie radę z nami, małymi Bullockami, choć często bywałyśmy opryskliwe i uparte.

- To normalne – mówiła.

Ale Joss i Willmouse byli jak dwa łąbędziałka wysiedziane przez nią na naszym spokojnym podwórku.

- Wszystko, co zrobię, to źle – narzekała biedna mama.

Wydawało się, że tak jest istotnie. Kiedy na przykład Joss poskarżyła się na nauczycielkę rysunków ze szkoły Świętej. Heleny, mama zapisała ją na korespondencyjny kurs sztuk plastycznych, co stało się przyczyną pewnych kłopotów.

„Szanowny Panie – pisała Joss do swego nauczyciela. – Posyłam szkic kwiatu dziurawca, o który Pan prosił, i rysunek kobiety – mojej matki – ale

niestety nie udało mi się nigdzie znaleźć nagiego mężczyzny”.

Przy imionach „Willmouse” i „Joss” nawet nazwisko Grey nabierało wytworności. Joanna Grey, William Grey – brzmiało dobrze, natomiast Cecylia czy Wiktoria Grey – nijako, choć Hester Grey pasowało do Hester.

To było zawsze irytujące, a teraz, moim zdaniem, stawało się jeszcze bardziej nie do zniesienia. Bo Joss rozkwitła, jak, mówiono o młodych dziewczynkach, i spostrzegłam, że to właściwe określenie: była jak drzewo lub gałązka, na której każdy pączek rozwija się w kwiat.

Nie chciała już rozbierać się przy mnie, czym się nie martwiłam, bo moje różowe ciało było jeszcze rozpaczliwie płaskie u góry i u dołu, ona natomiast miała już talię tak szczupłą i giętką, że nie mogłam oderwać od niej oczu, zaokrąglone biodra przechodzące w długie, smukłe nogi i piersi, które już napęczniały. Wiedziałam, jak delikatne są i miękkie, bo raz z ciekawości dotknęłam ich, a ona odskoczyła i zwymyślała mnie. Joss z wiekiem stawała się coraz drażliwsza i w swoich wybuchach złości bywała nieraz okrutna. Była też niespokojna, jakby zawsze podniecona, co wydawało się dziwne, bo twarz jej pozostawała pogodna i zamknięta w sobie, nieomal tajemnicza, i tylko delikatne rumieńce na policzkach zdradzały wewnętrzne wzburzenie.

- Czy Joss jest piękna? – pytałam z bólem w sercu.
- Chwilami tak – odpowiadała mama. – Chwilami.

Starłam się rozpaczliwie dotrzymać kroku Joss. Cecil de Courcy, de Haviland, Cecil de Guesclin, Winnington-Withers... Winter. To było piękne nazwisko. Pomyślałam, że gdy zostanę pisarką lub zakonnicą, będę go używała. Cecil Winter, siostra Cecylia Winter. Ale na razie nie byłam jeszcze pisarką ani zakonnicą i nie wiedziałam, czy kiedykolwiek będę jedną lub drugą. Tymczasem przypominałam raczej kameleona przybierającego różne barwy pod wpływem reakcji innych ludzi i kiedy zobaczyłam zaciśnięte się wargi mademoiselle Zizi, wyczytującej nasze imiona z paszportu mamy, zaczerwieniłam się tak jak przedtem, gdy wyszło na jaw, że

jedliśmy pomarańcze w pociągu. Zaledwie mieściliśmy się wszyscy w przeznaczonych na to rubryce.

– Gnałaś przez Francję z tą gromadą dzieci? – zapytał później wuj William.

– Wcałaliśmy nie gnali – odpowiedziała mama. – Jechaliśmy spokojnie pociągiem.

Niekiedy mama nie wydawała się starsza od Hester, a ten paszport z jedną pieczęcią, mimo wszystkich naszych imion, wyglądał jak paszport dziecka.

– *Et votre père?*<sup>1</sup> – spytała madame Corbet.

<sup>1</sup> A wasz ojciec? (fr.)

– Właśnie. Gdzie jest wasz ojciec? – dopytywała się mademoiselle Zizi.

– W Tybecie – odrzekła Hester.

– W T y b e c i e ?

Wolałabym, żeby nie było przy tym Hester, która nigdy nie potrafiła się opanować. Dziwne to było i irytujące, że pragnęłam zawsze, byśmy nie byli przeciętni, ale gdy tylko stawaliśmy się odrobinę nieprzeciętni, czerwieniłam się.

– *Juste ciel!*<sup>2</sup> Cóż on robi w Tybecie? – spytała mademoiselle Zizi.

<sup>2</sup> Boże sprawiedliwy!

– Zrywa kwiaty – powiedziała Hester.

– Z r y w a k w i a t y ! – Mademoiselle Zizi powtórzyła to po francusku, a Paul parsknął krótkim śmiechem, na co pospieszyłam z wyjaśnieniem, które zabrzmiało prawie po francusku:

– *Il est botaniste*<sup>3</sup>. – I dodałam po angielsku, że ojciec bierze udział w wyprawie.

<sup>3</sup> Jest botanikiem.

– Jak zwykle – dorzuciła Hester.

Mademoiselle Zizi i madame Corbet popatrzyły na siebie.

– *Mon Dieu! Mon Dieu! Eh quoi?*<sup>1</sup> – jęknęła madame Corbet.

<sup>1</sup> Boże! Boże! I co teraz?

Zaczęły mówić o nas po francusku, jakbyśmy nie stali obok.

– Nigdy dotąd nie byli we Francji – powiedziała mademoiselle Zizi patrząc na paszporty.

– Byliśmy – zaczęłam gorąco. – Moja siostra Joss urodziła się w Indii. Po prostu stary paszport mamy się skończył...

Ale one nie słuchały.

– I nie mówią po francusku.

To było bolesne, do tej pory bowiem uważałam, że my z Joss, a zwłaszcza ja, mówimy po francusku bardzo dobrze.

– Ty powinnaś umieć – dowodziła Joss. – Uczylaś się przecież dosyć.

Nie było to ładnie z jej strony, bo uczenie się francuskich wierszy stosowano jako karę w szkole Świętej Heleny.

– Nie przejmuj się – szepnęła Hester. – Patrz, jak pomogło ci to, że byłaś niegrzeczna.

Była to z pewnością jedyna rzecz, w której zawsze biłam Joss, a godziny spędzone na wkuwaniu: „*Le temps a laissé son manteau/De vent, de jroidure et de pluie*”, „*Mignonne, allons voir si la rose...*”<sup>2</sup> i wierszy Verlaine'a, które polubiłam, bardzo mi się przydały. Przez cały ten kosztowny dzień byłam w stanie rozumieć, co mówili ludzie wokoło nas, i właściwie to raczej ja bardziej niż Joss dopilotowałam wszystkich tutaj. Mówiłam więc po francusku, ale Paul jakby wiedział, o czym myślę, pociągnął nosem i przejechał po nim palcem, a potem wytarł palec o tył spodni, co brzydko wyglądało.

<sup>2</sup> „Pogoda zrzuciła płaszcz wiatru, chłodu i deszczu”. „Kochanie, zobaczmy, czy róża...”

– Trudno oczekiwać, że my będziemy się o nich troszczyć – mówiła madame Corbet.

– Potrafimy troszczyć się o siebie sami – odrzekłam z godnością – Nie jesteśmy małymi dziećmi.

Mademoiselle Zizi wzięła paszport Joss i rzuciła go na biurko.

– Szesnaście lat – powiedziała. – Dziecko. – I spytała mnie po angielsku: – Czy nie macie żadnych krewnych? Nikogo, kto mógłby tu przyjechać?

Zanim zdążyłam ją powstrzymać, Hester odpowiedziała:

– Wuj William.

Wuj William był bratem mamy, dziesięć lat od niej starszym – „choć wydaje się, że sto” – mawiała Joss. Większość ludzi dorosłych przypomina góry lodowe: widać trzy dziesiąte, a siedem dziesiątych jest zakryte – dlatego wszelki zatarg z nimi jest zaskakująco bolesny. Ale mama była jak dziecko, przejrzyste szczerza i otwarta – „w stosunku do każdego nicponia” – mawiał wuj William.

Zastanawiałam się czasami, czy zaliczał do nicponiów ojca, ale nie powiedział nic takiego, choć przeważnie mówił to, co myślał. „Gdybyś mnie posłuchała...” – to było jego ulubione zdanie. Nie sądzę, by mama posłuchała go, kiedy wychodziła za mąż, niemniej gdy przywiozła Joss z Indii – niemowlęta nie mogą przecież brać udziału w wyprawach – wuj wyjechał po nie i przywiózł je do Southstone.

– I na Belmont Road – stwierdzała z goryczą Joss.

– Dlaczego tak nie znosiliśmy tego miasta? – pytała później. – Nie znaliśmy przecież innego.

Bo nie lubiliśmy i wstydziliśmy się brzydkiego, nędznego domku o kamiennym tynku, szczytach imitujących styl Tudorów i oknach oprawionych w ołów.

– Co za głupota cię szkło na tyle kawałków – mówił Willmouse.

Był to jeden z domów wuja Williama, których miał kilka w Southstone, i łaskawie pozwalał nam w nim mieszkać.



– On jest bardzo dobry – mówiła mama i wzdychała.

Wuj William tracił pieniądze, czas i energię na nas, dzieci, i „słowa – twierdziła Hester – mnóstwo, mnóstwo słów”. Natomiast ojciec zjawiał się rzadko, a gdy przyjeżdżał, zaledwie podnosił wzrok znad swoich zbiorów paproci czy storczyków, by spojrzeć na żonę i dzieci. Myślę, że z trudem odróżniał od siebie malców, my jednak kochaliśmy go i tęskniliśmy za nim, gdy go nie było w domu; biegaliśmy do upadłego, by wypełniać jego polecenia, i byliśmy dumni, że do niego należymy.

– Ja będę się opiekowała wujem Williamem, kiedy będzie stary – obiecywała Hester.

Czy potrzebowaliśmy wuja Williama? Nigdy nie potrafiłam się co do tego zdecydować, jak również osądzić, czy mama była bardzo mądra, czy bardzo niemądra. Na przykład jej postępowanie z Willmouse'em.

– On mówi, że nie będzie tego nosił – powiedziała oddając w szkole jego nową szkolną czapkę.

– No to musi opuścić szkołę – odrzekł dyrektor.

Po naradzie z Willmouse'em oznajmiła:

– Więc on raczej nie będzie chodził do szkoły – i Willmouse przestał chodzić, póki nie dowiedział się o tym wuj William.

– Dlaczego nie mogę iść do szkoły dla dziewczynek? – pytał Willmouse. – One nie chodzą w czapkach i może mógłbym nosić mufkę.

– Duchu Gordona! – jęknął wuj William.

Mufka była z białego futra, podszyta atlasem. Willmouse kupił ją za pieniądze, które dostał od wuja na swoje piąte urodziny.

– Co kupiłeś sobie, chłopcze? Kij do krykieta? Pociąg?

– Mufkę – odpowiedział Willmouse.

– Duchu Gordona! – wykrzyknął wuj William.

Nigdy się nie dowiedzieliśmy, kim był ten Gordon, ale Willmouse często stawał się przyczyną takich powiedzeń wuja, jak „Duchu Gordona!”

lub „Jedyny chłopak wśród nich wszystkich i co to za chłopak!”

Willmouse był jeszcze wtedy mały, nie zdaje mi się, że i my czasem pragnęliśmy mieć wśród nas prawdziwego chłopca.

– Taki jest po prostu Willmouse – mówiła mama. Brała go takim, jaki był, tak jak nas wszystkich, nawet Joss, każde na swój sposób. Może gdyby mogła zajmować się nami sama, nie byłoby narzekań i niegrzeczności.

Myślę teraz, że nasze niezadowolenie wynikało stąd, że nigdy nie czuliśmy się dobrze w Southstone, i że ono właśnie było powodem niegrzecznego zachowania. Jakby wtłoczono nas w formę, do której nie pasowaliśmy. Po pierwsze, byliśmy o wiele biedniejsi od wszystkich znanych nam ludzi, biedni jak na siostrę i siostrzeńców wuja Williama. A ponadto mieliśmy tego stale dziwnie nieobecnego ojca, podczas gdy ojcowie innych dzieci chodzili do biura, jeździli pociągami i należeli do klubu Sussex. Mama także nie była taka jak inne matki, nie wydawała się wcale dorosła. Wyraźnie wolała, przebywać z Vicky, Willmouse'em lub którąkolwiek z nas zamiast grać w brydża, organizować dobroczynne wenty czy pić kawę, herbatę lub jeść lunch z damami z najlepszego southstońskiego towarzystwa. Kiedy któreś z nas – z wyjątkiem Hester, która wszędzie czuła się jak u siebie – szło na podwieczorek do jednego z dużych domów z czerwonej cegły, stojących pośród trawników i laurowych krzewów, ze starannie wysypanymi żwirem podjazdami, czuliśmy się jak intruzi. Byliśmy wyobcowani, należeliśmy do tego świata i równocześnie nie należeliśmy, a wyobcowanie to rzecz bardzo nieprzyjemna. Nie chcieliśmy tu przynależeć, lecz nie przynależąc czuliśmy się do głębi upokorzeni. Wiem teraz, iż nie było to dobre, że mieszkaliśmy w Southstone. Nie czulibyśmy się tak obco w jakimś większym mieście, w Londynie na przykład. – W Londynie – mówiła marząco Joss – można być każdym. Nigdy nie wiadomo, koło kogo się siedzi. Może to być żebrak albo książę.

– Albo złodziej – dodawał wuj William, który miał zdecydowane poglądy na temat Londynu.

– Southstone.. – zaczęłam.

– Czyli miasto, gdzie mieszkacie – uciął wuj William.

– Wszystko to przeciętność, przeciętność, przeciętność – powiedziałam w rozpacz. I tak było. Ani żebracy, ani księżęta. – Po prostu przeciętność.

– Tak urządzony jest świat, drogie dziecko.

– Nie cały świat jest przeciętny – odrzekła Joss.

– W większości jest. Dlaczego wy mielibyście być inni?

Nie umiałyśmy wymyślić żadnego powodu, ale wiedziałyśmy, że jesteśmy inni; mówiło nam to każde uderzenie serca.

– Czy wydestaniemy się kiedykolwiek z Southstone? – pytałam w rozpacz Joss.

A potem byłyśmy znów niegrzeczne dla mamy i zabrała nas do Vieux-Moutiers, do Vieux-Moutiers i „Les Oeilletes”.

Nie wiem, co ją do tego skłoniło. Prawdopodobnie my z Joss byłyśmy bardziej niż zwykle trudne i niezdolne, bo naśladowałam Joss w dręczeniu mamy, dokuczaniu Hester i drażnieniu malców, a także w krytykowaniu wszystkiego; przyłączałam się do tego z przyzwyczajenia i dla zasady.

– Och, mamó, jakaś ty powolna!

– Czy m u s i m y mieć taką wstrętną starą przykrywkę na czajnik do herbaty?

– Czy m u s i s z nosić ten kapelusz?

Myślę, że w tym czasie mama tylko wtedy była szczęśliwa, kiedy przebywała z Willmouse'em i Vicky. Ona i Hester były zbyt do siebie podobne, by wiedzieć, czy im ze sobą dobrze, czy nie; to tak, jakby się próbowało zbadać, czy jest się szczęśliwym we własnej skórze.

- Dla czego bierzesz torbę na sprawunki? – pytała Joss.
- Żeby je w nią włożyć.
- Dla czego Hester ma wyjść w tenisówkach na ulicę?
- Idzie przecież na plażę.

To się stało właśnie na plaży.

Nie wyjeżdżaliśmy nigdzie na wakacje letnie – „ani na żadne ferie” – mówiła z niezadowoleniem Joss – lecz spędzaliśmy długie dni na plaży jak na pikniku.

- Czy musimy tu siedzieć? – spytała Joss.
- Myślałam, że to lubicie – odpowiedziała mama, ale Joss wzruszyła ramionami.

Te nasze pikniki były jeszcze bardziej rodzinne, niż bywają zazwyczaj. Mieliśmy ze sobą koszyki i torby wyposażone w ręczniki i termosy, i okropny aluminiowy pojemnik na jedzenie, przywieziony przez ojca z Indii, który się zawsze rozlatywał na ulicy. Mieliśmy wiaderka i łopatki, i siatki do połowu krewetek, swetry i papierowe torby.

– Zupełnie jak w Święto Bankowe – mówiła Joss. – I czy Hester musi zagadywać do k a ż d e g o ? Co za wrzaskliwy bachor!

Musiałymy nosić stare płócienne sukienki, nazywane przez nas strachami na wróble, spłowiałe i wyplamione.

– Trudno – mówiła mama. – Nie mogę pozwolić, żebyście ubrudziły porządne ubrania oliwą i solą.

– Nie mamy żadnych porządných ubrań – stwierdzała Joss.

Mama była łagodna, lecz tego dnia posunęłyśmy się za daleko. Nie pamiętam już, cośmy zrobiły, ale straciła cierpliwość.

– Jesteście wstrętne egoistki – powiedziała. Kiedy była zła, nie bładła jak Joss; czerwieniała. – Myślicie zawsze tylko o sobie.

Wytrzeszczyłyśmy ze zdumienia oczy. A o kim mamy myśleć?

- Wszyscy mi mówią, że jesteście źle wychowane, i to prawda.
- Ty nas wychowałeś – powiedziała Joss.
- To prawda – odrzekła mama.
- No i co zrobisz? – spytałam najbezcelniejszym tonem, na jaki mogłam się zdobyć. Hester ukradkiem wsunęła rękę w dłoń mamy.
- Zrobię coś.
- Co?

Mama zaczerpnęła głęboki oddech.

- Zawiozę was na pola bitew do Francji.
- Na pola bitew do Francji? – Mówiliśmy jeszcze niegrzecznym tonem, ale brzmiało to już słabo, jak ostatni pojedynczy wystrzał przed poddaniem. – Dlaczego?

– Żebyście zobaczyły, co inni ludzie zrobili dla was – mówiła mama. – I co potrafili poświęcić. Może was to zawstydzi i skłoni do zastanowienia. No i święta Joanna pod słupem na stosie. Zatrzymamy się i obejrzymy miejsce, gdzie została spalona.

- O, mamó! Chyba nic w środku wakacji!
- Wakacje, nie wakacje – powiedziała mama i umilkła.
- E, nie masz dość pieniędzy – rzekła Joss, lecz w głosie jej brzmiał lekki przestrah.
- Wykorzystam pieniądze ze spadku.
- Ale to jest przeznaczone na naukę w college'u.
- To jest college – odrzekła mama. – Wychowanie. Musicie się nauczyć... tego, czego ja was nauczyć nie potrafię – dokończyła, a głos jej zadrżał.

Nie pytała wuja o radę. Poszła do pana Stillbothama.

Pan Stillbotham, podstarzały teozof, mieszkał na Belmont Road i o ile nam było wiadomo, był jedynym człowiekiem z tej ulicy, który podróżował. O ojcu nie można przecież powiedzieć, że mieszkał na Belmont Road. Pan Stillbotham spędzał zimy w południowej Francji. Podziwialiśmy go

zawsze z tego powodu i uważaliśmy, że jest dystygowany – ze swymi srebrnymi włosami, muszkami, pince-nez i koszulami w niebieskie i białe prążki. Podobał nam się także sposób, w jaki odnosił się do nas, pełen kurtuazji i podziwu – zwłaszcza w stosunku do Joss.

„Stoi na niepewnych nóżkach, gdzie do rzeczki wpływa strużka” – deklamował, gdy ją zobaczył. W sumie wydawał się człowiekiem odpowiednim do udzielania nam rad i pochwaliliśmy ten pomysł.

– Chce pani odwiedzić swoich poległych? – spytał, gdy mama powiedziała mu o tych polach bitew. – Oni nie są umarli, lecz ży...

Ale mamie dla celu naszej tam wizyty potrzebne było, żeby byli umarli, przerwała więc krótko:

– Wie pan może o jakimś niedrogim hotelu, położonym w pobliżu cmentarzy?

– „Les Oeilletts” w Vieux-Moutiers. – Wtedy po raz pierwszy usłyszeliśmy tę nazwę. – Na stacji jest pełno taksówek.

Święta Joanna została ponoć spalona w Rouen.

– Ale może pani przerwać tam podróż, jeśli pojedziecie przez Newhaven-Dieppe, co będzie nawet taniej – powiedział pan Stillbotham. – Albo jeśli pani woli, możecie spędzić popołudnie w Paryżu.

Popołudnie w Paryżu! Święta Joanna nie miała już najmniejszych szans.

– Zobaczą Luwr – powiedziała Joss. – Monę Lisę. Uskrzydłone zwycięstwo.

– A ja obejrzę sklepy – oznajmił Willmouse. Jak zawsze, gdy był poruszony, zbladł.

– Pamiętacie te ciastka z poziomkami, które przywiózł raz tatuś? – spytała Vicky. – One były z Paryża – dodała tonem pełnym szacunku.

My z Hester, jak zawsze, byliśmy o wiele bardziej przeciętne. Ona byłaby zadowolona mogąc kupować karty pocztowe i robiąc zdjęcia

swoim małym aparatem fotograficznym, a ja, kameleon, towarzyszyłabym wszystkim kolejno.

– W ten sposób będziecie mieli więcej przyjemności – powiedziała mama.

Byliśmy wszyscy w równym stopniu podnieceni.

– Jeśli zechcecie mnie posłuchać... – zaczął wuj William, ale nikt nie słuchał.

– Bardzo dobrze – rzekł wuj. – Nie proście mnie o pomoc, jak wpadniecie w kłopoty.

– Nie będziemy potrzebowali żadnej pomocy – odrzekła mama z godnością. Lecz w przeddzień naszego wyjazdu, ugryzł ją w nogę giez koński.

– Wszystkiemu winien ten mały giez – powiedziała Hester.

Kiedy w pociągu za Dieppe mama spuściła pończochę, noga była spuchnięta, a skóra na niej czerwono-zielono-niebieska.

– To chyba siniak – powiedziała Hester. – Posiniaczyłaś sobie nogę? Całą? – spytała z powątpiewaniem.

Mama potrząsnęła głową. Grzebała w torebce, jakby nie potrafiła opanować ruchów rąk, i drżała, choć była rozpalona.

– Jesteś chora – powiedziała Joss tonem oskarżycielskim, a mama nie mogła temu zaprzeczyć.

W sumie był to dzień przerażający i pełen rozczarowań. Z okien pociągu Francja nie różniła się wiele od Anglii, jej koloryt – jak z obrazów Constable'a i Petera Rabbita – był kolorytem, w którym wychowaliśmy się, a w Paryżu nie zobaczyliśmy Luwru ani sklepów, ani nie jedliśmy ciastek z poziomkami. Nie kupiliśmy ani jednej kartki, nie zrobiliśmy ani jednego zdjęcia. Czekaliśmy, aż mama poczuje się lepiej. Bileterka w granatowych spodniach i czarnym szydełkowym szalu podeszła i popatrzyła na nas, ale byliśmy zbyt nieśmiali, by odezwać się do niej.

– Dlaczego nie poszłicie do Cooka? Albo do Lunna? Albo do American

Express? Każde z tych towarzystw pomogłoby wam.

Wuj William pytał nas potem często o to, ale my z Joss miałyśmy tylko jedno na myśli: dowieźć mamę, malców, Hester, siebie i nasze walizki do „Les Oeillets” w Vieux-Moutiers.

Był jakiś pociąg o siódmej. Pamiętam, że poszłam do wagonu restauracyjnego i kupiłam bułki i kiełbasę. Nie wiedziałam, co innego kupić, a Joss nie chciała iść.

- Przecież jesteś najstarsza – powiedziałam.
- Ty mówisz najlepiej po francusku – odrzekła bezlitośnie.

Zbiliśmy się w gromadkę jak stado i powąchaliśmy kiełbasę. Nie znaleźliśmy dotąd zapachu czosnku. Oddaliśmy kiełbasę bileterce; zjedliśmy suche bułki.

Pamiętam, że gdy Vicky dotknęła nogi mamy, mama krzyknęła i zagryzła wargi.

– Nie martwcie się – powiedziała po chwili. – Człowiek nie bywa doświadczany ciężiej, niż znieść może. – Ale znów musiała zagryźć wargi z bólu. Pamiętam także, że Willmouse zniknął.

– *Il est parti voir les locos*<sup>1</sup> – powiedziała bileterka, ale on poszedł obejrzeć w kiosku nowy numer „Vogue”, nie parowozy.

<sup>1</sup> Poszedł obejrzeć parowozy.

Nie pamiętam pociągu, tylko to, że pan Stillbotham nie miał racji, bo na stacji nie było taksówek. Musieliśmy wziąć tragarza z ręcznym wózkiem.

– Ale mama nie może chodzić – powiedziała Hester.  
– Musi. – Stałyśmy się straszliwie twarde i nieczułe. Ujęłyśmy ją pod rękę. Jęczała i potykała się. Hester płakała. Na koniec dotarliśmy do bramy.

Tragarz zadzwonił i czekaliśmy. Odsunęłam się od reszty. Nagle wyrażenie i ostro uświadomiłam sobie bliskość ogrodu; ostro, bo odcinał mnie



od nich wszystkich. Przez bramę mogłam dojrzeć dziedziniec wysypywany żwirem, a pośrodku kwadrat trawnika przed domem. Ścieżki z boku wiodły między drzewa. Było już prawie ciemno, drzewa majaczyły niewyraźnie, szarozielone na tle ściany, ciemny ogród tonął w głębokim cieniu. Rozlegał się nieustannie cichy szeleszczący dźwięk – nie wiedziałam wtedy, że to szelest liści francuskich topoli. Zabrzmiał jakiś senny ptasi krzyk. Odpowiedział mu głos sowy, ten dziwny nocny głos, który rozpoznałam, choć nie słyszałam go nigdy przedtem.

Czułam zapach skoszonej trawy i tuż obok siebie woń jakiegoś kwiatu, mocną i słodką; białego kwiatu, jak mi się zdawało, jaśminu lub może syringi. Po pobycie w mieście i jeździe pociągiem skórę miałam suchą jak popiół. Chłodny powiew mile chłodził mi twarz. Przepęniało mnie uczucie spokoju. Wszystkie lęki i rzeczy nieznanne, które przyniósł ten dzień, zdawały się oddalać i znikać. To był hotel „Les Deillets”, rzeczywistość, nie miraż, który towarzyszył nam w czasie podróży. Przybyliśmy na miejsce.

- *L'hôtel n'accepte pas les malades* – powiedziała madame Corbet.
- Czy to znaczy, że ona nie przyjmuje chorych? – spytała Joss.
- Chyba tak.

Recepcja w „Les Oeillets” mieściła się nie opodal schodów; trudno było nazwać to małe pomieszczenie pokojem. Schody wiodły na półpiętro z podestem i kilkorgiem drzwi. Recepcja była jakby przedłużeniem tego podestu; oddzielały ją od niego mosiężna krata i kontuar. Za kontuarem było tylko miejsce na kasę, tablicę na klucze z przegródkami na listy i biurko madame Corbet z telefonem i księgami rachunkowymi. Teraz my wszyscy, Joss, Hester, Willmouse, Vicky i ja staliśmy przed tą kratą. Oczywiście Willmouse'a znajdowały się dokładnie na poziomie kontuaru; co do Vicky

– wystawał ponad niego tylko czubek jej kapelusza.

Klatka schodowa, wyłożona boazerią w kolorze bladezielonym, była ja-  
koś dziwnie podziurawiona, nie traciła jednak przez to swej wytworności.  
Hall był równie wytworny. Dziwne, że my, którzy nigdy dotąd nie widzieli-  
śmy prawdziwej elegancji, choć było to nasze ulubione słowo, natychmiast  
ją rozpoznaliśmy – wszyscy z wyjątkiem Hester.

– Tu nie jest tak jak w „Metropolu” czy „Cavendish” – powiedziała z  
żalem.

Były to duże hotele przy pięknej spacerowej alei w Southstone, ale mnie  
instynktownie ten podobał się bardziej. Schody wznosząc się na piętro two-  
rzyły wdzięczną linię. Poręcz była z ciemno politurowanego drzewa, słupki  
balustrady cienkie i białe. W połowie schodów znajdowało się okrągłe  
okno, przez które widać było drzewa, a na ścianie wisiały kryształowe lam-  
py w tym samym rodzaju co żyrandol w hallu. Patrzyliśmy na niego zdumie-  
niami; w żadnym domu nie widzieliśmy nigdy żyrandola. Hall miał marmu-  
rową posadzkę w kwadraty. Połączone krzesła krył spleśniały brokat. Pod  
ścianami stały cztery małe stoliki.

– To tylko połówki stolików – powiedział zdumiony Willmouse.

Nigdy jeszcze nie widzieliśmy też konsolek.

W tym hallu nasze fibrowe walizki wyglądały nędznie. Reszta bagażu  
była jeszcze bardziej pospolita: koszyk, torba, w której mieliśmy pomarań-  
cze, owinięte w pakunkowy papier kalosze malców, nieporządnny stos płasz-  
czy nieprzemakalnych ze zwisającymi paskami. I wszyscy dzwigaliśmy  
swoje skarby. Rysownica i przymocowane do niej drewniane pudełko z  
farbami Joss wyglądały oczywiście porządnie i schludnie Hester miała  
aparat fotograficzny. Willmouse – albumy z wycinkami i pudełko z przybo-  
rami do szycia, zapakowane razem z pannami Dawn i Dolores. Vicky trzy-  
mała w koszyczku Nabuchodonozora. Nabuchodonozor była to świnka

z kartofla, z nogami i oczkami z zapalek. Vicky wykonała ją w szkole i odtąd stale nosiła z sobą, choć świnka zaczynała się już trochę kurczyć.

– Jak się całkiem skurczy, to go zjem – zapowiedziała Vicky.

Mama, siedząca na krześle, miała kapelusz zsunięty na bok, a żakiet nowego kostiumu krzywo zapięty. Przechyliła głowę na oparcie krzesła i przymknęła oczy. Twarz jej była teraz tak samo w plamy jak noga. Wszyscy byliśmy wymiętoszeni, brudni, nieporządnie ubrani. Hester i Vicky miały na policzkach smugi z kurzu i łez. Skarpetki im opadały, a buciki mieliśmy wszyscy zakurzone. Zdawałam sobie dobrze sprawę, że nie byliśmy rodziną, która mogłaby stanowić ozdobę jakiegokolwiek hotelu.

– Mam nadzieję, że przyjdzie tu doktor i zabierze naszą mamę do szpitala – powiedziała po angielsku Joss.

– *L'hôtel n'accepte pas les enfants seuls.*

– Ona nie przyjmie dzieci samych.

– Ale jeżeli j e s t e ś m y sami? – spytała Hester.

Madame Corbet siedziała za kratą pośród rozłożonych wokół niej ksiąg. W ten ciepły wieczór ubrana była w czarną, zapiętą wysoko pod szyję bluzkę; na ramionach miała czarny szydełkowy szal z frędzlami, na palcu poplamiony celuloidowy ochraniacz, jej twarz była także w żółte plamy. Włosy zwinięte w dwa czarne zwoje tworzyły kok na czubku głowy, gęsty zaś ciemny wąsik nad górną wargą przyciągał nieustannie uwagę Willmouse'a, który próbował go dojrzeć nad kontuarem. Przez cały czas gdy rozmawialiśmy, przyglądał mu się badawczo.

Joss była w rozpaczy. Widziałam to po jej bladej twarzy i rozszerzonych oczach. Trzymała starą pakowną torbę mamy, która w jej rękach wyglądała dziwnie.

– *S'il vous plaît, aidez-nous*<sup>1</sup> – powiedziała.

<sup>1</sup> Proszę, niech nam pani pomoże.

Wiedziałam, jak trudno jej się było upokorzyć. Ale madame Corbet wzruszyła tylko ramionami, wprawiając w ruch swój kok i frędzle szala.

– *Et qu'est-ce que je peux y faire, moi? Je ne suis pas la patronne. Je suis madame Corbet, c'est tout*<sup>1</sup>. – Powiedziała to tak, jakby fakt, że jest się madame Corbet, był czymś uwłaczającym.

<sup>1</sup> A co ja mogę zrobić? Nie jestem właścicielką. Jestem tylko madam Corbet.

– Jeśli to nie pani hotel, to gdzie jest... – Joss zerknęła na kartkę, którą dał nam pan Stillbotham. – Gdzie jest mademoiselle de Presle?

– *Mademoiselle Zizi? Elle va diner au château de Mery*<sup>2</sup>.

<sup>2</sup> Jedzie na obiad do zamku de Méry.

Popatrzyłyśmy z Joss na siebie. Czy ona mówiła o obiedzie poza domem? W Southstone jedliśmy kolację o siódmej. Teraz była już blisko dziesiąta.

– *Au château de Mery* – powtórzyła z naciskiem madame Corbet.

Pokojówka, która pomogła nam wnieść bagaże i która czekała na schodach, wzniosła oczy w górę i przeżegnała się. To było aroganckie. Madame Corbet dodała ostro:

– *Y sont des amis...*

– *Amis* to znaczy przyjaciele – wyjaśniłam Hester. – Mademoiselle de Presle jedzie do dużego domu, *château*, czyli zamku – do swoich przyjaciół.

– *Des amis à monsieur Eliot...* – wtrąciła pokojówka.

Dłaczego słowa „do przyjaciół pana Eliota” wyrzekła tak znacząco?

Madame Corbet zignorowała ją. Powiedziała do nas:

– Podobno ma tam być dzisiaj minister przemysłu i handlu.

A więc ona umie po angielsku, pomyślałam.

- Nie możemy się zobaczyć z mademoiselle de Presle? – spytała Joss.
- Oczywiście że nie.
- No to co mamy zrobić?

Madame Corbet wzruszyła ramionami.

– *Vous feriez bien d'aller au commissariat. Oui, allez au commissariat.*<sup>1</sup>

<sup>1</sup> Powinniście iść do komisariatu. Tak, Idźcie do komisariatu.

*Commissariat?* Co to takiego? Popatrzyłyśmy na siebie, zaintrygowane.

– Policja – powiedział boy hotelowy Paul ze swego miejsca na podestę. – Idźcie na policję.

Twarz Joss spurpurowiała, jakby madame Corbet wymierzyła jej policzek.

– Chodźcie! – powiedziała do nas.

Odeszliśmy od kontuaru i ruszyliśmy przez hall za Joss, obchodząc dwa duże alzackie owczarki, które uniosły na chwilę ciemne kudłate łby; jeden zamachał ogonem. Był to pierwszy przyjazny odruch, jaki nas spotkał w „Les Oeillets”. Może to zawstydziło madame Corbet.

– *Vous pouvez laisser les bagages*<sup>2</sup> – powiedziała.

<sup>2</sup> Możecie zostawić bagaże.

– Nie, dziękujemy pani – odrzekła Joss.

Był to odruch dumy, ale niepraktyczny. Tragarz już poszedł i nie miałam pojęcia, jak poradzimy sobie z mamą i malcami. W tym momencie psy wstały i zamachały gwałtownie ogonami patrząc w stronę białych drzwi na półpiętrze. Drzwi te otworzyły się i na progu stanęły mademoiselle Zizi i Eliot.

Po raz pierwszy zobaczyliśmy kogoś we fraku. Wuj William miał oczywiście smoking, ale nasza wyobraźnia nie sięgała dalej. Mówię o fraku, bo patrzyliśmy na Eliota. Teraz wydaje się to dziwne, że ujrawszy mężczyznę i kobietę w strojach wieczorowych, patrzyliśmy przede wszystkim na

mężczyznę, lecz tak właśnie było. Hester przez chwilę z trudem chwyciła oddech.

– Czy byłeś kiedyś marynarzem? – spytała potem Eliota Joss. Wiedziałam, o co jej chodziło. Był wysoki, szczupły, smagły, jak marynarze na obrazkach w pismach ilustrowanych. W kącikach jego oczu widniały nawet zmarszczki, jakby mrużył je patrząc w słońce. – Byłeś marynarzem?

– Może – odparł Eliot.

– Nie wiesz? – spytała z niedowierzaniem Hester.

– Wiem, że byłem żołnierzem, druciarzem, krawcem, marynarzem, bogaczem, biedakiem... – zaczął wyliczać, lecz Hester przerwała mu:

– Nie mogłeś być wszystkim.

– Ale chyba byłem – powiedział Eliot.

Uznaliśmy za rzecz naturalną, że miał niebieskie oczy. Włosy jego były kasztanowate, z lekka przyprószone siwizną. Miał dziwnie wystające kości policzkowe – „po mojej chińskiej babce” – zapewniał nas uroczyście. Wierzyliśmy mu i do dziś wydaje mi się, że ręce i stopy miał tak małe, że mógł być pochodzenia wschodniego.

– Pochodzę od Dżengis-chana – oznajmił, a Hester spytała:

– Kto to był Dżengis-chan?

– Straszny Tatar – odpowiedział Eliot gładząc jej włosy.

Jego ubrania były tak nienaganne – lubiłam to słowo i nauczyłam go Willmouse'a – że wyglądały, jakby je dopiero co kupił.

– I tak też było – powiedziała potem Hester. – Biedny Eliot! Nigdy nie mógł mieć długo jednego ubrania.

– Jak to?

– Tak sam powiedział. „Szkoda! Lubię tę kurtkę. Przykro mi ją zostawić”. To była ta w kratkę. Oczywiście myślał głośno. Nie wiedział, że ja słucham. Toinette zawsze opowiada, że on ma wciąż nowe koszule i pizamy.

Tamtego wieczora był przy orderach.

– Własnych? – Wuj William zawsze w to powątpiewał, ale my odpowiedzieliśmy z oburzeniem:

– Oczywiście że własnych.

W butonierce miał ciemnoczerwony goździk i ten goździk stał się dla nas symbolem Eliota. Dlaczego kwiaty, kupione przez mężczyznę są o tyle bardziej godne uwagi niż te, które kupują kobiety? Nie wiem, ale tak jest. Ojciec przywoził do domu zasuszone, brunatne, sprasowane kwiaty, w których nie było już życia. Ale kwiat Eliota był żywy; czuliśmy jego mocny, uderzający do głowy zapach.

Za Eliotem szła mademoiselle Zizi. Gdy spojrzeliśmy na nią, oniemieliśmy ze wstydu, bo była... „naga” – szepnęła Hester. Miała odsłonięte ramiona i szyję „i z przodu, i z tyłu” – dorzuciła z ociąganiem Hester. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, jacy z nas mali purytanie, póki nie zobaczyliśmy mademoiselle Zizi.

Osobiście uważałam, że jest bardzo piękna z ciężkim węzłem ciemnorudych włosów i oczami, które wydawały się prawie za duże – jak słoneczniki. Były niebieskawe – „n a p o w i e k a c h”, zauważyła zdumiona Hester – a wargi miała mademoiselle Zizi bardzo czerwone. Skąpo okrywająca ją suknia była z czarnej gazy.

Spostrzegłam, że Willmouse przygląda się tej toalecie z początku krytycznie, a potem z zachwytem.

– To dopiero suknia! – wyszeptał. – I co za zapach!

– Czy to ta pani tak pachnie? – spytała Vicky. Bo silny zapach wypełnił hall, gdy tylko znalazła się tam mademoiselle Zizi.

Zeszli po schodach z podestu i zatrzymali się na nasz widok. To wtedy Eliot powiedział:

– O Boże! Ochronka!

Joss była taka zła, że nie spostrzegła, iż mówił po angielsku.

– Niech się pan nie martwi – odcięła się zjadliwie – nie zostaniemy

tutaj. – A do nas powiedziała ostro: – Chodźcie! Najpierw odniesiemy rzeczy, a potem wrócimy po mamę.

Przeszła obok Eliota i ruszyła ku drzwiom, trzymając pod pachą swoje malarskie przybory. Wzięła dwie walizki. Vicky, niosąc Nabuchodonozora w koszyku, uchwyciła się jednej z nich. My, reszta, szliśmy za nimi lojalnie, potykając się z lekka. Paul podszedł, by otworzyć drzwi, ale w tym momencie Eliot wystąpił naprzód.

- Dokąd idziecie o Jak późnej porze?
- Na policję. – Joss miała nozdrza ściśnięte ze złości.
- Na policję? A to z jakiego powodu?
- Z powodu was, F r a n c u z ó w – odparła z furią.
- Nie jestem Francuzem, tylko Anglikiem – powiedział Eliot.

Mama musiała usłyszeć to słowo.

- Proszę... – jęknęła.

Eliot popatrzył na nią i twarz mu się zmieniła.

- Zizi, ona jest chora – powiedział.

Podszedł szybkim krokiem do mamy, pochylił się i wziął ją za rękę szukając pulsu i zadając jej jakieś pytania, ale mama nie powiedziała już nic więcej. Głowa jej opadła na oparcie krzesła.

- Ona jest bardzo chora, Zizi – powiedział Eliot. – Musimy im pomóc.
- A... nasz obiad... – mówiła po angielsku dobrze i szybko.
- Mimo to.
- Spóźnimy się!
- Mimo to. – Brzmiało to jak rozkaz. – Irène! – zawołał do madame

Corbet. – Zadzwoń po doktora Giroux. – A Mauricette polecił: – Otwórz pokoje!

Usłyszałam, że madame Corbet podnosi słuchawkę telefonu. Pokojówka ze wzruszeniem ramion podeszła do tablicy z kluczami. Paul wziął walizki od, Joss. Tylko mademoiselle Zizi stała wciąż w tym samym miejscu,



u stóp schodów, unosząc ręką swą piękną suknię.

### Rozdział trzeci

**O**budzenie się po raz pierwszy w nowym miejscu to jakby powtórne narodziny. Dla mnie było to może jeszcze bardziej zdumiewające niż dla większości ludzi, bo jak daleko sięgałam pamięcią, budziłam się co rano w tym samym pokoju na Belmont Road, w typowo angielskiej sypialni o splowiałych szaroniebieskich tapetach. Wzrok mój napotykał zawsze te same białe firanki i niebieskie linoleum na podłodze, brązowy dywan, tak miejscami wytarty, że przeświecał na biało, żelazne białe lakierowane łóżka, puchowe deseniowe kołdry i obrazki – oprawione ryciny ze starych dodatków do „Illustrated London News”. Wuj William i mama mieli jeszcze jako dzieci te obrazki w swoim pokoju, ale Joss zdjęła je i zamiast nich powiesiła malowidła chińskie, które zabrała potem przeniósłszy się do pokoju Willmouse'a, a ja wtedy znów powiesiłam te stare ryciny.

– Cecil jest sentymentalna – stwierdziła Joss.

We wczesne ranki leżałam w tym pokoju na pół śpiąc, to znów budząc się. Słyszałam i rozpoznawałam wszystkie codzienne poranne odgłosy: stuk kopyt kuczka ciągnącego wózek mleczarki, szybkie kroki gazeciarza, głu-chy szelest gazety spadającej do hallu przez szparę w drzwiach, kroki listonosza – choć rzadko przynosił coś dla nas – świergot wróbla, bicie zegara na ratuszu miejskim, drobne, szybkie jak u wiewiórki kroczone mamy, gdy zbiegała na dół, by wysunąć szyber i nagrzać wodę na kąpiel dla nas.

Tego ranka obudził mnie wysoki, czysty, ostro urywany dźwięk. Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że to głosy ptaków. Pokój wypełniało przyćmione światło; sufit był wysoko, a ściany daleko, bo pokój był duży.

Dojrzałam górny brzeg zielonej zasłony, a potem spostrzegłam, że zasłony sięgają od sufitu do podłogi z gładkich błyszczących desek, nie przykrytych dywanem. Znajdowałam się w ogromnym łóżku, a obok mnie leżał Willmouse.

Spaliśmy bez poduszek. Z niewiadomych przyczyn na łóżkach nie było ani jednej, a my byliśmy zbyt nieśmiali, by o nie poprosić; poza tym słowo *oreiller* było trudne do wymówienia. Pamiętam, jak zdziwiliśmy się znalazłszy potem poduszki w „szafie. Nigdy nie dowiedziałam się, dlaczego Toinette tam właśnie je chowała.

Prześcieradło wydawało się suche i gorące, płócienny zaś materiał, z którego je uszyto, jakby łamliwy. Zwiesiłam nogi nad krawędzią łóżka, zsunęłam się na podłogę i po zimnych deskach przeszłam w kierunku okna. Po chwili zorientowałam się, w jaki sposób podnosi się rolety, i odsłoniłam okno.

Patrząc na wierzchołki drzew. Z początku myślałam, że dom jest nimi obsadzony, lecz potem spostrzegłam, że to tylko jedna topola pod oknem, wypełniająca pokój szelestem swoich liści, a za nią jeszcze jakieś duże drzewo, które wydało mi się podobne do wierzby, choć nie wiedziałam, że wierzby mogą wyrastać tak wysoko. Poprzez jej zwisające gałęzie widziałam zwarte rzędy drzew owocowych; niektóre z nich ugięły się od owoców. Może pod wrażeniem tego pierwszego widoku myślałam zawsze o ogrodzie w „Les Oeilletts” jak o czymś zielonym, zielonym i złotym jak cała tamta okolica nad Marną, gdzie poza miastem ciągnęły się milami wzdłuż rzeki winnice i wiśniowe sady, bo była to też kraina wiśni, słynna z likierów wiśniowych. Mama myślała o polach bitew, a nie przyszło jej do głowy zapytać o samo otoczenie. Jestem pewna, że nie leżało w jej zamiarach przywozić nas do tego bogatego i żyznego zakątka Francji, gdzie drzewa i winorośle zmieniały się niemal symbolicznie na jesieni w złoto.

Nie mieliśmy tego oglądać i nie miałam o tym pojęcia stojąc w otwartym oknie, a jednak ogród dawał mi jakiś przedsmak tej zielonobursztynowej pory i nastroju spowitej w mgły okolicy otaczającej miasto. Nie mogłam go dojrzeć za drzewami; widziałam jedynie zarysy domów i stoku wzgórza, na którym stała jakaś budowla, zniszczony zamek, czyli *château*, z wałami obronnymi i wieżą. Żółto-białe domy piętrzyły się poniżej wałów; domyślałam się, że sięgają w dół do rzeki, bo słyszałam sapanie jakiegoś statku. Dochodziło ono z tak bliska, iż wydawało mi się, że rzeka musi płynąć po drugiej stronie sadu.

Nasze pokoje znajdowały się na drugim piętrze i patrząc prosto w dół widziałam żelazne schodki ze spiralną poręczą prowadzące z ciągnącego się wzdłuż domu tarasu do ogrodu, który zdawał się składać ze żwirowanych ścieżek i niewielkich kwiatnych rabat. Miałam się dopiero dowiedzieć, że milczący, zawsze w złym humorze ogrodnik Robert spędzał cały dzień na zagrabianiu żwiru i pieleniu klombów. Pośrodku znajdował się krągły gazon z żelazną urną, w której posadzone były pelargonie; mniejsze kwiatne rabaty po bokach nawet w tym wczesnym porannym świetle odcinały się jaskrawymi barwami. Przypomniało mi to ogród na obrazku w jednej z naszych francuskich gramatyk, starannie utrzymany i brzydki; lecz niski bukszpanowy żywopłot ogarniał jeszcze gęszcz krzewów, trawy i drzew, bambusów i araukarii, w splotach pnączy i róż. Wśród tego wszystkiego wiły się zarośnięte ścieżki, a gdzieniegdzie połyskiwały białe posągi; niektóre z nich były poobtłukiwane, jeden leżał przewrócony na bok. Za tym dzikim parkiem był sad otoczony wysokim murem z niebieską furtką. Gdy patrzyłam na nią, na rzece zagwizdała przepływająca barka.

W ogrodzie było jasno, ale to wczesne, bezsłoneczne jeszcze światło plamiła zielen krzewów i drzew. Ogarnął mnie znów taki sam spokój, jaki odczuwałam stojąc przed bramą hotelu. Mogłabym gwizdać jak ptak, tak

dobrze, radośnie się czułam. Gdy tak stałam w piżamie patrząc w dół, po żelaznych schodkach zszedł jakiś stary mężczyzna. Miał siwe włosy i siwą bródkę; z góry wydawał się prawie kwadratowy. Ubrany był w niebieskie płócienne spodnie, białą kurtkę i beret – mężczyźni w beretach wydawali mi się zawsze niesamowici. Niósł różne rzeczy: coś, co przypominało sztalugi na wysokich nogach, składany stołeczek, skrzynkę i otwarty biały parasol, taki, jakie ludzie rozstawiali przed kabinami kąpielowymi na plaży w Southstone. Wyglądało na to, że się spieszy; obserwowałam, jak biegnie po wysypanej żwirem ścieżce i znika w gąszczu ogrodu; mignął mi jeszcze wśród drzew owocowych, a potem zobaczyłam, że stoi już daleko przy niebieskiej furtce, gdzie musiał położyć na ziemi wszystkie swoje rzeczy, by ją otworzyć.

– To był monsieur Joubert – wyjaśnił Eliot, kiedy zapytałam go o tego mężczyznę. – Wyszedł złapać pierwsze ranne światło.

– Kto to jest monsieur Joubert?

– Malarz.

Malarz! Ta wiadomość na pewno zrobiłaby przyjemność Joss.

– Bardzo sławny malarz – powiedziała mademoiselle Zizi. – Nawet taka głupiutka angielska dziewczynka powinna była słyszeć o Marku Joubert.

– Nie wyglądał wcale na sławnego malarza – broniłam się. – Był śmiesznie ubrany i wyglądał... – Starłam się jakoś opisać jego pośpiech. – ...jakby był niespokojny.

– I prawdopodobnie był niespokojny – rzekł Eliot. – Takie światło trwa tylko przez krótką chwilę. Według mego przekonania – pamiętam, że ton Eliota brzmiał prowokująco, jakby posiadanie przekonania było czymś niezwykłym – jak tylko ktoś wyjdzie rano na dwór, ono zaraz się psuje, chyba że tym kimś jest monsieur Joubert albo – potoczył po nas zamyślnym wzrokiem – może dzieci.

- Tak bardzo lubisz dzieci? – spytała mademoiselle Zizi.
- Nie znam właściwie żadnych dzieci – odrzekł Eliot.

Przyglądałam się teraz Joubertowi nie wiedząc, jak się nazywa. Niebieska furtka zamknęła się z dalekim, głuchym trzaskiem, a ja usłyszałam inny odgłos, blisko, i już wiedziałam, co mnie obudziło. To Joss w sąsiednim pokoiku – który wybrała, choć przeznaczono go dla Willmouse'a – wymiotowała.

– Nerwy – mawiała mama w takich razach, lecz wuj William uważał, że to sprawy żółciowe. Prawdopodobnie oboje mieli rację. Ataki te zdarzały się w najbardziej nieodpowiednich momentach. Kiedy to usłyszałam, dzień wydał mi się z góry przesądzony; wiedziałam, że będzie trudny, przerażający i prawdopodobnie pełen upokorzeń, a Joss nie nadawała się teraz do niczego. Weszłam do jej pokoju. Wiedziałam, co zastanę: zbierało jej się na wymioty, cerę miała dziwnego zielonożółtego koloru, oczy zdawały się pękać z bólu. Teraz będzie musiała całymi dniami leżeć w ciemnym pokoju i wszystko spadnie na mnie.

- Może to ta zupa – powiedziałam podtrzymując jej głowę.
- Ja... nie... jadłam zupy.

Wiedziałam, że choć mówiąc to wymiotowała, poczuła się obrażona. To mi przypomniało, że i ja jestem obrażona. Mauricette przyniosła na tacy zupę w miseczkach, kiedy wpakowano nas już do łóżek – Joss i mnie razem z Hester, Willmouse'em i Vicky.

– A my przecież nie jesteśmy Hester, Willmouse'em i Vicky – powiedziała Joss.

– Przepraszam. Popełniłem błąd – rzekł Eliot, kiedy mu to wytknęłam. Joss nie chciała nawet wspomnieć o tym. – Musicie pamiętać, że wszyscy straciliśmy trochę głowę. – Eliot potrafił być czarujący; uśmiechnął się do Joss i położył rękę na jej ręce. – Nie przebaczysz mi?

- Nie – odrzekła i cofnęła rękę.

– Czy mam iść po mamę? – spytałam teraz Joss.  
– Nie bądź głupia. W jej pokoju jest zakonnica.  
– Z a k o n n i c a ? – Ogarnęła mnie przesądna trwoga. – To ona...  
umiera?

– Nie bądź głupia. – Zabrzmiało to już jednak słabiej.– Bardzo wiele pielęgniarek szpitalnych to zakonnice, zwłaszcza we Francji.

– Skąd wiesz?

– Ta madame powiedziała mi... Weszłam tam wczoraj wieczorem. – Odsunęła się od umywalki i opadła na łóżko; nie mogła mówić dalej. Po chwili mdłości chwyciły ją znowu. Podtrzymawałam ją, a gdy to minęło, Joss leżała na wznak z zamkniętymi oczami i spoconą twarzą. Na umywalni stała ciężka porcelanowa miednica i dzbanek; nie widać było wiadra, tylko dziwny przedmiot przypominający emaliowaną wanienkę do mycia nóg albo wannę dla lalek, na nóżkach, trochę za płytką. Nigdy dotąd nie widziałyśmy bidetu. – Gdybyś zdobyła jakąś miednicę albo wiaderko – wyszeptała Joss – mogłabym nie wstawać.

– Skąd? – spytałam przerażona.

– Z dołu. Musi tam coś być. Idź i zobacz.

– W cudzym domu?

– To nie jest dom, tylko hotel.

– A jeśli kogoś spotkam...

– Możesz poprosić, żeby ci dali.

Wzdrygnęłam się na to, ale musiałam iść.

– Jak jest po francusku „wiadro”? – spytałam.

Schody trzeszczały, gdy schodziłam na dół, choć skradałam się ostrożnie. Pamiętam, jak zdziwiłam się na widok dziur po pociskach; w świetle dziennym ujrzałam liczne ich ślady na bladej zielonej farbie.

– Oczywiście, że postrzelali schody z karabinów maszynowych – wyjaśniała mademoiselle Zizi.

– I to ciągle są te ślady? – dziwili się goście.

- Jak państwo widzą – uśmiechała się z dumą mademoiselle Zizi.
- Gdyby to był mój dom – powiedziała Joss – kazałabym zaraz te dziury zalepić.

Zeszłam na dół ostrożnie w obawie przed psami, lecz gdy je ujrzałam, poczułam się tchórzem. Leżały w hallu na swoich posłaniach, uwiązane na łańcuchach. Wiedziały, że jestem gościem przyjętym poprzedniego wieczora; podniosły łby i poruszyły ogonami.

Obawiałam się też, że madame Corbet może siedzieć w recepcji, ale kracja była zamknięta, kontuar czysty, a hall pusty. Na prawo od niego znajdował się duży pokój z barem w środku, a od strony ogrodu było tam coś w rodzaju oranżerii, skąd oszklone drzwi prowadziły na taras. W tym dużym pokoju stały żelazne stoliki i krzesła pomalowane na zielono, Wieszaki i naczynia z miedzianą obwódką, wypełnione piaskiem – na niedopałki papierosów. Bar przykryty był białym zakurzonym prześcieradłem. Po lewej stronie hallu znajdowały się drzwi z napisem „Restauracja”. Drzwi w głębi, zawieszane zasłoną z białej tkaniny, prowadziły, jak mi się zdawało, do kuchni.

Kiedy je pchnęłam, znalazłam się w bardzo małej przestrzeni. Na końcu krótkiego korytarzyka stał stół zastawiony wazonami do kwiatów i miseczkami. Wzięłam jedną z nich i za nim jeszcze drzwi przestały się kotłować, wróciłam do hallu i pogłaskałam psy. Odwróciłam się ku schodom, kiedy białe drzwi na podeście otworzyły się i wyszedł z nich mężczyzna. Miał na sobie jedwabny wzorzysty szlafrok – jak aktor, pomyślałam – skórkowe ranne pantofle i palił papierosa. Był to Eliot.

Zatrzymaliśmy się nagle oboje. Wiedziałam, jak muszę wyglądać, owinięta w płaszcz deszczowy, spod którego widać było pizamę w białe i niebieskie paski, z bosymi nogami i włosami związanymi z tyłu niebieską wstążką, jakbym była małą dziewczynką. Ale patrząc na niego zapomniałam o swoim wyglądzie. Bo to był inny Eliot niż ten uprzejmy Anglik

z wczorajszego wieczora. Ktoś zimny i... bez skrupułów, pomyślałam. To dziwne słowo przyszło mi do głowy, choć nie wiedziałam dobrze, co to są „skrupuły”.

– Oczy Eliota nie są niebieskie – mówiła potem Hester. – Są szarozielone jak kamyki.

Stojąc teraz tuż przy nim na schodach zobaczyłam, że ma oczy szare, a wyraz ich jest chłodny i gniewny.

– Co ty tu robisz?

Pokazałam miseczkę.

– Moja siostra Joss jest chora.

– Boże! Te dzieci! – powiedział. Wyciągnął rękę poza siebie i zamknął drzwi opierając się o nie. Potem stał się uprzejmiejszy. – Przejadła się? – spytał, ale ja, pamiętając o wrażliwości Joss, zesztyniałam.

– Moja siostra nie jest taka – odrzekłam i weszłam na górę.

W dzień czy dwa później, kiedy z jakiegoś powodu potrzebny nam był Eliot, powiedziałam: „pójdę po niego” i przeszłam przez hall kierując się ku białym drzwiom.

– Dokąd idziesz? – spytała Hester.

– Do jego pokoju.

– To nie jest pokój Eliota, tylko mademoiselle Zizi – powiedziała Hester.

## Rozdział czwarty

**K**to wpuścił tego mężczyznę do mego pokoju? – spytała Joss. Było to po podwieczorku tego pierwszego niezwykłego dnia – „tylko że to nie był żaden podwieczorek” – powiedziała Vicky; nie wiedzieliśmy jeszcze, jak wygląda francuski dziecienny *goûter* – a więc po tym, co miało być tym podwieczorkiem, Eliot spojrział na nas siedzących smutnie wokoło stołu w



barze i spytał:

– Czy tu nikogo z was nie brakuje?

A potem poprosił, żebym go zaprowadziła na górę do Joss.

Przez cały czas, gdy on był w pokoju, leżała sztywno na wznak; włosy jej rozsypane były na poduszce, a w półmroku – bo rolety spuszczone – wymęczona twarzyczka wydawała się mała jak twarzyczka karzełka. Można by jej przypisać każdy wiek, a on zachowywał się tak swobodnie jak z kimś w wieku Vicky.

– Czy dziewczynka już zdrowsza?

Odpowiadała mu monosylabami.

– Tak.

– Głowa do góry! Niedługo wyzdrowiejesz.

– Tak.

– Czy ci czegoś nie trzeba? Możesz dostać wszystko, co zechcesz.

– Nie.

Wydaje mi się, że Eliot nie bardzo wiedział, co zrobić.

– Nie martwisz się chyba bardzo o mamę? Opiekujemy się nią.

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Po chwili wyszedł, a Joss uniosła się na poduszce.

– Kto go tu wpuścił?

– Ja...

– Jak śmiałaś?

– Ale przecież... on się nami opiekuje.

– Opie... – Popatrzyła na mnie ze zdumieniem. – Kto tak powiedział?

– Mama. Prosiła go o to.

– Zawsze była idiotką! – stwierdziła Joss.

Znowu chwyciły ją mdłości. Czekałam, a ona z nieszczęśliwą miną wymiotowała do miseczki stojącej przy łóżku. Na koniec położyła się wyczerpana, a ja, jak zwykle ze znużeniem, przyniosłam ręcznik i osuszyłam

jej twarz i ręce z potu, a potem wytarłam mocno. Wiedziałam, że ją to boli, bo się krzywiła; gdy tylko mogła przemówić, wykrztusiła:

– Musisz... powiedzieć o tym mamie...

Stałam przy łóżku z ręcznikiem w ręku i próbowałam odchrząknąć. Miałam takie uczucie, jakby mi w gardle siedziała żaba.

– Joss, nie mogę powiedzieć mamie – odezwałam się w końcu. – Za... zabrali ją do szpitala.

Joss czuła się zbyt źle, by dowiedzieć się, jak jest naprawdę, ale to był dzień jakby rozdarty: rozdarty między „Les Oeillets” a Belmont Road.

Gdy tylko się ubrałam, poszłam i zapukałam delikatnie do drzwi pokoju mamy, które się zaraz otworzyły. Joss miała rację: była tam zakonnica, ubrana na biało, w czarnym welonie, przepasana sznurem, z krzyżem na piersi. Nigdy dotąd nie widziałam z bliska zakonnicy, przyglądałam jej się więc zaskoczona. Położyła palec na ustach i potrząsnęła głową. Zdrętwiała ze strachu, wycofałam się na palcach.

Potem przyszły Hester i Vicky prosząc o śniadanie.

– Nie ma żadnego śniadania – powiedziałam drżąc, ale one upierały się, że na dole jest na pewno dużo jedzenia; w końcu musiałam pójść z nimi i poszukać jadalni. Willmouse już tam był. W tym dużym pokoju starałam się być tak opanowana i obyta, jak życzyłyby sobie Joss, ale koło mnie rozbrzmiewał donośny, pewny siebie głosik Hester, a Vicky uporczywie domagała się jedzenia; była uparta jak typowa Angielka.

– Ja chcę śniadanie – powtarzała.

Dałam jej kawę i rogalik.

– To nie jest śniadanie – powiedziała. – Ja chcę jajko.

– We Francji nie dostaniesz na śniadanie jajek.

– Oczywiście, że dostaniesz – wmieszał się Eliot. – Wiele ludzi prosi o jajka. – Dodał, że nie powinnam być podróżującą snobką, ale byłam nie tylko podróżującą snobką, ale i snobką swego pokolenia.

Vicky naturalnie była nie do wytrzymania; jak zwykle postawiła na swoim i musiałam poprosić nie tylko o jajko, ale i o mleko jak dla małego dziecka, i o dżem.

Przyniósł to wszystko Paul. Prędko przekonałam się, że Mauricette rzadko się fatygowwała, by nas obsługiwać. Paul rozmyślnie postawił mleko i dżem przede mną.

– *Essuie-toi l'bec avec ta bavette* – powiedział.

Nie domyślałam się, że znaczy to: „Wytrzyj buzię w śliniaczek”, póki nie poszłam na górę i nie znalazłam słowa „*bavette*” w naszym kieszonkowym Larousse'ie. Wiedziałam jednak, że to coś uwłaczającego, i popatrzyłam surowo na tego Paula.

Był to wysoki, chudy, niechlujny chłopak, ubrany w niebieskie płócienne spodnie i podartą koszulę. Miał też na sobie biały fartuch i te same co ubiegłego wieczoru szarobiałe pantofle – nie nauczyliśmy się jeszcze, że nazywają się *espadrilles*. Rękawy jego koszuli były podwinęte; łokcie wydawały się ostre jak noże, a gdy się odwrócił, widać było sterczące łopatki. Miał proste, gładkie jasne włosy z opadającym na czoło kosmykiem i zapadnięte policzki. Nie wiedziałam wtedy nic o Paulu, ale choć byłam beztrojska i głupiutka, twarz jego zaniepokoiła mnie. Przyjechaliśmy oglądać pola bitew, a ta twarz była jakąś ich częścią, choć nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy.

Kim był Paul? Nikt tego nie wiedział. Nawet jego imię mogło pasować do niemal każdej narodowości; to jedno z nielicznych, które prawie nie zmieniają wymowy w różnych językach. Paul mógłby być Anglikiem, Niemcem, Francuzem, Austriakiem, Rosjaninem. Matka jego, powiedziała z pogardą madame Corbet, „chodziła z żołnierzami”.

– Gdzie chodziła? – spytała Hester, ale nikt na to nie odpowiedział.

– Nasz ojciec jest botanikiem – powiedziała Hester do Paula. – A czym jest twój?

– *Un troufion* – odparł chłopiec, a gdy patrzyłyśmy na niego zaintrygowane, zaczął udawać, że maszeruje i salutuje.

– A! Żołnierzem! – wykrzyknęłam.

– Jak się nazywał? – spytała Hester, ale ten ojciec nie miał, zdaje się, żadnego nazwiska. Pewnego dnia Paul powiedział:

– *J'avais une petite soeur.*

– Siostrzyczkę? – Hester zaczynała już wtedy rozumieć po francusku.

– *Une mulâtre* – wyjaśnił Paul beztrzesko, a widząc, że i tego nie rozumiemy, dodał: – *Une négresse* – i pokazał połówkę na palcu.

– Murzynkę? Ależ ty nie jesteś Mulat, jak to określiłeś – powiedziałyśmy zaskoczone i spytałyśmy: – Gdzie jest ta twoja siostrzyczka?

Paul wzruszył ramionami.

– Nie wiesz?

Potrząsnął głową.

– *Elle a disparu.*

Hester spojrzała na mnie pytająco.

– Zniknęła – wyjaśniłam.

– Czy to znaczy, że umarła? – spytała. Próbowałam się dowiedzieć.

– *Morte?* – zapytałam ze współczuciem.

– *Perdue* – odrzekł Paul. – Fiut! – i zrobił gest, jakby coś od siebie odrzucał.

– Przecież nie gubi się sióstr.

Milczenie Paula mówiło jasno, że owszem. Byłyśmy oszołomione.

Znaleziony został w obozie amerykańskim, który zlikwidowano; żołnierze też go przedtem znaleźli i byli dla niego dobrzy. Kiedy wrócili do domu, do Ameryki, jego oddano do przytułku, Hôtel-Dieu.

– Do hotelu Boga? – spytała Hester. – To tam powinno być dobrze.

Ale madame Corbet powiedziała, że w przytułku umieszcza się starych, czekających na śmierć ludzi, wariatów i bezdomne dzieci z ulicy.

– To chyba niesłuszne – powiedziała z powątpiewaniem Hester.

– A gdzie mają się podziąć w takim małym jak to miasteczku? – spytała madame Corbet. Nie wydawała się poruszona. Dodała jeszcze, że Paul był niegrzeczny i uciekł; policja sprowadziła go z powrotem, a „mademoiselle Zizi w swojej dobroci pozwoliła mu tu pracować”.

Nie wydawało się to taką znów wielką dobrocią. Jak mieliśmy się przekonać, Paul pracował od szóstej rano – lub wcześniej, gdy mieli przyjechać goście na śniadanie – do północy – lub później, jeśli był wystawny obiad. Jedzenia miał dość – jak każdy, kto znajdował się w pobliżu szefa kuchni, monsieur Armada – ale spał w schowku pod schodami, gdzie nie było nawet okna; na gołych deskach położony miał siennik, a na nim brudną poduszkę i koldrę, jak pies.

– To wszystko nie był jeszcze powód, żeby mnie atakować – powiedziałam potem, ale chyba był. Myślę teraz, że nasz nieoczekiwany przyjazd i opieka, jaką nas otoczono, sprawiły Paulowi nie znany przedtem ból; zwłaszcza kiedy była przy nim Joss, każda tłusta plama, każdy złamany czarny paznokieć rzucały się w oczy, a zapach, w którym żył, nie zauważając go, zatruwał powietrze.

Tego pierwszego ranka nie wiedzieliśmy nic o tym wszystkim. Popatrzyłam na niego z góry, a potem chłodno odwróciłam wzrok. Joss zrobiła by to lepiej, ale ja nie potrafiłam zdobyć się na nic więcej. Posmarowałam rogalik Vicky dżemem i nalałam jej filiżankę mleka. Potem, naśladując grubego Francuza siedzącego na rogu stołu, umoczyłam mój rogalik w czarnej gorzkiej kawie i zjadłam go. Smakowało to okropnie, ale przynajmniej zrobione zostało na sposób francuski.

Po śniadaniu wysłałam Hester, Willmouse'a i Vicky do ogrodu. Obserwowałam, jak biegali po ścieżkach w sadzie i nogi świerzbiły mnie, żeby zrobić to samo. Mimo że miałam już kilkanaście lat, czułam potrzebę biegania, gonienia się i przewracania, jak źrebak. Ale patrzył na mnie Paul. Poza tym wobec choroby mamy i Joss czułam na sobie ciężar odpowiedzialności, niczym wuj William. Wysłałam na taras i stanęłam na szczycie żelaznych schodków, trzymając się poręczy nagrzaną już słońcem.

Nie mogłam czuć się długo wujem Williamem. Wokół mnie rozbrzmiewały dźwięki tego pierwszego prawdziwie francuskiego ranka. Nad sobą słyszałam głosy dwóch rozmawiających kobiet. Z okna pokoju Joss, wychodzącego nie tak jak nasze na ogród, ale na drogę, widziałam chwilę przedtem, jak kobiety te weszły przez bramę. Były to najmowane na dzień pokojówki, które teraz wyrzucały na piętrze materace na parapety, wymachiwały szczotkami i ścierkami. Jedna wołała z okna do drugiej: „*Toinette, la clef du quatorze!*”<sup>1</sup>, a tamta odkrzykiwała: „*En bas, Nicole, sur le tableau!*”<sup>2</sup> Dlaczego mnie to zachwycało? Nie wiem, ale byłam zachwycona. Szum lejącej się z kranu wody dochodził z pomieszczenia, które jak się domyślałam, było kuchnią, bo dobiegał stamtąd brzęk porcelany i gruby męski głos wykrzykujący rozkazy.

<sup>1</sup> Klucz od czternastki!

<sup>2</sup> Na dole... na tablicy!

W jadalni Mauricette nuciała pod nosem:

*Je l'ai tellement dans la peau,*

*C'est mon homme.*

*Que j'en suis marteau,*

*C'est... mon... homme.*

W recepcji stukła maszyna do pisania. Popatrzyłam na ogród, na zielone krople rosy w dzikim parku i sadzie, na zamglone słońce nad nimi i nie

mogłam wytrzymać dłużej w domu. Zeszłam wolno ze schodów, przeszłam przez zwirowany podjazd, mijając klomby, i przelazłam przez dziurę w żywopłocie. Brodząc po rosie, z głową w słońcu, weszłam w sad i prawie nie wiedząc, co robię, wyciągnęłam rękę do góry i dotknęłam renklody. Spadła mi w dłoń, ciepła i gładka. Obejrzałam się szybko, ale nikt nie podszedł, nie rozległ się żaden karcący głos, więc po chwili zagłębiłam zęby w dojrzałym, złocistym owocu. Potem zjadłam drugą i następną, i jeszcze jedną, aż wreszcie nasycona i pełna zachwytu, wróciłam na swój posternek.

Nie było śladu medemoiselle Zizi, ale po chwili wyszedł z domu Eliot. Był daleki i nieprzystępny. Skąd wiedziałam już wtedy, że miewa on takie momenty? Nie wiem. Ale pierwsza zjedzona renkloda była jakby rajskim jabłkiem mądrości – stałam się nagle starsza, mądrzejsza i nie śmiałam się do niego odezwać. Minął mnie, jakbym nie istniała, i wyszedł na słońce. Ubrany był w płócienne spodnie i granatową koszulę, rozpiętą pod szyją. Mauricette wybiegła z domu niosąc dla niego leżak, ale odprawił ją szorstko. Jakie to cudowne umieć traktować kogoś tak samo szorstko po francusku jak po angielsku! Mój entuzjazm nagle zgasł. Ogarnęło mnie przygnębienie. Jacyż my byliśmy nieciekawi, o ileż staliśmy niżej! Nasza rodzina nigdy nigdzie nie podróżowała i o niczym nie miała pojęcia.

Po chwili wyszedł z domu Paul i ruchem dużego palca wskazał mi, że mam iść do recepcji. Madame Corbet posłała mnie po nasze paszporty i to wtedy Hester wyrwała się z tym wujem Williamem.

„Monsieur William John Bullock” – zapisała mademoiselle Zizi na kawałku papieru; potem otworzyła kratę, opuściła klapę kontuaru i wyszła. Pobiegła na górę, a obcasy jej stukały głośno, kiedy przechodziła przez podest zniżając do pokoju mamy. Serce we mnie zamarło. Z oburzeniem odepchnęłam Hester i też pobiegłam na górę.

Mama była uwięziona w łóżku; nad jej chorą nogą stało coś w rodzaju

klatki. Leżała na wznak, oczy jej błędziły gdzieś poza zakonnica i mademoiselle Zizi. Zobaczywszy mnie w drzwiach, skinęła ręką. Prześliźnięłam się z tyłu łóżka i uklękłam. Mama schwyciła mnie kurczowo za rękę i wyszeptła tak niewyraźnie, że ledwo ją zrozumiałam:

– Sprowadź tu tego Anglika.

Mademoiselle Zizi miała dobry słuch.

– Nie! Nie waż się tego robić! – krzyknęła, ale ja się już wymknęłam.

Kiedy Eliot przyszedł, przekonałam się, jaki jest naprawdę dobry.

– Nie dobry – powiedziała Hester, która była bardzo dokładna. – Życzliwy. – To istotnie wydawało się bliższe prawdy.

Wszedł. Wydawał się bardzo wysoki w pokoju, gdzie znajdowały się same kobiety.

– *Mais Eliot, je t'en prie...*<sup>1</sup>

– Czekał, Zizi.

<sup>1</sup> Ale, Eliot, ja cię proszę...

Pochylił się nad mamą, która chwyciła go za rękę. Wiedziałam, jak gorące były jej ręce, bo i mnie dotknęła; oczy miała pełne bólu.

– Czy mógłbym coś zrobić dla pani? – zapytał Eliot.

– Niech im pan nie pozwoli... – mówiła tym samym niewyraźnym szeptem. – ...niech im pan nie pozwoli...

– Eliot, to nie twoja sprawa.

– Proszę cię, Zizi. – Pochylił się niżej. – Na co im nie pozwolić?

Mama wyglądała nieraz prawie tak jak Hester.

– Niech im pan nie pozwoli sprowadzić Williama.

Spostrzegłam, że drgnęły mu wargi.

– Ale...

– On powie: „A mówiłem..” – szeptała mama.

– Rozumiem – powiedział Eliot. – Tak. Rozumiem.

– Ależ ją trzeba oddać do szpitala! – wykrzyknęła mademoiselle



Zizi. – *Bon Dieu! Et si elle allait mourir?*<sup>1</sup> – Mówiła tak szybko, że nie wszystko rozumiałam; Eliot słuchając tego potoku francuszczyzny trzymał mamę za rękę. – Dlaczego on się zgodził? Taki człowiek? – spytał potem Wuj William. – To zupełnie do niego nie pasowało.

<sup>1</sup> Boże! A gdyby umarła?

– Może Eliot miał też kiedyś wuja Williama – szepnęła mi poufnie Joss.

– Ale co ja powiem Irène? – pytała mademoiselle Zizi.

Zdaje mi się, że oni mówili czasem między sobą po angielsku, kiedy nie chcieli, by służba ich rozumiała, ale nieraz mieszała dwa języki – jedno pytało po angielsku, a drugie odpowiadało po francusku lub na odwrót.

– Co mam powiedzieć Irène?

– Że ulokujesz po dwoje w pojedynczych pokojach, a opłatę pobierzesz podwójną.

– Żartujesz sobie ze mnie, Eliot.

– Nie żartuję. Wygłaszam proroctwo.

– A czy oni mogą płacić? – spytała. – Nie wygląda na to, żeby mieli czym.

– Jeśli nie będą mogli płacić, ja zapłacę.

– Masz tak dużo pieniędzy?

Nie odpowiedział.

– Przychodzą i rozchodzą się – rzekł po chwili. Potem rozległ się odgłos pocałunku. Eliot dodał jeszcze coś, coś dziwnego i... nie bardzo miłego, pomyślałam. – Te dzieci mogą być użyteczne.

– W jaki sposób?

– Ludzie przestaną gadać.

– Niech sobie gadają – odrzekła mademoiselle Zizi.

– Nie bądź głupia. To małe miasteczko i musisz w nim żyć. Dzieci będą pretekstem dla mojego tu pobytu. Ostatecznie opiekuję się teraz nimi. Będą zasłoną dymną.

Nie podobało mi się, że mamy być zastaną dymną, ale co do tych pokoi to Eliot miał rację. Hester i Vicky spały w dwóch końcach pojedynczego łóżka, a Joss w garderobie, którą trudno było uznać za pokój sypialny. Nie wolno nam było korzystać z łazienek, a jedyna przeznaczona dla nas ubikacja, którą nazywaliśmy „dziurą”, znajdowała się w kącie obok schodów; nie było tam postumentu ani sedesu, tylko dziura w podłodze i dwa wgłębienia na nogi. *A la turque*, mówił o tym Paul. Było to urządzenie niewygodne dla kogoś tak małego jak Vicky, a dla dużych dziewczynek wręcz haniebne.

– I śmierdzi stąd aż na schodach – mówiła Hester.

Madame Corbet wliczała w nasz rachunek ręczniki i mydło. Kiedy tego pierwszego ranka podeszłam do biurka prosząc o trochę wody z sokiem cytrynowym dla Joss, madame Corbet miała w swojej księdze dwie strony ponumerowane cyframi 15, 16 i 16A i widniało tam już kilka pozycji wpisanych jej cienkim, pajęczym pismem. Cytryna została też natychmiast wciągnięta.

Po południu w barze urzędował Paul. Madame Corbet zawołała go i kazała mu przynieść tę wodę z cytryną.

– *Alors vous restez?* – spytał przyglądając mi się.

– Tak, zostajemy – odrzekłam chłodno. I dodałam złośliwie po francusku, postanowiłam bowiem mówić tym językiem do Paula, iż mam nadzieję, że mu to nie będzie przeszkadzało.

Wzruszył ramionami, a ruch ten był u niego nieopisanie obraźliwy.

– *Les enfants trouvés, y faut b'en s'en occuper, hein?*<sup>1</sup> – mruknął i odwrócił się, by wziąć z biurka kwitek na cytrynę, zanim poda mi szklankę.

<sup>1</sup> Dziećmi opuszczonymi trzeba się opiekować.

„Dzieci opuszczone”. To znaczy „znajdy”, pomyślałam. Znajdy! Paul przechodząc szarpnął mnie za włosy. Pozostaliśmy w hallu sami, nie było nikogo kto by mi przypomniał, że jestem już duża, prawie dorosła. Nagle poczułam, że mam tego Paula absolutnie dość. Pobiegłam za nim i z całej

siły uderzyłam go w szczękę.

Był tak zaskoczony, że o mało się nie przewrócił. Lemoniada popłynęła strugą po podłodze. Paul pośliznął się, a fartuch mu się rozwiązał, gdy schwycił za słupek wspierający poręcz schodów; trzymając się go, pochyłony do przodu, popatrzył na mnie. Kosmyk włosów opadł mu niżej na oczy, które błyszczały jak u zwierzęcia.

- Ach tak – powiedział.
- Tak – odrzekłam.

Podszedł do mnie, ale ja miałam się na baczności. Paul był wysoki, lecz chudy i niezgrabny, ja zaś należałam do rodziny Bullocków – silnych i mocno zbudowanych. Uderzyłam go jeszcze raz w piersi, a wtedy ręce jego zaczęły mnie młócić jak cepy, aż się przewróciłam. W jednej chwili znaleźliśmy się oboje na podłodze, tarzając się i drapiąc nawzajem. Pamiętam, że Paul walił moją głową o marmurową posadzkę; potem usłyszeliśmy krzyk madame Corbet i nadbiegli inni ludzie. Ujrzałam nogi Mauricette, jej czarną spódniczkę i fartuszek z falbankami, a potem oślepiła mnie własna krew, gdy wpiłam palce w gardło Paula. W końcu rozdzielono nas, chwyciwszy jak kociaki za kark.

Zrobił to szef kuchni. Poczulałam zapach tłuszczu, którym przesycony był jego biały strój, i poprzez łzy, idiotycznie ciekące mi z oczu, dojrzałam ze zdumieniem jego tłuste policzki, czarne, lśniące wąsy i wysoką białą czapkę.

– Puść ich – zabrzmiał głos Eliota i kucharz cisnął nas – znowu jak kociaki.

Staliśmy pośród nich wszystkich, oddychając ciężko i rzucając sobie pełne wściekłości spojrzenia. Mauricette przytknęła mi serwetkę do nosa, ale madame Corbet wyrwała mi ją. Eliot przyglądał nam się ubawiony i podał mi swoją chustkę. Było mi bardzo wstyd.

Myślałam, że powie coś w tym stylu, że jestem już dużą dziewczynką czy nawet panną, ale nie powiedział. Przypuszczam, że dla niego byliśmy

dwoma młodymi zwierzątkami.

– Na drugi raz bijcie się w ogrodzie – powiedział. – To jest dom przyzwoitej pani. – I dodał po francusku do Paula: – *Vous êtes ici chez une dame comme il faut*<sup>1</sup>.

<sup>1</sup> Jesteś tu u przyzwoitej pani.

Paul mruknął coś ordynarnie.

– *Chez une dame comme il faut* – powtórzył Eliot. Ton jego był tak stanowczy, że Paul stanął wyprostowany. – *Et vous vous tiendrez comme il faut*<sup>2</sup>.

<sup>2</sup> I masz się zachowywać przyzwoicie.

Pod wieczór tegoż dnia spotkałam Paula powtórnie. O zmierzchu zieleń ogrodu nasyciała się, intensywniejszym światłem, jakby promienie zachodzącego słońca trwały tu uwięzione między murami. Liście i trawa połyskiwały metalicznie. Pogruchotane posągi, tak chłodne i białe rano, stały się teraz prawie złote. Robert skończył grabić i poszedł do domu. Psy leżały na ciepłym piasku, z hotelu dochodziły już cichsze głosy, wszystko przenikał spokój. Ubrana ciągle tak jak na Belmont Road, obolała i ze spuchniętym nosem, wyszłam, by poszukać Vicky – podejrzewałam, że jest w kuchni z monsieur Armandem, z którym się natychmiast zaprzyjaźniła – i położyć ją do łóżka.

Paul siedział na kamiennym schodku przed kuchnią. Nie wiedziałam, czy przejść obok niego, czy wejść z powrotem do domu. Wyglądałoby to na ucieczkę, więc choć drżałam cała, zdecydowałam się przejść. Kiedy podeszłam bliżej, wstał.

Chcesz się bić? Dobrze – pomyślałam, ale on powiedział:

– Proszę, mis – wyciągnął zgniecioną paczkę okropnie cuchnących papierosów, które palił, i poczęstował mnie.

Zarumieniłam się – nikt do tej pory nie poczęstował mnie papierosem – a potem spostrzegłam, że to nie jest z jego strony gest protekcyjny; częstował mnie papierosami jak równą sobie. Wzięłam jednego. Nie miałam pojęcia, jak palić, ale czułam się niezmiernie pochlebiona. Paul zapalił

zapałkę. Zaciągnęłam się i zakrztusiłam. Poklepał mnie po plecach, a potem siedzieliśmy razem na schodkach.

Vicky położyła się bardzo późno.

– Trudno, jest we Francji, musi robić to samo co francuskie dzieci – powiedziałam:

Belmont Road oddalała się szybko.

Kiedy weszłam na górę do Joss, cofnęła się na łóżku i zawołała: „Fu!”

– To gauloise, papieros francuski. – Staralam się, by zabrzmiało to niedbale, ale Joss pozostała chłodna.

– Zdaje się, że zadomowiłaś się tu bardzo szybko – zauważyła lodowato.

## Rozdział piąty

**Z**adomowiliśmy się istotnie. Po tym pierwszym burzliwym dniu moglibyśmy już przez całe życie mieszkać w Vieux-Moutiers. Dlaczego polubiliśmy je tak bardzo?

– Dlatego, że to nie było Southstone – wyjaśnił z irytacją wuj William.

Było w tym coś z prawdy. Po Southstone to stare francuskie miasteczko, tonące tamtego roku w słońcu, wydawało się szczególnie piękne. Southstone nie rosło powoli. Zbudowane zostało w parę lat jako kąpielisko nadmorskie. Czerwone murowane domy z dachami krytymi łupkową dachówką stały wzdłuż symetrycznych asfaltowych ulic, wysadzanych krzewami szczodrzeńca i różowego głogu, ogrodzone drucianą siatką. W mieście był ogród zimowy, gdzie odbywały się koncerty, lodowisko, kryte korty tenisowe, basen pływacki, herbaciarnie i duże sklepy. Na urwistych stokach wznosiły się miejskie ogrody, nabrzeże zamieniono w promenadę z estradą i molem; był tam też plac golfowy i akwarium. Vieux-Moutiers, położone

nad brzegiem szerokiej, spokojnej rzeki, liczyło parę wieków; górna i dolna część miasta powstawały wolno, przypadkowo lub też niszczały w zapomnieniu. Było ono tak małe, że niepodobna się w nim było zgubić, choć posiadało labirynt malutkich brukowanych uliczek wokół rynku, gdzie dwa razy w tygodniu odbywał się targ naprzeciwko *hôtel de ville*, jak nauczyliśmy się nazywać ratusz.

*Hôtel de ville* pochodził z szesnastego wieku, a nad górną częścią miasteczka wznosił się klasztor, którego wały obronne widziałam ze swego okna. Obok klasztoru w starej wieży St. Pierre znajdowało się więzienie. Prowadziła doń brama, przez którą wjechała z Karolem VII święta Joanna. Usłyszałam, jak jakiś amerykański turysta czytał ze swego przewodnika: „Prawdopodobnie wysłuchała mszy w kaplicy, a kamień, z którego wsiadła na konia, do dziś stoi na dziedzińcu”

– Święta Joanna? To była osoba? – spytałam. – Myślałam, że to była święta.

– Święta to osoba, głuptasku – powiedział Eliot. – W tym cała rzecz.

Nikt nie opowiadał nam o Vieux-Moutiers. Jego historia objawiała nam się stopniowo, gdy przypadkiem podsłuchaliśmy rozmowę turystów lub wałęsaliśmy się sami po ulicach. Na przykład szpital. Nad schodami wejściowymi widniał napis, który zauważyliśmy zanosząc mamie bukiety dzikich kwiatów „*Essayez vos pieds, S.V.P.*” – głosił napis, wytarliśmy więc starannie nogi, sylabizując to, co tam jeszcze było napisane: „*Erigée en 1304 par la grâce de Jeanne de Navarre, épouse de Philippe le Bel*”.<sup>1</sup> Nasza matka, n a s z a matka leżała w szpitalu zbudowanym przez królową. Żałowałam, że nie byłam żoną Filipa Pięknego.

<sup>1</sup> zbudowany w roku 1304 z laski Joanny z Nawarry, małżonki Filipa Pięknego.

W górnej części miasta znajdował się dom o kremowych ścianach w pomarańczowe plamy. Na drzwiach frontowych przybita była tabliczka,

wyjaśniająca, że mieszkał tu kiedyś sławny poeta; gdy odczytałyśmy jego nazwisko, przypomniała mi się szkoła Świętej Heleny, kary, które tam otrzymywałam, Hester deklamująca na koncercie szkolnym. Ten poeta mieszkał tutaj. Nie sądziłam, by jakiś poeta mieszkał kiedykolwiek w Southstone. Może byłoby nawet lepiej być żoną poety niż Filipa Pięknego. Wzięłam sobie na pamiątkę kawałek łuszczącego się kremowego tynku.

W sumie było to miasteczko pełne poezji. Tak nauczył nas ją nie patrzeć monsieur Joubert. Malował on na dwóch płótnach równocześnie – na jednym rano, a na drugim po czwartej, kiedy światło stawało się złocistsze. Patrząc na te malowidła, obserwując, jak powoli nabierają życia, dostrzegaliśmy barwy domów nad rzeką i na wzgórzu, pastelowe odcienie odpryskujących tynków, różową i szarozieloną farbę łuszczącą się na drzwiach i okiennicach. Nie sądzę, by w całym mieście był choć jeden świeżo pomalowany dom. Dostrzegaliśmy cienie na rzece, czarne, białe i szkarłatne odbicia kręcących się po wodzie barek i rybaków, przeglądające się w niej domy, drzewa, dzieci. Wysoko w górze wznosiły się ruiny murów klasztornych, stary kamień miał barwę miodu. Niebo zasnuwały dymy unoszące się nad miastem. Były i inne barwy: plamki szare i białe, czyli gołębie i koty, nieoczekiwana różowość fartucha, niebieski kombinezon, dzbanek, beczka, dziecinna zabawka. Były też dźwięki: głosy dzwonów, kucie młotów w warsztatach skutniczych, gwizd barki, wycie syreny z Fabryki Instrumentów Dętych leżącej za miastem, a bliżej krzyki dzieci kąpiących się na Plaży Wierzb.

W Vieux-Moutiers byliśmy cudzoziemcami, co było wygodniejsze niż po prostu zwracanie uwagi niecodziennym wyglądem. Miasto było przyzwyczajone do turystów i nikt nam się nie przyglądał. Pozostawaliśmy niejako w ukryciu, co dawało nam poczucie dziwnego spokoju.

W Southstone krąg rodzinny ograniczał się do matki i pięciorga dzieci.

Nasze znaczenie mało jeszcze wobec rzadkich wizyt ojca. Wuj William i jego przyjaciele byli dla nas równie mało ciekawi jak umarli; dziecinne zajęcia, problemy, pomysły i żarty wypełniały cały nasz; widnokrąg. W „Les Oeillets” znaczyliśmy równie mało jak trawa rosnąca pod drzewami. Pozostawaliśmy w blasku i cieniu dorosłych.

Przedtem przebywaliśmy głównie w towarzystwie dziewcząt i kobiet, a kierowała nami mama, która stwarzała nam własny dziecinny świat. Teraz nagle znaleźliśmy się pośrodku publicznego niejako toczącego się wartko życia. Madame Corbet zabroniła nam wychodzić wieczorem poza bramę, bo na moście prowadzącym do miasta i nad kanałem za plażą włóczyli się niekiedy pijacy; często słyszałyśmy ich załamujący się śpiew. Monsieur Joubert malował obraz, który miał zawisnąć w galerii publicznej; przedstawiał on żonę Roberta karmiącą piersią niemowlę. W kuchni widziałyśmy, jak Paul położył sobie Mauricette na kolanach i wsunął jej rękę pod spódnicę. A wtedy monsieur Armand odwrócił się, trzepnął go w ucho, przyciągnął Mauricette do siebie i sam ją pocałował.

– Te wąsy muszą kłuć – zauważyła Hester, która miała jeszcze mentalność małej dziewczynki. Ja natomiast – jeśli o te rzeczy chodziło – stałam się bystra i wrażliwa jak Indianin przytykający ucho do ziemi lub jak czułki owada czy igła kompasu. Odgłos pocałunków rozbrzmiewał mi bez ustanku w uszach. Ale to było jeszcze nic w porównaniu z uczuciem, jakiego doznawałam przyglądając się, jak mademoiselle Zizi zaczepia przechodzącego Eliota, on zaś całuje ją w rękę, w ramię lub w szyję, a czasami w usta. Eliot, mademoiselle Zizi i madame Corbet budzili we mnie dramatyczne zainteresowanie.

To Paul powiedział nam, na czym polegał ów dramat. Mówiłyśmy słabo po francusku, on znał zaledwie parę słów angielsko-amerykańskich, ale to Paul siedzący z nami na kuchennych schodach w tamte letnie wieczory był jak światło reflektora oświetlające ludzi w „Les Oeillets” i ukazujące ich w najostrzejszych barwach.



Kiedy mówię „my”, mam na myśli Hester i siebie. Hester starała się podciągnąć, by stać się dla mnie tym, czym ja byłam dla Joss, to znaczy drugim ja, nieodstępnym cieniem. Willmouse i Vicky mieli inne zainteresowania. Francja i mademoiselle Zizi natchnęły Willmouse'a świeżymi pomysłami; zajmował się pracowicie komponowaniem nowych kreacji. Jego pracownia mieściła się na porośniętym trawą stoku w sadzie pod wiśnią. Vicky przylgnęła do monsieur Armanda, który od rana do Wieczora dawał jej jakieś smakołyki. Gdyby Joss nie była jeszcze ciągle chora, nie widywałybyśmy tak często Paula – „ja nie rozmawiam z chłopcami z kuchni”, powiedziała, co wyjaśniało, dlaczego nie wiedziała wielu rzeczy – ale jej ataki mdłości nie miały.

– To wstrząs psychiczny – powiedział doktor.

Poza wstrząsem psychicznym miała właśnie miesiączkę. Nazywałyśmy tę przypadłość „przekleństwem Ewy”. Joss jakby się zmieniała zrzucając swą dawną skórę. Doktor, którego w czasie naszych wizyt w szpitalu, nauczyliśmy się nazywać *monsieur le directeur*, przychodził dwa razy dziennie i mówił o przeniesieniu jej do mamy. W szpitalach francuskich było podobno w separatkach łóżko dla członka rodziny.

– Wasza matka jest ciężko chora – powiedziała madame Corbet i dodała, że jesteśmy wszyscy prawdziwą plagą.

Niewiele mogliśmy pomóc Joss. Słałam jej łóżko ł przynosiłam kleiki, a Toinette filiżanki cienkiej zupki zwanej bouillon. Eliot zaglądał co wieczór na chwilę. Przez resztę czasu leżała w zaciemnionym pokoju i prosiła, żeby dać jej spokój. Dziwny to był świat bez mamy i Joss. My z Hester pisałyśmy co dzień, do mamy karteczki, a malcy zrywali pęki kwiatów, które zanosiliśmy wszyscy do szpitala, idąc przez most, a potem mijając kawiarnię „Giraffe”, „gdzie często Eliot szedł się czegoś napić. Nie wiem, czy mama czytała kartki od nas, ale niewiele w nich było z nas samych, Nie dlatego, żeby nam na niej nie zależało – chwilami brakowało jej okropnie i

często czułyśmy się przestraszone i zagubione – ale mama wydawała się daleka. Tak, właśnie dziwnie daleka. Czasami odczuwałam z tego powodu niepokój i myślałam: gdyby wiedziała, o czym mówimy... – ale ona nie wiedziała, a ja tłumiałam w sobie uczucie niepokoju. Najwięcej wypytywała Paula Hester.

– Dlaczego madame Corbet nas nienawidzi?

Bo istotnie nienawidziła nas. Nawet cyfry do naszego rachunku wpisywała w ten sposób, jakby pióro mogło zatruć papier. Patrzyliśmy ze strachem, czy jej kok nie chwieje się nad kratą osłaniającą biurko i czy nie padnie stamtąd jakieś przykre słowo. Nawet Vicky nie udawało się tego unikać.

– *Pourquoi est-ce qu'elle nous déteste?*<sup>1</sup>

– *Parce-que c'est Eliot qui a tout arrangé.*<sup>2</sup>

– Eliot?

– *Si.*<sup>3</sup>

– Więc ona nienawidzi Eliota?

– *Si.*

<sup>1</sup> Dlaczego ona nas nienawidzi?

<sup>2</sup> Bo to wszystko przez Eliota.

<sup>3</sup> Tak.

Te *si* Paula zdawały się przenikać mnie do szpiku kości i pozostawać tam; było to złowieszcze, lecz podniecające.

– N i e n a w i d z i Eliota? *Elle déteste Eliot?* – pytałam, a spokojny dziecinny głosik Hester wtórował:

– Dlaczego nienawidzi Eliota?

– *Parce qu'elle en tient pour mademoiselle Zizi* – padła odpowiedź, a widząc, że nie rozumiem, Paul wyjaśnił: – Ona kocha mademoiselle Zizi.

– Pani kocha p a n i ą ?

– *Si.*

Gdy nam powiedziano, spostrzegłyśmy to już same. Koczek wynurzał się nie tylko po to, by nas obserwować, śledził każdy ruch mademoiselle Zizi.

Siadywaliśmy na tych schodkach co wieczór – Paul z chudymi kolanami sterczącymi pod fartuchem kopcił swego gauloise'a, a z ogrodu, gdzie zapadał zmierzch, płynął odurzający zapach kwiatów. Zawsze zamierzałam poszukać tego krzewu, odnaleźć ten pachnący kwiat i instynktownie wiedziałam, że lepiej byłoby to zrobić, niż słuchać tego, czego słuchałam. Przy kuchennych schodkach stały skrzynie na odpadki i śmiecie; wstrętny odór wypełniał nam nozdrza. Wydawało się to symboliczne i często już-już się podnosiłam, lecz znów siadałam na ciepłym kamieniu. Gdy Paulowi kończyło się wino w butelce, podawał ją Hester, która podnosiła butelkę do ust, wypijała łyk i podawała mnie. Ja robiłam to samo i oddawałam butelkę Paulowi.

- To obrzydliwe! – oburzyła się Joss, kiedy jej o tym powiedziałam.
- Nie. Wycieramy brzeg butelki o fartuch Paula.
- Uch! – wykrzywiła się Joss i wyglądała tak, jakby miała znów wymiotować.

Pewnego razu, kiedy wypiałam łyk wina, powiedziałam czując jeszcze w ustach kwaśny smak:

- Zdaje mi się, że mademoiselle Zizi kocha się w Eliocie.

Obok skrzyni na śmieci stały puste butelki; jedna z nich miała szyjkę okręconą złotą folią. Paul zdarł ją, skręcił w kółko i podał mi.

- *Tu ne Vài pas volée*<sup>1</sup> – powiedział z powagą, ofiarowując mi ten medal.

<sup>1</sup> Trafieś w sedno.

Co wieczór Hester podejmowała temat.

- Czy Eliot kocha – *aime* – mademoiselle Zizi?
- *Pas lui* – odpowiadał śmiejąc się Paul. – On jej nie.

O ile jego *si* przenikały mnie do szpiku kości, śmiech pobudzał moją wyobraźnię.

– Nie powinni wam byli w ogóle pozwolić rozmawiać z tym chłopakiem.

Wszyscy mówili tak potem, ale to nie Paul był winien, tylko moje własne myśli. Przybyłam z naszej rajskiej krainy na Belmont Road i byłam jak młody koń skaczący zbyt wysoko. Paul zaś był dzieckiem prawdziwego, realnego świata. Jemu to wszystko wydawało się zupełnie naturalne. Kobiety do tego zostały stworzone.

– *J'avais quatorze ans quand j'ai jait l'amour la première fois*<sup>1</sup> – powiedział mi.

<sup>1</sup> Spałem pierwszy raz z kobietą, jak miałem czternaście lat.

– Czternaście! – Popatrzyłam na niego podejrzliwie, ale on się nie przechwalał. Dużo bardziej interesowały go samochody ciężarowe.

– Renault, berliet, willème – mówił, jakby to były jakieś niezwykle piękne nazwy, i patrzył w dal poprzez ogród, a twarz jego łagodniała pod wpływem marzeń. Nie mógł wiedzieć, że gdy mówił do mnie, odczuwałam jakby klucie tysiąca igiełek w całym ciele, a pod kolanami przepływała mi fala gorąca. Musiałam pytać dalej.

– To znaczy... że kochałeś się z kobietą? Kiedy miałeś czternaście lat?

Roześmiał się, objął mnie za szyję i wsunął mi rękę za dekolt. Podskoczyłam, gdy spokojnie i od niechcienia dotknął moich piersi. Cofnął rękę.

– *Deux petits citrons*<sup>2</sup> – powiedział i znów się roześmiał.

<sup>2</sup> Dwie cytrynki.

*Citrons!* Cytrynki! Zachichotał na widok mojej oburzonej miny i uderzył mnie palcem po nosie, jak małe zwierzątko, które chce się uspokoić. Nie było wątpliwości co do tego, że to nie Paul, tylko ja byłam zepsuta.

Nic na to nie mogłam poradzić. Była to plama kalająca mnie całą, aż do kości. Zaczęłam zastanawiać się nad kośćmi w ogóle. Vicky, myślałam, musi mieć kostki jak kurczę, perłoworóżowe i niebieskawe z odcieniem jasnoczerwonym. Kości monsieur Jouberta z niewiadomego powodu

wydawały mi się podobne do kości Vicky – może nie dałyby się zbrukać.

– Jest ciągle zajęty – powiedziała Joss, kiedy jej to tłumaczyłam.

Kości Paula i Hester były też chyba czerwone, czyste i uczciwe. Na temat kości Joss nie wiedziałam nic i nie odważyłabym się jej o to pytać. W poczuciu winy dumałam chwilę nad własnymi, a potem szybko przeszłam do innych.

– Mademoiselle Zizi są fioletowe – powiedziałam.

– Nie, fiołkowo-różowe – poprawiła Joss.

Kości madame Corbet wyobrażałam sobie jako czarnozielone, zgangrenowane złymi myślami.

– A Eliota? – spytała Joss.

Zamilkłyśmy. Nie miałyśmy najmniejszego pojęcia, jakie mogły być kości Eliota.

## Rozdział szósty

**E**liot est un vrai mystère – powiedział Paul.

Tak, to prawdziwa tajemnica, pomyślałam i westchnęłam.

Jedną z najdziwniejszych rzeczy u Eliota było to, że nie miał nic, co pozwoliłoby nam zrozumieć, jaki to człowiek. Wszyscy inni mieli różne rzeczy. „*Toi et moi, moi qui parle*”<sup>1</sup> – mawiał Paul i tak też było.

<sup>1</sup> Ty i Ja, ja mówię.

Mademoiselle Zizi miała swoje buteleczki i słoiczki, perfumy i suknie. Madame Corbet – krucyfiks i różaniec, który widziałam, na jej komodzie. Paul – swoje skarby, tak jak i my – obrazki samochodów, berlieta i willème'a, którymi wykleił wnętrze kredensu.

– *Mais monsieur Eliot, il n'a rien*<sup>2</sup> – powiedział Paul.

<sup>2</sup> Ale pan Eliot nie ma nic.

Nawet fotografii czy gazety. W jego szufladach, jak nam opowiadał, była tylko poukładana bielizna

– To znaczy, że zaglądasz do cudzych szuflad? – spytałyśmy zgorszone.

– *Si* – przyznał Paul wesoło.

Eliot nie miał nic, nic, co mówiłoby coś o nim.

– Ma książki – zaprotestowałam. – Sama mu rozcinam kartki. – Lubiłam to zajęcie i wykonywałam je z ochotą rozcinając niezliczone kartki tanich francuskich powieści. – Ale po przeczytaniu wyrzuca te książki – musiałam przyznać.

– I ja mu rozcinam – powiedziała Hester i dodała: – On jednak ma coś: ten piękny nóż do papieru.

Nigdy nie widziałam takiego noża jak ów nóż Eliota. Myśleliśmy, że jest on srebrny, ale teraz przypuszczam, że był stalowy, cienki, na jakieś dwanaście cali długi.

– Trzymaście – poprawił Eliot. – Moja szczęśliwa cyfra.

Nóż był ostro zakończony i miał ścięte brzegi.

– Uważajcie – ostrzegął Eliot, kiedy rozcinałyśmy kartki – nie dawajcie go do ręki malcom. Jest naprawdę ostry

I rzeczywiście był. Pamiętam, że raz wbiłam go w trawnik; wszedł łatwo i utrzymał się w pozycji pionowej. U nasady miał kółko z jakimś dziwnym napisem.

– To po chińsku – wyjaśnił Eliot.

– Skąd go masz? – spytała Hester, a Eliot odrzekł teatralnym tonem:

– Od mego przodka, Dżengis-chana.

Kiedy byłyśmy z Eliotem, wszystko, co opowiadał Paul, nikto lub potwierdzało się, potwierdzało się jako część życia; nie rozmyślałyśmy już i nie zastanawiałyśmy się nad tym, tak jak nie zastanawiałyśmy się nad faktem, że Eliot mył zęby.

Umiał nas wszystkich utrzymać w doskonałym drylu, nawet Vicky. Choć często szliśmy za nim całą gromadą, zachowywaliśmy pewien

dystans, gdy nam to nakazał. Hotel miał własne kąpielisko – zatoczką w odnodze rzeki, utworzoną przez wysepkę ciągnącą się kilkaset jardów wzdłuż brzegu; osłaniały ją leszczyna i sitowie, a ocieniały wysokie wierzby. Po lunchu w hotelu Eliot często opalał się w zatoczce, leżąc na piasku, „nawiezionym”, jak nam powiedział.

– W Marnie jest tylko żwir.

Nie rozbierał się, lecz pozwalał, żeby słońce przenikało przez jego ubranie; głowę i oczy osłaniał starą żeglarską czapką.

Trzymaliśmy się wtedy z szacunkiem z daleka, bo tak sobie życzył. Rzadko podnosił się z piasku przed naszym pójściem na *goûter*, który zawdzięczaliśmy Paulowi. To on przygotowywał dla nas jedzenie i o czwartej wychodził przed drzwi kuchni i gwizdał. Myślę, że ten gwizd usłyszelibyśmy z odległości wielu mil. *Goûter* był wyśmienity, choć nie mam pojęcia, gdzie się w nas mieścił, tak samo jak i inne posiłki; zaczynaliśmy jeść tak dużo jak Francuzi. Paul krajał długie, cienkie bułki zwane *baguettes* na kawałki ośmio- czy dziesięciocalowe, przekrawał wzdłuż i smarował masłem, a potem kładł jeszcze do środka szynkę, dżem lub kawałek czekolady wyjętej z szafki w hallu.

– Ale czy madame Corbet nie...?

Paul mruczał coś pod nosem i udawał, że pisze. Istotnie madame Corbet za swoją kratą wpisywała czekoladę do książki.

Nie wyrzeklibyśmy się naszego *goûter* nawet dla Eliota, ale przeciągało się to długo, bo monsieur Armand postanowił, że musimy podwieczorek odpracowywać.

– *Il faut payer*<sup>1</sup> – mówił z powagą. – Pieski za kolację muszą trochę pośpiewać.

<sup>1</sup> Trzeba płacić.

Kazał Vicky, która czasami sepleniała, powtarzać stare, trudne do wymówienia powiedzonko: *Combien sont ces six saucissons? Ces six*

*saucissons sont six sous. Six sous, ces, six saucissons? Mais ces six saucissons sont trop chers*<sup>1</sup>.

<sup>1</sup> Ile kosztuje te sześć kielbasek? Sześć su. Sześć su te sześć kielbasek? To za drogo.

Godzina czwarta była porą odpoczynku monsieur Armanda. Było już po lunchu, w kuchni panował porządek, a nie nadszedł jeszcze czas przygotowywania obiadu. Zasiadał wtedy przy stole pod oknem, gdzie przez krzew winorośli przesączało się zielonkawe światło, czytał gazetę i wypijał butelkę wina. Siedział wygodnie, zdjąwszy buty, a czapkę kładł na kredensie. Vicky siadała przy stole obok niego, a kot Minette zwijał się w kłębek w płamie słońca u jego stóp. Monsieur Armand był zawsze ubawiony słuchając naszych rozmów – uważał, że angielski to zabawny język i okropnie męczący – i kazał mi co dzień tłumaczyć jakiś ustęp z gazety. W kuchni „Les Oeillets” nauczyłam się więcej francuskiego niż odrabiając karne ćwiczenia w szkole Świętej Heleny.

Kuchnia była bardzo przyjemnym miejscem. Jej bielone, ściany miały dzięki winorośli odcień zielony przy oknie, a przy ogniu pomarańczowo-złoty. Światło odbijało się w rzędach miedzianych rondli wiszących pośrodku. Pod nimi stały stoły, nad którymi wisiały ogrzewane półki, skąd Mauricette zabierała półmiski do jadalni.

Za stołami znajdował się ogromny żelazny piec z lśniącymi stalowymi gałkami i zawiasami. Były też dwa zlewy, duży i mniejszy do zmywania sztućców, szklanek i naczyń po *petits déjeuners*<sup>2</sup>. W sąsiednim pomieszczeniu stała maszynka do kręcenia lodów; były tam też marmurowe płyty, na których wyrabiało się *pâtisserie*, i mały składzik na jarzyny; dalej była duża spiżarnia, gdzie przechowywano drób, mięso, ryby i ostrygi.

<sup>2</sup> Pierwszych śniadaniach.

Monsieur Armand brał stamtąd raz na dzień to, czego potrzebował. Żywe ryby trzymano w zbiornikach na zewnątrz domu. W rogu kuchni znajdował



się nad otwartym paleniskiem rozeń. Była też czerwona ceglana podłoga i zawsze unosił się przyjemny zapach gotowanej cebuli, świeżego chleba, kawy i wina. Po południu Toinette i Nicole rozmawiały półgłosem, obierając kartofle czy krając fasolę, lub prasowały w prasowni przytykającej do korytarza, skąd czuć było woń spalenizny i gorącego płótna. Mauricette, bez fartuszka, to wychodziła do ogrodu, to wracała; popijała ze szklanki monsieur Armanda, a Paul przerywał swoją pracę, by się z nią podroczyć, lub też oboje słuchali z powagą jak czytałam. Nie wiem, jaką gazetę czytał monsieur Armand, ale urywki, które mi dawał, były zawsze sensacyjne.

– *Que veut dire „belle mère”*? – pytałam.

– Matka żony – odpowiadał krzywiąc się monsieur Armand.

– A, teściowa! – I czytałam: – „Teściowa uderzyła męża siekierą”. Albo: „Niemowlę płci żeńskiej znaleziono nieżywe w kufrze na *grenier*”. *Qu'est-ce que c'est?* Ale nie umieli mi tego wytłumaczyć i musiałam zajrzeć do słownika, skąd dowiedziałam się, że niemowlę znaleziono na strychu.

Monsieur Armand najwyraźniej uważał, że te okropności są odpowiednią dla mnie lekturą, co było dziwne, bo był bardzo wrażliwy na to, co Paul mówił przy nas – nie wiedział o naszych rozmowach na schodach. Jeśli Paul zaklął, dostawał od niego w ucho., Gdy różowe usteczka Vicky wypowiadały słowo *merde* lub *ordure*, mył je kawałkiem kuchennego mydła, ale kiedy ja czytałam: „Złodzieje zwabiają młodą żonę, a w tym czasie ich wspólnik kradnie broszki i pierścionki wartości dwudziestu tysięcy franków” lub: „Żołnierze przywiązują uczennicę do łóżka...” – chichotał z zachwytem.

Czasem denerwowaliśmy się, bo wiedzieliśmy, że gdy wrócimy pędem do zatoczki, Eliota już tam nie będzie. Lubił przechadzać się wzdłuż brzegu nie niepokojony przez nikogo – może by odpocząć chwilę z dala od

swych wielbicielek; niekiedy szedł w dół rzeki do miasta, przechodził przez most i znikał w drzwiach „Giraffe”. Wracaliśmy do domu i czekaliśmy wiernie, ciekawi, czy zechce nas zobaczyć, gdy wróci.

– Lubię tego człowieka – mówiła Vicky, co było zdumiewające, bo Eliot nigdy nie dawał jej nic do jedzenia, a wolno jej było dreptać wokół monsieur Armanda, który dosłownie łądował w nią smakołyki. W czasie pobytu w „Les Oeilletts” Vicky bardzo utyla. Nie biegała za Eliotem – nikt z nas nie ośmieliłby się tego robić – lecz gdy nas dostrzegł, jak to on, niby mimochodem, porzucała kuchnię i wszystkie kurczaki czy kremy i biegła tam, gdzie on się właśnie znajdował.

– I ja go lubię – mówił Willmouse. – To jedyna osoba prócz mamy, która się nigdy ze mnie nie śmieje.

Po raz pierwszy wtedy przekonałam się, że Willmouse cierpiał, gdy się z niego śmiano. Wspaniały był ten mój dziwaczny braciszek! Ciekawe, że posiadanie w rodzinie kogoś niezwykłego sprawia, iż ludzie inaczej na nią patrzą.

Eliot traktował Willmouse'a wyjątkowo poważnie. Oglądał nowe sukienki panny Dawn i Dolores, podziwiał je lub krytykował skrupulatnie. Kupił Willmouse'owi w Paryżu książkę, nie żurnal, lecz grubą książkę o starych mistrzach.

– Studuj ich – powiedział mu – zwłaszcza prymitywistów. Dadzą ci pojęcie o drapowaniu i kolorach.

Willmouse skinał tylko głową, ale oczy mu rozbłyły.

– Ależ takie książki kosztują majątek! – wykrzyknęła madame Corbet.

– Skąd majątek! Niedrogo.

– Ale dla dziecka!...

– To dziecko tego potrzebuje.

Hester nie wyjawiała, co czuje, ale zużyła ostatnią błonę fotograficzną na sfotografowanie Eliota. Zbyt nieśmiała, by go o to poprosić, zakradła się

na palcach i zrobiła mu zdjęcie, gdy spał na swoim leżaku, po czym wydała resztę franków pozostałych z podróży na wywołanie zdjęcia w firmie Kodak. Nie pokazała fotografii nikomu; przylepiła ją na tekturce z podpórką i dorobiła ramkę z białych muszelek, które znaleźliśmy nad brzegiem rzeki. Fotografia stała na komodzie, ale Hester chowała ją, kiedy Toinette sprzątała pokój, a w obtłuczonym kieliszku wyżebranym od Mauricette stał zawsze przed nią bukiet kwiatów. Byłam za duża, by okazywać, co czuję, lub mówić o tym i nie ośmieliłabym się wypytywać na ten temat Joss.

Jak pod działaniem czaru przyjmowaliśmy wszystko i wierzyliśmy wszystkiemu, co wiązało się z Eliotem. Lecz gdy wyjeżdżał do Paryża, co zdarzało się często, stawaliśmy się podejrzliwi i bardzo krytyczni.

Zastanawiam się, czy mademoiselle Zizi byłaby inna, gdyby zdawała sobie sprawę ze śledzących ją surowych młodych oczu. W „Les Oeillets” osądzaliśmy ją od rana do wieczora i osąd ten był surowy.

– Nic w niej nie jest prawdziwe – powiedziała Hester.

Nie było to całkiem sprawiedliwe. We wszystkim tkwiło ziarenko prawdy.

Weźmy jej imię. Wiedzieliśmy od Paula, że Zizi to zdrobnienie dla małej dziewczynki.

– A ona nie jest małą dziewczynką – orzekła Hester.

Opowiadała też różne kłamstwa o „Les Oeillets”

– To był dom mego ojca, mego dziadka i praprapradziadka – mówiła do gości. – Rodzina de Presle mieszka tu od roku 1731

– Czy to taki stary dom? – pytali goście

– Widział dziesięć wojen – odpowiadała mademoiselle Zizi.

Służył za główną kwaterę armii amerykańskiej; dziury na klatce schodowej pochodziły od karabinów maszynowych; na spodzie szafki w moim pokoju była plama z krwi amerykańskiego żołnierza, który został tam zastrzelony. Drugiego dnia naszego pobytu Rita i Reks wykopały w ogrodzie czaszkę.

– Nieszczęsny dom! – wzdychała patetycznie mademoiselle Zizi. – Po każdej wojnie jakoś się goiło, ale teraz już tylko ja zostałam. Nigdy nie myślałam, że ujrzę go jako hotel! – Patrzała na mieszczący się w ciepłarni bar, na stojące tam krzesła i stoliki. – Kiedy byłam dziewczynką, kwitło tu mnóstwo goździków, takich dużych, a wino sięgało aż na dach.

Paul, jeśli znajdował się w pobliżu, kiedy to mówiła, spluwał. Skinął na mnie i pokazał mi datę pod wistaria nad drzwiami frontowymi. Rok 1885.

– *M'sieur Fresie était boucher* – powiedział.

– Rzeźnikiem? – powtórzyłam rozczarowana. Wydawało się niemożliwe, żeby mademoiselle Zizi była córką rzeźnika, ale Paul powtarzał to szturchając mnie palcem, jakby chciał wbić we mnie te słowa. Niechętnie powtórzyłam Hester, co powiedział:

– Ten rzeźnik kupił „Les Oeilletts” jako hotel za pieniądze, które zarobił sprzedając zepsute mięso żołnierzom.

Dziury po kulach były autentyczne, lecz gdy odmalowywano klatkę schodową, zamiast je pozalepiać – wydłubano na nowo; plamę w szafce Paul od czasu do czasu odświeżał krwią przyniesioną z kuchni; a raz, gdy oczekiwano gości, którzy mieli przyjechać *char-à bancs*<sup>1</sup>, skinął na mnie, wyprowadził do ogrodu i pokazał, co trzyma w ręku. Była to czaszka. Makabryczna, z oczodołami i sterczącymi kośćmi policzkowymi. Paul śmiał się i poruszał w ten sposób nadłamaną szczęką, że wyglądało, jakby mówiła. Musiał zamknąć Ritę i Reksa w budzie, bo inaczej wykopałyby czaszkę od razu. Zakopał ją pod urną na środku klombu wraz z kawałkiem surowej wątroby.

– *Lo pourboire*<sup>2</sup> – powiedział i znów się zaśmiał.

<sup>1</sup> Szarabanem.

<sup>2</sup> Napiwek.

Ja się nie śmiałam. Myślałam o tym, jak przejęte byliśmy pierwszego dnia. Wojna i śmierć wydawały się tak bliskie, że czułyśmy się prawie tak, jak pragnęła mama – zawstydzone i nieomal... uświęcone. Uważałam się teraz za idiotkę i nie czułam sympatii ani do mademoiselle Zizi, ani do madame Corbet, ani do Paula. To przez nich ten hotel wydawał się okropny. Ale czaszka była czaszką mężczyzny, prawdopodobnie żołnierza, znalezionej w ogrodzie. W tym tkwiło ziarenko prawdy.

Dziwne, ale to madame Corbet po naszym szczegółowym badaniu wydawała się najlepsza, „bo nic nie udaje”, orzekła Hester. Była to bezkompromisowa zawsze madame Corbet w czarnej spódnicy i czarnej bluzce, opatulona w szal, ze swoją tłustą cerą, wąsikiem, czarnymi, surowymi, małymi jak paciorki oczkami, kokiem upiętym na czubku głowy i tak dalej. Nie ulegało wątpliwości, że to ona. Jej głos, stale podniesiony w potajankach, targach, sprzeczkach, miał przynajmniej uczciwy ton. U mademoiselle Zizi, jeszcze bardziej niż w domu, nic nie było tym, czym się wydawało.

Kiedy Eliot wyjechał, miała zwyczaj zostawiać otwarte drzwi od swego pokoju i ubierając się rozmawiała przez podest z madame Corbet siedzącą w recepcji. Mogliśmy więc zaglądać do niej.

– Jej twarz to przeważnie sam puder – mówiła Hester.

– Czy wiecie – powiedziała Vicky zdumiona – mademoiselle Zizi ma zdejmowane rzęsy!

Nie wierzyliśmy, żeby to było możliwe, dopóki nie zobaczyliśmy tego na własne oczy.

– To samo robi z piersiami – zauważył Willmouse.

– Z piersiami? To mają być piersi? – spytała z powątpiewaniem Hester.

– Widziałem, jak leżały na krześle – odpowiedział Willmouse. Zachował spokój, ale my wszystkie byłyśmy wstrząśnięte. – Robiłem piersi dla panny Dawn i Dolores – dorzucił – ale nigdy mi to nie przyszło do głowy.

Wszystko było bardzo dziwne. Hotel „Les Oeillets” należał do mademoiselle Zizi, a jednak prosiła o pieniądze madame Corbet.

– *Mais il faut que je m'achète une chemisette* – to Hester mogłaby tak prosić – *une petite chemisette*<sup>1</sup>.

<sup>1</sup> Ale ja muszę sobie kupić koszulkę.

Przetłumaczyłam to Hester, która pełna współczucia pokiwała głową; była zawsze po stronie gnębionych. Ale kto tu był gnębiony?

– Koszulkę.

– *Pour lui*<sup>2</sup>. – Madame Corbet wypluła to słowo. Od dawna już wiedzieliśmy, że *lui* to był zawsze Eliot.

<sup>2</sup> Dla niego.

– Ciekawe, dlaczego wybrał ten hotel – zastanawiał się potem wuj William. – Przecież był zupełnie nieodpowiedni. – I odpowiedział sam sobie, co robił często: – A może i nie? Wygodny, nieokazały, pełen cudzoziemców, więc on nie rzucał się w oczy, na połowie drogi pomiędzy Paryżem a granicą... i głupia kobieta, gotowa dla niego na wszystko.

– On rujnuje interes – mówiła często madame Corbet do mademoiselle Zizi. – Zawsze mówisz, że nie ma już miejsca.

– Nie zawsze – protestowała tamta.

– Teraz sezon. I tyle pokoi pustych!

– Nie chcę, żeby byli tu z nami obcy ludzie.

– Zwariowałaś.

– Dlatego że nie chcę niepotrzebnego gadania?

– Gadania! Całe miasto gada. Ktoś w końcu doniesie. I stracimy naszą gwiazdkę.

Wiedziałam, że mówiła o gwiazdce umieszczonej w przewodniku przed nazwą „Les Oeillets”. Wydawało się to bardzo ważne, ale mademoiselle Zizi wzruszyła ramionami.

– Dziesięć lat – mówiła madame Corbet niskim, cichym głosem, sflumionym przez gniew lub łzy. – Od dziesięciu lat mogłabym być zakonnicą, a zamiast tego pracowałam tutaj, żeby zdobyć tę gwiazdkę, podciągnąć ten

hotel, usuwałam się w cień dla ciebie. A ty nie chcesz słuchać. Odrzucasz to wszystko.

Pewnego razu zobaczyliśmy, jak madame Corbet uderzyła mademoiselle Zizi. Odgłos tego uderzenia rozległ się w hallu. Dała jej w twarz, a mademoiselle Zizi zatoczyła się na biurko, trzymając się ręką za policzek.

Po tym zaległa głucha cisza, a my wstrzymaliśmy oddech. Po chwili rozległ się nowy dźwięk – szlochanie, ale to nie szlochała mademoiselle Zizi, tylko madame Corbet.

Mademoiselle Zizi opuściła rękę i uklękła obok niej; objęła ją i kołysała. Dobiegały nas urywane słowa po francusku:

– *Chérie... Jamais, jamais... Oubliez ça... N'y pensez plus Chérie...*<sup>1</sup>

<sup>1</sup> Kochana... Już nigdy, nigdy... Zapomnij... Nie myśl o tym... Kochana...

Oddaliliśmy się na palcach.

Nieczęsto wychodziliśmy z domu. Myślę, że byśmy go chyba w ogóle nie opuszczali, gdyby nas nie wyrzucano. Robił to Eliot.

– Bardzo jesteś wygodny – słyszałam głos mademoiselle Zizi. – Wyjeżdżasz sobie do Paryża, a ja mam pięćdziesiąt osiem osób na lunchu i jeszcze muszę pilnować tych dzieci.

– Nie pilnuj ich – odpowiedział Eliot, – Daj im trochę jedzenia i wypraw z domu.

– Czy mogę to zrobić?

– No pewnie. Dzieci lubią pikniki.

Lubiliśmy je, a nawet woleli, gdyby nie to, cośmy tracili.

– Coście tracili? – pytał wuj William. – Tłumy wycieczkowiczów.

– To byli wycieczkowicze? – spytała Hester oszołomiona. – Przecież... wycieczkowiczów mieliśmy w Southstone.

Ci w „Les Oeillets” byli z pewnością zupełnie, zupełnie inni. Przybywali prawie co dzień. To był sezon, la *grande saison*, mówiła Mauricette. Przyjeżdżali samochodami i szarabanami.

– To nic takiego nadzwyczajnego zwiedzać pola bitew – powiedziałam.

Nie było tu zresztą żadnych pól bitew, tylko pola, gdzie rosło zboże i trawa, i tysiące maków i rumianków. Oglądaliśmy to wszystko na obrazkach w przewodnikach.

– Czy żołnierze pokazują się w zbożu? – pytała Hester, ale oczywiście nie było tam żadnych żołnierzy prócz tych, którzy zostali rozniesieni w kawałki albo gnili tam, gdzie padli, „jak ten żołnierz w ogrodzie”, mówiła Hester. Leżeli w równych rzędach na cmentarzach wojennych, gdzie na grobach były krzyże dla chrześcijan i gwiazdy dla Żydów. I to pokazywały obrazki w przewodnikach. Hester studiowała je i mówiła:

– Wolałabym mieć gwiazdę, to ładniejsze.

Paul spojrzął jej przez ramię i jak zawsze mruknął coś pod nosem.

– Pan Stillbotham mówił, że cmentarze są tak piękne jak ogrody – zapewniła go Hester. – *Comme les jardins*.

– *Jardins* – powtórzył Paul i zanucił szyderczo: – Bądź grzecznym chłopcem, daj się zabić na wojnie, a tata z mamą przyjdą odwiedzić cię w pięknym ogrodzie.

Taty, mamy, siostry, bracia, wujkowie, ciotki, nawet czasem dziadkowie przyjeżdżali tam i wszyscy zdawali się dobrze bawić, ale ja nie mogłam przestać myśleć o czaszce i dziurach po kulach. Zastanawiałam się, jak to jest, kiedy zostaje się zakopanym w ziemi zamiast siedzieć w tej ładnej, obitej tapetą jadalni i zajadać to, co jedli goście: *hors d'oeuvres'y*, *pâté*, *poulet à l'estragon*, cielęcinę, steki, sałaty i renklody. Miałam nadzieję, że nigdy nie będę musiała umierać.

Większość gości to byli Amerykanie. Przyzwyczailiśmy się do nazw odległych miejsc wpisywanych w księdze na biurku: Illinois, Wisconsin, Kalifornia. Ale bywali także Kanadyjczycy, Australijczycy, mieszkańcy Południowej Afryki, Nowozelandczycy i nieliczni Anglicy. Gdy czasem



spotykaliśmy na schodach lub na podeście kogoś z nich, pytali nas po francusku, gdzie jest ubikacja; przesądzali z góry, że jesteśmy Francuzami, co nam pochlebiało, i starając się wyrażać jasno, nadawali ubikacji różne dziwne nazwy. A my słuchaliśmy i pytaliśmy z powagą: „*Le pissoir*”? i przyglądaliśmy się ich twarzom wskazując „dziurę”.

– Mamy przecież nowoczesne ubikacje na dole! – wołała mademoiselle Zizi słysząc spuszczenie wody. Domyślała się, że to my pokazaliśmy niewłaściwy lokal gościom, i tym surowiej nakazywała nam się wynosić.

Właśnie wtedy gdy robiło się najciekawiej, a w „*Les Oeillets*” bywało naprawdę ciekawie, wysyłano nas z domu. Rano wszyscy byli zajęci. Madame Corbet urzędowała w czarnym fartuchu. Jeśli Eliot wyjechał do Paryża, mademoiselle Zizi obsługiwała bar, ale gdy zostawał w domu, i to musiała robić madame Corbet. Mauricette rozkładała czyste obrusy w jadalni, czyściła srebro, przecierała szkło. Paul wycierał stoliki w altanie obrośniętej winem i otwierał parasole na tarasie. Monsieur Armand wołał go co chwilę, a madame Corbet odwoływała z powrotem. Wydzielala produkty i otwierała zbiornik z rybami stojący w cieniu altany przed kuchnią, aby monsieur Armand mógł wybrać ryby, które tam pływały. Hester wzdrygała się na ich widok.

– I ślimaki! – krzyczała w udręce.

Nie znosiliśmy ślimaków – „chyba że na talerzu”, mówiła Vicky. Pochodziły rzekomo z Burgundii, ale to po prostu monsieur Armand brał samochód hotelowy, wyjeżdżał na pola i zbierał je do worka. W domu kładł te ślimaki do dużego blaszanego pudła pełnego soli, pod wpływem której wychodziły ze skorupki i stopniowo stawały się dobre do jedzenia. Było to okrutne, ale Vicky miała rację. Gdy podawano je bulgoczące w skorupkach na specjalnych srebrnych półmiskach, pachnące czosnkiem, który polubiliśmy w końcu, zapominaliśmy o pudle z solą. Vicky zjadała ich więcej

niż my, ale Paul zsuwał nam po parę na talerz, kiedy ktoś zamawiał, i pokazywał, jak trzeba wydfubywać je ze skorupki specjalnie do tego celu przeznaczonym widelczykiem. Jedliśmy więc ryby ze zbiornika, ślimaki – „i kurczęta”, opowiadała potem wujowi Williamowi Vicky. Z kurczętami także obchodzono się okrutnie: siedziały w klatce, żeby się nie mogły ruszać, bo to szkodzi na kruchość mięsa.

W miarę jak upływał ranek, monsieur Armand stawał się coraz to bardziej czerwony i łaśliwy; po wąsach spływały mu kropelki potu, choć ocierał je końcem chustki, którą owiżywał szyję. Paul pracował jak maszyna, a jadalnia przybierała wytworny wygląd – z kwiatami i stołami lśniącymi od białych obrusów i sreber. Mauricette wzywała madame Corbet, żeby przyszła to zobaczyć, a tamta odkrzykiwała, że już idzie. „*Un instant!*”<sup>1</sup> – wołała. Wszyscy krzyczeli. Monsieur Armand krzyczał na Nicole i Toinette, żeby się pospieszyły ze sprzątaniem pokoi, a one odkrzykiwały z góry, że nie mogą się rozerwać, że mają tylko po dwie ręce i po dwie nogi. Czasami Mauricette, jeśli była w dobrym humorze, pozwalała nam liczyć bułeczki albo składać serwetki, albo obcinać zbrunatniałe brzeżki goździków, by wyglądały jak świeże. Ale gdy pierwsi goście mieli wejść do jadalni, madame Corbet opuszczała recepcję i szła do kuchni, skąd wracała z paczkami, które po śniadaniu przygotowywał Paul i które kładła nam w hallu na stole. Jeśli byliśmy właśnie gdzie indziej, posyłała go po nas i przyglądała się ze zdenerwowaniem, o ile nie zabieraliśmy natychmiast naszych zapasów piknikowych i nie kierowaliśmy się ku drzwiom.

<sup>1</sup> Chwileczkę.

Była to wyjątkowa bezecność; musieliśmy zniknąć jej z oczu. Mnie i Willmouse'owi nie wolno było wchodzić do naszego pokoju, bo krwawa plama była odślonięta, i musieliśmy sprzątnąć wszystkie swoje rzeczy.

Codziennie czuliśmy się tak samo dotknięci i upokorzeni.

– Czy będą pamiętali, żeby dać coś Joss? – pytała Hester.

– Ja nic nie chcę – zapewniała niezmiennie Joss, ale czułam, że trzeba by jej coś zaproponować.

W tym czasie brakowało nam mamy najbardziej. Nienawidziliśmy madame Corbet, mademoiselle Zizi, „Les Oeillets”, nienawidziliśmy ich wszystkich.

– Ale nie Eliota – zapewniała Hester.

– On nie wie, jak to jest – mówiłam. – Nie ma go tutaj.

Chociaż byliśmy urażeni, myślę teraz, że właśnie te godziny, które spędzaliśmy sami, były dla nas najzdrowsze, działały leczniczo. Wszystkie gorączkowe, kalejdoskopowe strzępki tego nowego życia, tak żywo komentowanego przez Paula, łączyły się znów w jedno w czasie, kiedy chcąc nie chcąc byliśmy sami.

Często oznaczało to dla mnie zupełną samotność, z wyjątkiem towarzystwa Hester, która się nie liczyła. Vicky wymykała się z powrotem do monsieur Armanda; nie było potrzeby dawać jej lunchu, miała dość jedzenia w kuchni. Willmouse zanosił swój tobołek pod wiśnię, gdzie leżały rozłożone jego materiały. Słyszałyśmy, jak szeptał: „Nie mam czasu na nic więcej poza kanapką i filiżanką kawy”, i wiedziałyśmy, że zapoznaje się z „Vogue”, „Le Jardin des Modes” albo „L'Elégance”. Panna Dawn i Dolores zachowywały dietę i na lunch piły tylko sok owocowy – „renklodowy”, mówił Willmouse – dawałyśmy mu więc renklody dla nich i dla niego; zabierałyśmy też w chusteczki po parę dla siebie.

Mieliśmy zapowiedziane, że nie wolno nam wracać przed czwartą, a jako granicę wyznaczano nam bukszpanowy żywopłot. Po jednej stronie był dom, wszystko, co się w nim działo, i zmieniające się nieustannie konfiguracje ludzi: Eliot, mademoiselle Zizi, madame Corbet, Paul, monsieur

Armand, Mauricette; samochody pełne produktów żywnościowych i szarabany pełne gości. Kiedy byliśmy z dala od tego, wydawało się to równie nierealne jak cocktaile, które oni pili, lub jak pięknie utrzymany ogród koło domu z idealnie równymi rabatami, na które Robert przynosił w skrzynkach rośliny, ze żwirowanymi ścieżkami, żelazną urną i zakopywaną co dzień czaszką.

Po drugiej stronie, w zarośniętym parku i sadzie, był świat dawniejszy, prawdziwszy. Co dzień, gdyśmy tam wchodzili, wdychałam jego stare, naturalne wonie: zapach bukszpanu, mięty, syringi, róż, rosy na trawie, dojrzałych owoców nagrzanym słońcem, zapachy charakterystyczne dla każdego lata. Tam na zarośniętych trawą ścieżkach, w gęstych krzakach i długich uliczkach sadu, gdzie renklody dojrzewały w swoim czasie, nie forsowane i nie przycinane, panował spokój; tam wszystko było sobą, tym czym się wydawało.

Przekroczwszy niebieską furtkę stawaliśmy nad brzegiem rzeki i tu spotykaliśmy niekiedy monsieur Jouberta – choć on po chwili wstawał i szedł do domu na lunch, bo światło stało się już za intensywne lub za jaskrawe. Jego stołeczek i parasol pozostawały tam na całe popołudnie, ale z przyjemnością wspominam, że nawet nam się nie śniło usiąść lub skryć się w cieniu. Szliśmy do zatoczki albo dalej wzdłuż rzeki do miejsca, gdzie drewniany most łączył odnogę z głównym nurtem i wydeptana przez flisaków ścieżka biegła pomiędzy polami a rzeką. Gdzieniegdzie rosła wierzba, taka sama duża jak te w ogrodzie; jej srebrne listki rozwiewał wiatr. Skraj wody zarastało sitowie z ciemnymi wiechami, wyższe od nas, rozgrzane w słońcu, a dokoła zwieszały się girlandy i kaskady białych powojów. Lekkie łódki przycumowane były do pali wbitych w brzeg, a tu i tam widniała przywiązana barka. Inne płynęły po rzece przez cały dzień, a my stałyśmy bez ruchu obserwując je; niektóre wlokły za sobą jeszcze inne barki,

na których mieszkały całe rodziny; widać było porozwieszaną bieliznę, drzewo na opał, a czasem cały ogród zasadzony w doniczkach. Kiedy przepływała któraś z barek, siadałyśmy na brzegu, a wtedy woda ochlaprywała nam gołe kolana i stopy i moczyła sukienki. Często chłopci pracowali przy kapuście lub winorośli, ale nie odzywałyśmy się do nich ani oni do nas.

W dole rzeki, o pół kilometra od „Les Oeillets”, leżało miasto. Co wieczór, po *gôûter*, szłyśmy tam z Hester, przechodząc przez most koło „Giraffe”, żeby zanieść kartki do mamy. Dolny bieg rzeki przeznaczony był na wieczór, a ta beczynna pora lunchu i wczesnego popołudnia należały do biegu górnego, do nagiej rzeki, jak nazywałyśmy długi pas wody między pustymi brzegami.

W jakiś sposób i my wtedy byłyśmy obnażone. Kokon podniecenia, w który osnuwałyśmy się, zostawał gdzieś poza nami; stawałyśmy się znów dziećmi i to było odprężające.

Przyjeżdżając do Francji na krótki czas, mieliśmy bardzo mało ubrania; nasze mundurki wisały w szafie wraz z porządniejszymi sukienkami. Nosiłyśmy „strachy na wróble”, które mama zabrała z myślą o piknikach lub plaży; ponieważ nie chciało nam się czyścić bucików, chodziliśmy boso.

Nie sądzę, by Eliotowi przychodziło do głowy, że nie mamy pieniędzy lub że możemy ich potrzebować. Madame Corbet zabrała czeki podróżne i pieniądze mamy; nasze sprawy finansowe uniosły się w rejon wysoko ponad naszymi głowami. Nie mieliśmy nawet dostępu do wypisywanych spiczastym pismem cyfr w księgach madame Corbet.

– Nie wolno zawracać mamie niczym głowy – powiedział Eliot. – Możecie tylko przesyłać jej serdeczne pozdrowienia.

Nie posiadając nic, w jakiś tajemniczy sposób nie odczuwaliśmy

żadnych potrzeb. Tylko Hester powtarzała często:

– Ach, jakbym chciała, żebyśmy się mogli kąpać na Plaży.

Plaża to była Plaża Wierzb pomiędzy „Les Oeillets” a mostem, tam gdzie druga wyspa odcinała wąski pas wody, prawie kanał. Biały drewniany most łączył go z Plażą, która była ogrodzona. Na ogrodzeniu widniał napis: „*Interdit aux enfants de moins de dix ans qui ne sont pas accompagnés par une grande personne*”<sup>1</sup>.

<sup>1</sup> Dzieciom poniżej lat dziesięciu bez opieki starszych wstęp wzbroniony.

Plaża miała trzy zagrodzone miejsca przeznaczone do pływania, oddzielone od głównego nurtu rzeki drewnianymi malowanymi drążkami. Zielona woda wyglądała chłodno i zachęcająco. Były tam trampoliny i zjeżdżalnie, a białe-czerwone kabiny służyły za szatnie; był też kiosk, gdzie sprzedawano soki i lody. W upalne dni, kiedy chciało się pić, mogłyśmy tylko czytać wymalowane na jego ścianach napisy: „*Glaces: fraise, vanille, citron, moka et chocolat*”<sup>2</sup>.

<sup>2</sup> Lody: truskawkowe, waniliowe, cytrynowe, kawowe i czekoladowe.

– Och! – wzdychała Hester.

Poza zatoczką i Plażą nie było innego miejsca do kąpeli. Marna miała niebezpieczne wiry, a w zatoczce wisiało obwieszczenie: „*Interdit aux baigneurs qui ne sont pas forts nageurs*”<sup>3</sup>. Żadna z nas nie pływała tak dobrze, jak to było wymagane, więc rozbiegałyśmy się tylko w kabinie hotelowej, wkładałyśmy stare, przesycone solą kostiumy i kładłyśmy się na mieliźnie.

<sup>3</sup> Kąpiel dozwolona tylko dla dobrze pływających.

Kiedy zegar na ratuszu wybijał pierwszą, wychodziłyśmy z wody i rozwijałyśmy nasze zapasy. Czekano się na tę chwilę. To Paul przygotowywał nasze pikniki, a będąc po stronie uciskanych, ściągał rzeczy wcale dla nas nie przeznaczone.

Monsieur Armand kazał mu odkładać dla nas bułki z wczorajszego

obiadu, zimne już mięso z ubiegłego wieczoru, sardynki i jajka z przekąsek. Ale Paul ściągał świeże bułeczki, które właśnie przyniesiono od piekarza, udka kurczęcia, ptysie albo ciastka z owocami i w dobroci swego serca pasztet, a nawet kawior, który Hester wrzucała do rzeki. Dla nas, przyzwyczajonych do pikników, na których jedliśmy jajka na twardo, kanapki z mięsem konserwowym, jabłka i czekoladę, te pikniki w „Les Oeillets” były bankietami. W dodatku uświetniała je zawsze butelka wina. Codziennie pytałam Hester:

- Dokąd pójdziemy?
- Donikąd – odpowiadała, kładłyśmy się więc na brzegu lub w zatoczce i przyglądałyśmy się rybom, a słońce grzało nas w głowy i plecy.

Wkrótce włosy nam zbiały, a „strachy na wróble” spłowiły jeszcze bardziej. Słuchając szelestu wierzbowych listków przyglądałyśmy się rybom, jakiejś barce lub rodzinie chłopskiej schylonej w dali nad ziemią, z grabiami w rękach, albo drzemałyśmy, prawie nie rozmawiając. Nie było czego słuchać, prócz tych najprostszycy odgłosów, nie było na kogo patrzeć, nie było w ogóle nikogo, nie padały żadne pytania. Czas płynął, aż wreszcie zegar na ratuszu wybijał czwartą. Wtedy siadałyśmy z westchnieniem.

Zastanawiające, że choć irytowało nas to wysyłanie z domu – kiedy minął wyznaczony czas, nie chciałyśmy tam wracać. Patrząc na ten dom z perspektywy i odległości, wzdrygałam się w duchu. Mademoiselle Zizi, madame Corbet, Eliot, Paul wydawali się zbędni, ale przynajmniej, myślałam z przyjemnością, nie mają z nami nic wspólnego. My po prostu tylko obserwujemy.

Aż kiedyś ósmego dnia – a może dziewiątego, nie wiem, straciłam rachubę czasu – kiedy weszłyśmy do domu i na górę do Joss, zobaczyłyśmy, że rolety w jej pokoju są podniesione, a ona siedzi przy oknie ubrana w swoją najlepszą płócienną sukienkę. Umyła włosy i suszyła je teraz i rozczesywała na słońcu, rozpuszczone na ręczniku.

- Lepiej się czujesz?
- Zupełnie dobrze – odparła. – Mauricette przyniosła mi tu lunch.
- M a u r i c e t t e ?
- To przecież pokojówka.

Do tej pory nie uważałyśmy tej wyniosłej królowej za pokojówkę.

- Prosiłaś ją o to?
- Zadzwoiłam – odrzekła Joss z prostotą.

Popatrzyłyśmy na naszą siostrę. Nawet Vicky wysunęła się niejako ze swojej skorupy, by przyjrzeć się spokojnej, bladej twarzy Joss.

- Umyłaś włosy – powiedziałam.
- Tak. – Popatrzyła na nas. – I wy musicie *to* zrobić. – Nie powiedziała, co myśli o tym, że jesteśmy brudne, a my milczałyśmy. W „Les Oeillets” mycie zdawało się dla dzieci nie wchodzić w rachubę. Joss wyglądała przy nas jak delikatny, świeży kwiat.

– Włosy mademoiselle Zizi nie są wcale rude – powiedziała nagle Vicky. – Są farbowane.

- Wiem – odrzekła Joss.
- W i e s z ? – wykrzyknęłyśmy równocześnie z Hester.
- Wiedziałam, jak tylko ją zobaczyłam, – powiedziała Joss pochylając się do przodu, by przejrzeć się w lustrze; usiadła przy toalecie.
- Skąd wiedziałaś?
- Bo były troszeczkę ciemniejsze u korzonków.
- Wyglądają jak stóg siana – orzekła Vicky.

Wiedziałam, co miała na myśli. Włosy mademoiselle Zizi sprawiały wrażenie suchych i ciężkich.

Joss nie odpowiedziała. Przyglądając się sobie wzięła do ręki szczotkę i zaczęła szczotkować swoje włosy, miękkie i niewątpliwie naturalnie czarne.



## Rozdział siódmy

**B**ył to jeden z wieczorów, kiedy Eliot wrócił do domu.

– Z przyjemnością wydostaje się z paryskiego skwaru i kurzu – mówiła mademoiselle Zizi.

– Dziewięćdziesiąt kilometrów – zauważył zjadliwie Paul.

Dziewięćdziesiąt kilometrów. Eliot nauczył nas zamieniać kilometry na mile.

– Podzielcie przez osiem i pomnóżcie przez pięć.

Pięćdziesiąt pięć mil, według mego przybliżonego wyliczenia, a i to wydawało się oczywiście długą drogą do przebycia.

– On przyjeżdża dla niej – powiedziałam.

– *Quatre-vingt dix kilomètres!* – powtórzył Paul i splunął.

Kiedy Eliot przyjeżdżał, dom zmieniał się zupełnie. Co wieczór około piątej mademoiselle Zizi ubierała się w jedną ze swoich pięknych sukien.

– Nie pięknych, eleganckich – poprawił Willmouse.

Zmieniała fryzurę, różowała się i pudrowała, zakładała sztuczne rzęsy i malowała powieki na niebiesko.

– Potem bierze ołówek i rysuje sobie brwi – opowiadała Hester. – Jakie to śmieszne, że wyskubuję się własne, a zamiast nich rysuje nowe. – Mademoiselle Zizi perfumowała górną wargę i uszy z tyłu – Hester zniżała głos do szeptu, nawet ona nauczyła się, że o niektórych rzeczach nie trzeba mówić głośno. – I perfumuje sobie piersi.

Kiedy zadzwonił telefon, mademoiselle Zizi wpadała do recepcji, ale zazwyczaj czekała w saloniku za barem. To był też elegancki pokój. Nie wolno nam tam było wchodzić, ale mogliśmy zaglądać przez oszklone drzwi. Podziwialiśmy ten pokój z jasnym dywanem, którego deseń stanowiły girlandy kwiatów, ze ścianami wybitymi błękitnym brokatem, ze stołem pośrodku, na którego drewnianym blacie były jakieś malowidła,

i złożonymi krzeselkami o oparciach i siedzeniach wybitych złotym atłasem, ustawionymi równo pod ścianami.

Mademoiselle Zizi powinna obsługiwać gości w barze, ale siedziała w saloniku; wiedzieliśmy dlaczego. Stamtąd mogła obserwować furtkę prowadzącą na dziedziniec i podjazd i pierwsza dojrzeć samochód Eliota.

Nikt nie miał takiego wozu jak on. Był to stary rolls-royce, trochę sfatygowany, ale jego błękitno-srebrna sylwetka zawsze prezentowała się pięknie pośród francuskich i amerykańskich samochodów.

– Dlaczego wybrał wóz, który rzucał się w oczy? – spytał wuj William. – Chyba że mu na tym zależało.

Czasami Eliot zmieniał swoje plany. Wtedy około kolacji – a kolacja w „Les Oeillets” bywała późno, często i o dziesiątej – oczekiwanie kończyło się. Mademoiselle Zizi wychodziła z saloniku i wracała wolnym krokiem do baru, a po chwili szła za madame Corbet do jadalni, do stolika, przy którym jadły. Opadała na krzesło i kruszyła chleb w palcach, a madame Corbet siedziała sztywna i wyprostowana.

W te wieczory gdy Eliot był w domu, siadał często przy ich stoliku, a wtedy, jak zauważyliśmy, madame Corbet jadła zawsze bardzo szybko, krajała mięso na talerzu tak, jakby chciała pokrajać Eliota, i nie odzywała się wcale. Na jej ziemistych policzkach występowały czerwone plamy; kończyła też zawsze i wstawiała od stołu, kiedy tamci byli dopiero przy drugim daniu. Eliot podnosił się z krzesła, gdy odchodziła, ale ona nie zaszczycła go nigdy spojrzeniem, a za chwilę z recepcji dobiegał szybki stukot maszyny do pisania.

Kiedy były same z mademoiselle Zizi, zostawała w jadalni aż do chwili, gdy wszyscy skończyli już jeść. Panował wtedy spokój. Monsieur Armand, jeśli nie było specjalnych gości, pozostawiał gotowanie Paulowi; Mauricette podawała do stołu w rannych pantoflach; nawet psy nie ruszały się z hallu i leżały z łbami opartymi na łapach – nikt prócz Eliota nie dawał im resztek z obiadu.

My oczywiście byliśmy dawno po kolacji; jedliśmy w tym samym czasie co służba. Potem zostawaliśmy przy stole grając starymi kartami w nerwówkę i w osła i obserwując rude loki mademoiselle Zizi pochylające się coraz niżej i niżej, gdy słuchała, co mówi madame Corbet. Potem szła do baru i zaczynała pić.

– No, możemy wyjść na dwór – mówiła Hester.

Oznaczało to wałęsanie się po sadzie i ogrodzie i objadanie renklodami, póki Paul nie był wolny i nie przyszedł na schodki. Siadałyśmy wtedy i paliłyśmy z nim, bo i Hester próbowała czasem. Kiedyś Eliot przyjechał nieoczekiwanie i zastał nas tam. Bałyśmy się, że może będzie zły, ale on tylko wzburzył ręką włosy Hester i powiedział:

– Wy małe plotkary.

Zazwyczaj przyjeżdżał na obiad. Psy usłyszawszy jego samochód – bo wiedziały na długo przed nami, że jedzie – wstawały i otrząsały się machając dużymi ogonami. My robiliśmy prawie to samo. Hester i Vicky rzucały się, by objąć go za nogi, a Willmouse stał i uśmiechał się, co u niego było równoznaczne z wylewnym powitaniem.

– Spójrz – powiedziała raz mademoiselle Zizi do madame Corbet – spójrz, jak kochają go dzieci i psy. To dowód, że to dobry człowiek.

Madame Corbet prychnęła pogardliwie.

Mauricette ujmowała w falbankę fartuszek czapkę i rękawiczki Eliota. Monsieur Armand zerkał przez drzwi z kuchni i zaraz zaczynało coś skwierczeć na rożnie lub w piecu. Jeżeli był tam Paul, mruczał pod nosem, że będzie dodatkowe zmywanie. A w recepcji madame Corbet siedziała w milczeniu, wyciągając szyję i obserwując przywitanie mademoiselle Zizi z Eliotem

On zachowywał się tak, że wszyscy mogli się temu przyglądać. Ze względu na ewentualnych gości lub na nas mówił spokojnie: „*Bonjour, mademoiselle*” albo „*Ça va?*”, ale ona nie zwracała uwagi na nikogo – ani na gości, ani na nas, ani na madame Corbet. Podbiegała do niego i czepiała się jego ramienia. Nie mogła się od tego powstrzymać, choć, jak mi się

zdaje, Eliota to drażniło. Kiedy wpatrywała się w niego po dłuższej nieobecności, oczy jej jaśniały taką radością, że nawet ja, głuptas jeszcze wtedy i romantyczka, myślałam sobie, że chyba nie powinni pozwalać nam patrzeć na to, jak bardzo jest w nim zakochana. Niekiedy Eliot wyglądał okropnie zmęczony; wyraz twarzy miał wtedy napięty, jakiś nerw drgał mu w kąciku ust.

– Przypuszczam – powiedziała potem Hester – że często musiał całą noc nie spać.

Wtedy mademoiselle Zizi była zdenerwowana.

– Musisz się czegoś napić – mówiła wpatrując się w jego twarz. – Przygotuję ci drinka. Usiądź wygodnie. Nie na tym krześle. Każ Mauricette przynieść sobie inne buty.

Aż w końcu mówił:

– Na miłość boską, Zizi.

Wtedy te szeroko otwarte, stale zbolale oczy wypełniały się łzami, a twarz jej zaczynała drżeć. Zdumiewające, że dorosła osoba mogła być tak głupia. Nawet ja wiedziałam, że najlepiej zostawić go w spokoju, aż trochę odpocznie, wypije parę drinków, a potem powiedzieć coś zdawkowego, a nawet niegrzecznego. Wtedy z reguły uśmiechał się i mówił:

– Ty nieznośna smarkulo!

Tego wieczoru kiedy Joss poczuła się lepiej, przyjechali goście: młody Amerykanin o opalonej na czerwono twarzy, trzy Amerykanki i pułkownik francuski z żoną i dzieckiem. Przed obiadem siedzieliśmy w barze przy różnych stolikach.

Kiedy ktoś mówił bezpośrednio do mnie po francusku, potrafiłam go zrozumieć, ale gdy rozmawiali między sobą, nie byłam pewna. Teraz wiedziałam, że francuska rodzina mówi o nas. Widziałam, jak żona gestykułuje wpatrując się z podziwem w Willmouse'a – kobiety zawsze uważały, że jest uroczy, a mężczyźni mieli co do tego zastrzeżenia – w jasne włosy Vicky opadające jej na ramiona, w oczy i loczki Hester. To były rodzinne atuty i byliśmy przyzwyczajeni do tego, że je zauważano. Ale nagle Eliot powiedział

coś, co mnie zaskoczyło.

– *Soeur* to znaczy siostra, prawda? – spytałam później! Joss. – Nie może znaczyć nic innego?

– Jak to?

– Eliot powiedział, że mama jest jego siostrą.

– Nie mógł tak powiedzieć, bo to nieprawda.

– Nie, ale... Powiedział, że jest naszym opiekunem.

– Sądzę, że na razie jest.

– Tak, ale... Mówił jeszcze, że zawsze zabiera nas nad morze, tylko w tym roku zwlekał i zrobiło się za późno. Nie mógł wyjechać do Anglii, więc sprowadził nas tutaj,

– Mówił po francusku?

– Tak.

– No to coś ci się poplątało.

Byłam pewna, że nie. Te zdania stale powracały mi na myśl i mówiłam sobie: to były kłamstwa.

Eliot rozmawiał z Francuzami przy naszym stoliku. Byliśmy wszyscy: my z Hester grałyśmy w nerwówkę automatycznie, szybko i w milczeniu, mając w rzeczywistości oczy i uszy skierowane na Eliota. Willmouse siedział zgarbiony na krześle obok niego, z nosem w książce.

– Ten chłopiec potrzebuje okularów – mówił często wuj William, ale Willmouse oświadczył mamie:

– Jak mi kupisz okulary, to i tak nie będę ich nosił.

Vicky siedziała na podłodze u stóp Eliota, gdzie i Nabuchodonozor paść się na łące ogrodzonej zapałkami.

Zwykle nie skupialiśmy się koło niego, kiedy przyjeżdżał do domu; zachowywaliśmy dystans pełen szacunku Tego wieczora jednak czuliśmy się pewniej.

– Co się wam stało? – spytał patrząc na nas. Przyjrzał się uważniej i dodał: – Tacy jesteście czyści

Ponieważ Joss wstała z łóżka, przebraliśmy się do obiadu Nasze „strachy na wróble” zostały na krzesłach w pokoju na górze, a my byliśmy ubrani w najlepsze stroje. Ale to jeszcze nie wszystko. Zazwyczaj o tej porze schodziliśmy do jadalni na obiad, zanim zeszli się tam goście. Paul wstawał od służbowego stolika, żeby nam podać, prawdopodobnie od garnka lub patelni, bo usta miał pełne; tego wieczora czekaliśmy na Joss. Mademoiselle Zizi nie było; siedziała w recepcji wyczekując na telefon z Marsylii.

W „Les Oeillets” mieliśmy wszyscy swoje ulubione miejsca. Willmouse ławkę pod wiśnią i salonik – choć nigdy w nim nie był. Hester lubiła oranżerię i jeden z klombów goździków, bo ich ciepły, mocny zapach przypominał jej goździk, który Eliot miał w klapie owego pierwszego wieczora, gdy przyjechaliśmy, co wydawało się teraz odległe o wieki. Vicky wybrała obrośniętą winem altanę może dlatego, że znajdowała się ona blisko kuchni, a poza tym mówiła, że lubi bidety.

– Takie ładne jak wanienki dla lalek – wyjaśniała.

Ja lubiłam dziką część ogrodu. Miała w sobie coś poetycznego z *tymi* białymi *posągami i krzewami „białego jaśminu*. Nie wiem czemu, lubiłam też schody i dlatego tak bardzo raziły mnie dziury od pocisków.

O tej porze słońce, zniżając się za drzewa, padało w okno na podeście i zmieniało klatkę schodową w komin wypełniony światłem. Nawet stopnie były w złote prążki, a przez krągłe okno dobiegały trele ptaków śpiewających wieczorną kołysankę w ogrodzie, zanim pogrążył się on w ciszy Te schody przypominały drabinę Jakubowa, wiodącą do nieba.

Wpatrywałam się w nie, nie, nie wpatrywałam – niemal wtapiałam, zapominając o grze w karty; odwróciłam wzrok od tego blasku i wtedy uświadomiłam sobie, że Eliot umilkł.

– No dalej – powiedziała Hester z kartą gotową do położenia, ale ja nie słuchałam.

Eliot siedział nieruchomo trzymając w ręce kieliszek; pułkownik

zmrużył oczy; młoda Amerykanka pochyliła się do przodu. Wszyscy się w coś wpatrywali.

Patrzyli na moje schody. I nagle spostrzegłam, że właściwie nie na schody, to znaczy niezupełnie na schody. Patrzyli na Joss, która po nich schodziła.

Po dniach choroby i nerwowego wstrząsu stała się jakby czystsza, subtelniejsza. Wygląda blado i... niewinnie, pomyślałam, jak płatek śniegu lub biały pączek. Ja natomiast byłam, jak zawsze, pospolita, brązowo-różowa. Joss miała na sobie taki sam płócienny komplecik jak mój, ale na niej leżał on prześlicznie. Na nogach miała sandałki, które kupiła za pieniądze otrzymane na urodziny – białe, bez palców; ja obuta byłam w ciężkie, brązowe szkolne sandały. Wydawało się, że nabrała jakiejś godności, że jest wyższa. Sukienka trochę zanadto się na niej opinała. Jej piersi uwydatniały się wyraźnie – już zawsze odtąd, myślałam o nich jako o piersiach – a słońce rzucało złote błyski na jej ciemne, świeżo umyte włosy.

Kiedy byłam zazdrosna o Joss, mama mówiła:

– Zazdrość to brzydkie uczucie. A szkodzi tylko tobie. Nie bądź zazdrosna.

Ale gdy się jest zazdrosnym, co można na to poradzić? Źle być zazdrosną, ale...

– Wcale nie źle – powiedział Eliot, gdy kiedyś potem spytałam go o to w rozpacz.

– Nie jest źle być zazdrosną? – Zawsze słyszałam coś wręcz odwrotnego.

– Nie – odrzekł stanowczo Eliot. – Tylko te co robisz pod wpływem zazdrości, może być złe.

Myślę, że wiedziałam to sama. Tego wieczora potrafiłabym mówić. Joss rzeczy niemiłe i okrutne, życzyć jej każdego nieszczęścia. Karty wirowały mi przed oczami, czułam rozgoryczenie i złość, kiedy ona zupełnie 'swobodnie podeszła do nas.

Willmouse nie, przerwał czytania, Hester układała karty, Vicky pasła

dalej swego Nabuchodonozora, ale Eliot wstał. Zdumiało mnie to i rozgoryczyło do głębi. „To tylko Joss!” – chciałam krzyknąć. Zaległo milczenie i nagle zaświtało mi w głowie, że Eliot nie wie, kto to jest.

– To tylko Joss – powiedziałam głośno, a on ciągle wydawał się zdumiony. – Joss, ta, co była chora.

– Jedna z was?

To niedowierzanie nie było dla nas pochlebne. Musiałam sobie uświadomić, że on widział ją przedtem tylko jako uczennicę w brzydkim szkolnym kapeluszu zsuniętym z czoła i w łóżku jako potargane chore dziecko. Wydawało się niepojęte, że i tamto też była Joss.

– *Et c'est votre nièce, cette ravissante jeune personne?* – spytał pułkownik od sąsiedniego stolika. – *Adorable! Adorable!*<sup>1</sup>

<sup>2</sup> To Jest pańska siostrzenica ta urzekająca młoda osoba?... Prześliczna! Prześliczna!

Eliot zaczerwienił się z zakłopotania. Czy Joss wie, zastanawiałam się, że nazwał ją swoją siostrzenicą? Zachwycająca, urocza, zgrabna! Ale Joss zdawała się nie słyszeć tych komplementów; usiadła na krześle, które podsunął jej Eliot. Ponieważ się nie odzywał, powiedziała:

– Czuję się już lepiej, a pan na pewno myśli, że jesteśmy najbardziej chorowitą rodziną pod słońcem.

Powiedziała to tak spokojnie, że choć niechętnie, poczułam dla niej podziw. Wiedziałam, że jest nieśmiała, bo i teraz na jej policzki wypłynął rumieniec, a przód sukienki wznosił się szybko i opadał, zdradzając jej zdenerwowanie. Eliot nie odpowiedział, co wprawiło Joss w jeszcze większe zmieszanie. Poczzerwieniała mocniej i spróbowała zagaić znowu:

– Mam nadzieję, że dzieci nie naprzykrzają się panu.

Tego już było za wiele.

– Wcale się nie naprzykrzamy – powiedziałam głośno, a Eliot drgnął, jakbym go zbudziła.



– Napijesz się czego? –, spytał Joss.

– Czy mogłabym dostać lemoniady? – spytała ze sztucznym spokojem.

– Nam nigdy nie proponował lemoniady – szepnęła Hester, kiedy Willmouse otrzymał polecenie zamówienia napoju.

– Ja? – spytał, pogrążony w lekturze.

– Tak. Ty – odparł Eliot tak sucho, że Willmouse wyszedł bez słowa.

Napój przyniosła mademoiselle Zizi, która skończyła już telefoniczną rozmowę. Była zaintrygowana.

– Eliot, Willmouse mówi, że prosisz o lemoniadę. Czy to prawda?

Kiedy weszła do pokoju, Joss wstała. Mogła tego nie robić, lecz nawyki uczennicy były w niej jeszcze silne. Wstała więc, a mademoiselle Zizi patrzyła na nią równie zdumiona jak przed chwilą Eliot, choć, pomyślałam, w zupełnie inny sposób.

Stały z Joss obok siebie i nagle zauważyłam, że Eliot patrzy w dół. Wzrok jego zatrzymał się na chwilę, jakby czymś przyciągnięty, odsunęłam więc krzesło, by zobaczyć, co to takiego. Patrzył na ich stopy. Mademoiselle Zizi miała także na nogach sandały, czarne, bez palców, na wysokich obcasach; odsłaniały one paznokcie pomalowane na kolor mocno czerwony i palce brunatnawe, krzywe, zgrubiałe od odcisków; duże palce, skierowane do środka, szpeciły ponadto brzydkie guzy. Na jej miejscu nie odsłaniałabym ich; raz jeszcze uderzyła mnie głupota tej kobiety. Stopy Joss obok jej stóp wydawały się lekkie pod białymi skrzyżowanymi paskami sandałów; ładne, smukłe, nieskazitelne, o gładkich, prostych dużych palcach i perłoworóżowych paznokciach. Wzrok mademoiselle Zizi pobiegł za wzrokiem Eliota. Postawiła nagle lemoniadę na stole i przeszła na jego drugą stronę.

– *Merci bien, mademoiselle*<sup>1</sup> – powiedziała Joss i zawahała się. – Powinam była powiedzieć dobry wieczór – dodała niepewnie.

<sup>1</sup> Dziękuję pani bardzo.

Mademoiselle Zizi nie odpowiedziała od razu; patrzyła tylko na Joss. Po chwili rzekła:

- Nie orientowałam się...
- W czym? – spytała Joss.
- Że jedna z was jest już taka... duża.

## **Rozdział ósmy**

**T**ego dnia kolacja nie upływała w atmosferze swobodnej. Jeśli do hotelu przyjechał jakiś Francuz, Eliot jadł sam. Tego wieczora przez całą kolację oczy jego nieustannie kierowały się ku Joss, wciąż z tym samym zdumionym wyrazem. Od swego stolika mademoiselle Zizi śledziła jego wzrok. W końcu wstała i wyszła z jadalni. Nie sądzę, by to zauważył.

My przy naszym stole wyczekiwaliśmy bez końca, bo Paul nie podszedł do nas wcale. Miał na sobie białą kurtkę, którą wkładał wtedy, kiedy w jadalni potrzebna była jego pomoc, ale tylko donosił półmiski do drzwi służbowych i podawał Mauricette zabierając od niej brudne talerze. Słyszałam, jak rozkazywała mu gniewnym szeptem, żeby przyszedł jej pomóc, ale on nie chciał. Joss oczywiście nie wiedziała, że coś jest nie tak jak zawsze. Siedziała skromnie, grzecznie i cierpliwie, ale Vicky zaczęła kiwać się z sennałości, a Willmouse ziewał i kręcił się niespokojnie. Dla nich była to już niedorzecznie późna pora, ale od dawna zapomniało się o godzinie, kiedy powinni się kłaść. Od pierwszego dnia przestałam się o to kłopotać, a Joss musiała być oszołomiona, bo nic nie mówiła.

– Nigdy nie położyłam się przed jedenastą, ani razu – opowiadała potem Vicky wujowi Williamowi.

Hester skinęła na Paula, żeby podał nam półmisek, który trzymał w rękach stojąc w progu, ale on nachmurzył się i odwrócił plecami. Na kolację była zupa selerowa, duszone pomidory, cielęcina z kartoflami, fasola, podana osobno według tamtejszego zwyczaju, ser i owoce. Jedliśmy dopiero cielęcinę, kiedy mademoiselle Zizi zawołała Eliota z recepcji. Rzucił niecierpliwie serwetkę i wyszedł. Wkrótce potem goście skończyli jeść i opuścili jadalnię, ale Mauricette nadal mijała nas sprząając ze stołów zamiast przynieść nam owoce. Czuliśmy się na tyle zadomowieni, że zaczęło nas to drażnić, lecz Joss powiedziała:

– Naturalnie, że muszą obsłużyć najpierw ważniejszych gości.

Nie zdawała sobie sprawy, że pokojówka wyładowywała na nas swą złość, a Paul nas unikał. Skąd mogła wiedzieć? Kiedy w końcu Mauricette postawiła na stole talerz z renklodami, kryształowy dzbanek z wodą do mycia palców i czyste talerzyki, Joss powiedziała „*merci*”, tak jakby pokojówka okazała normalną uprzejmość.

– *Mademoiselle Zizi vous attend dans le bureau* – rzuciła – *si des fois vous auriez fini.*<sup>1</sup>

<sup>1</sup> Mademoiselle Zizi czeka na was w recepcji, jak wreszcie skończycie jeść.

Joss popatrzyła na mnie pytająco. Nie była przyzwyczajona do szybkiej mowy Mauricette.

– Mademoiselle Zizi chce, żebyśmy przyszli do recepcji – powiedziałam. – O Joss!,

Wyglądała trochę przestraszona, a my popatrzyliśmy na siebie. Stół, wokół którego siedzieliśmy, wydał się nam nagle mały, a jadalnia duża i obca.

– Kto wam pozwolił zmieniać porę kolacji? – spytała mademoiselle Zizi.

Joss spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– Jedliśmy zawsze z monsieur Armandem i innymi – wyjaśniłam.

– Jakimi innymi?

– Mauricette, Paulem, Toinette, Nicole. – Żał mi się zrobiło tego chaotycznego minionego tygodnia. Skończyło się beztroskie, radosne pozostawanie w cieniu, Joss wyciągnęła nas na pełne światło.

– Kto powiedział, że możecie to zmieniać?

Joss skierowała wzrok na mademoiselle Zizi. Ciągłe uprzejmym tonem spytała:

– Życzy sobie pani, żebyśmy jedli ze służbą?

Szyja mademoiselle Zizi, spurpurowiała.

– Mauricette nie może sobie poradzić z taką ilością osób w jadalni.

Ja byłabym przyjęła to wyjaśnienie, ale Joss powiedziała:

– Cecil mówi, że często jest sześćdziesiąt osób na lunchu, a dziś było nas tylko piętnaścioro.

– Nie życzę sobie – mademoiselle Zizi zająknęła się trochę – żeby dzieci jadły ze starszymi.

Łagodna odpowiedź Joss brzmiała nieubłaganie:

– Ale *monsieur le colonel* i *madame*, nie wiem, jak się ci państwo nazywają, jedli dziś wieczorem ze swoją córeczką.

– Nie spieraj się z mademoiselle Zizi – wtrąciła madame Corbet tak jadownicie, że Joss zdumiała się znowu.

– Prze... przepraszam – powiedziała – ale nasza mama nie byłaby z tego zadowolona.

– Matka zostawiła was pod moją opieką – odparła mademoiselle Zizi.

Joss mogłaby ratować się przyjmując rolę małej dziewczynki, ale „czyż mogłam? – spytała później. – Jestem już przecież duża”. Teraz rozumiem, że to, co powiedziała, było jak kamień rzucony w sadzawkę, który marszczy powierzchnię wody.

– Matka zostawiła was pod moją opieką – powtórzyła mademoiselle Zizi.

– Zostawiła nas pod opieką monsieur Eliota – odrzekła Joss. – Czy mamy go zapytać, co on o tym sądzi?

Myślałam, że mademoiselle Zizi uderzy Joss, ale opanowała się i po chwili powiedziała:

– Możecie jeść kolację z gośćmi, ale zakazuję wam, absolutnie zakazuję przeszkadzać monsieur Eliotowi.

Po chwili poszłyśmy z Hester na schodki z tyłu domu. Nie chciałyśmy, by Paul pomyślał, żeśmy go opuściły; on jednak choć nas zobaczył i wiedział, że spostrzegłyśmy to, nie podszedł do nas. Ostentacyjnie pracował w kuchni, a ilekroć monsieur Armand przechodził koło niego, mruczał:

– *Bougre de gâte-sauce! Marmiton miteux! Espèce de mitron de merde! Va donc, eh! Ordure!*

Wiedziałam, że to przekleństwa, ale na szczęście nie rozumiałam, co znaczą, I nie wiedziałam też, dlaczego Paul złościł się na monsieur Armand.

– Co mu się stało? – spytała Hester.

## Rozdział dziewiąty

**A** potem nadeszły te trzy dni

– Wolałabym, żebyś nie pisała o tym – powiedziała Joss, kiedy je opisałam

– Muszę. I one stanowią część tego wszystkiego.

– Tak. Istotną część. – Mówiąc to odwróciła wzrok i już żadna z nas nie powiedziała nic więcej.

Nazajutrz rano mademoiselle Zizi i Eliot spotkali się w hallu, Eliot miał na sobie płócienne spodnie, granatową koszulę, tenisówki, swoją starą

czapkę i ciemne okulary

– Mówiłeś przecież, że jedziesz do Paryża – powiedziała. Wyglądała zmieszana.

Roześmiał się i położył ręce na głowach Hester i Willmouse'a.

– Muszę pilnować mojej rodziny, Zizi. – Spojrzawszy jej w twarz podszedł, ujął ją za ramiona i zakotyssał nią lekko w tył i w przód. – Czy człowiek nie może mieć jednego lub dwóch, dni wolnych?

Zerwał bukiet róż w ogrodzie i zabrał Joss i mnie do mamy. Doktor, *monsieur le directeur*, przywitał nas i jakbyśmy były dorosłymi damami, oprowadził po szpitalu.

W sali męskiej ukloniliśmy się, tak jak to zrobił Eliot, i powiedziałyśmy: „*Bonjour, messieurs*”, w sali kobiet i na oddziale położniczym: „*Bonjour, mesdames*”. Czuliśmy się jak królowe.

– Szpital francuski nie różni się od angielskich – stwierdziła Joss postanowiwszy okazać się osobą doświadczoną. Ja byłam zbyt wniebowzięta, by się zastanawiać, czy jestem doświadczona, czy nie.

– Szpitale angielskie nie nazywają się hotelami Boga – wtrąciłam. – Pielęgniarki w nich nie są zakonnice. Nie zostały zbudowane w 1304 roku przez królową, żonę Filipa Pięknego. W Anglii nigdy nie było Filipa Pięknego. I pacjenci nie dostają wina na lunch – widziałam, jak rozwożono na wózkach posiłek południowy – a ich krewni nie mogą przychodzić i wychodzić, kiedy mają ochotę. Szpitale francuskie są ciekawsze i sympatyczniejsze.

– Ta młoda panienska jest spostrzegawcza – powiedział *monsieur le directeur*, kiedy Eliot przetłumaczył mu moje słowa, a ja poczułam się pochlebia.

Eliot rozmawiał na korytarzu z zakonnice opiekującą się skrzydłem, gdzie leżeli prywatni pacjenci, a tymczasem pielęgniarka zaprowadziła nas do mamy.

– Na dwie minuty – powiedziała przez otwarte drzwi.

Byłam rada, że to tylko dwie minuty, bo muszę przyznać, że widok mamy psuł mi cały dzień. Pokoje dla pacjentów prywatnych były to białoniebieskie kabinki, jakby zamknięte w odrębnym świecie spokoju i ciszy. Jakiś dziwny zapach unosił się wokół mamy.

– Znów musiano jej wczoraj otworzyć nogę – uprzedził nas Eliot.

Łzy płynęły jej z oczu, gdy trzymała nas za ręce. Nigdy nie potrafiłabym wyobrazić sobie mamy bladej, a ona była biało-żółta, jak wosk. Byłyśmy przerażone.

– Czy... czy na pewno jest wam dobrze? – zabrzmiał jakby daleki szept.

– Na pewno – odpowiedziałam z roztargnieniem, bo choć byłam przestraszona i pełna współczucia, nie mogłam się powstrzymać od słuchania tego, co Eliot mówi na korytarzu za drzwiami. Potrafi rozmawiać z każdym po francusku lub angielsku, myślałam z bólem. Słuchałam jego spokojnego głosu i wyczuwałam miłe podniecenie w odpowiedziach udzielanych mu przez zakonnice. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek jakaś kobieta mogłaby być podobna do Eliota, a jeśli tak, to czy mogłabym nią być ja. Nagle poczułam wdzięczność za kary wymierzone mi w szkole Świętej Heleny i za gazetowe lekcje monsieur Armanda; postanowiłam skończyć z nieśmiałością i ćwiczyć się odtąd we francuskim przy każdej sposobności.

– Ja się tak... martwiłam – wyszeptała mama.

Nie wiem, w jaki sposób Eliot to usłyszał, bo przerwał rozmowę prowadzoną z zakonnice i podszedł do mamy.

– Nie wolno się pani martwić – powiedział.

Mama otworzyła oczy i uśmiechnęła się do niego. Wydawała się spokojniejsza, ale nie miała już ochoty na rozmowę, więc Eliot dał nam znak, byśmy wyszły. Po chwili wstał i także opuścił pokój zostawiając bukiet róż na łóżku.

Kiedy wracaliśmy przez miasto, wiele osób pozdrowiało go; zatrzymał się co chwilę i ścisnął wyciągnięte dłonie.

– We Francji trzeba ciągle podawać komuś rękę – tłumaczył. – Przyrzycie się dzieciom.

Dzieci było mnóstwo. Gdyby to był okres nauki, mówił Eliot, byłyby ubrane w czarne dreluchy i niosłyby torby przypominające torby na listy, te zaś, które pochodzą z prowincji, miałyby ponadto koszyki z jedzeniem. Widziałyśmy rzeczywiście, że dzieci spotykając kogoś znajomego podawały mu rękę. Ulice były pełne ludzi; kobiety w pantoflach i szalach, przypominających szal madame Corbet, niosły ciężkie torby z zakupami; mężczyźni w granatowych kombinezonach, spłowiałych i wyplamionych, mieli berety takie jak monsieur Joubert. Widać było handlarzy w grubych ubraniach, szoferów ciężarówek, furmanów, zakonnice, chłopców i dziewczynki, i małe dzieci w fartuszkach.

– W Anglii dzieci nie noszą fartuszków – zauważyłam.

Miasto wydawało się zawsze wesołe, ze stolikami i krzeselkami w cieniu pasiastych markiz na chodnikach.

Zachwyciły mnie nazwy sklepów. „Aux Joyeux Carillons” – wesoły dźwięk dzwoneczków pasował do zabawek i gier. „A la Fourmi” – suknie. Dlaczego mrówka ma symbolizować suknie?

– Mrówki są pracowite – wyjaśnił Eliot. – Przypuszczam, że szyją małymi, drobnymi ściegami.

„Graines potagères. Graines de Fleurs”. Zastanawiałam się, co to znaczy. „Sklep z nasionami. Nasiona warzyw i kwiatów”. „Anne Maria Ferrère. Modes Transformations”. „Cremerie Centrale, en Gros et demi-Gros”. „Les Meubles Tulin”. „J. Binet. Bonneterie Lingerie. Spécialité de Bas”.

Często marzyłyśmy, żeby kupić dla mamy kwiaty w „L'Eglantine”, gdzie były goździki, róże i płomienne mieczyki. W sklepie z towarami mieszanymi znajdował się komplet składający się z dwóch filizanek i dwóch spodeczków z zielonej porcelany, na których był napis: „*Toi et Moi*”. „Ty i ja” – szeptała Hester. Uważałyśmy, że to wzruszające, i postanowiłyśmy kupić kiedyś ten komplet dla mamy i ojca.



– O ile będziemy miały jakieś pieniądze – wzdychała Hester. – I musimy przywieźć też coś wujowi Williamowi.

Może taką fajkę z herbami albo wazon z tymi pięknymi kwiatami z wosku.

Eliot pozwolił nam zatrzymać się przed sklepem ze słodyczami i ciastkami, którego Joss jeszcze nie widziała; wyjaśniał nam nazwy różnych ciastek: ptysie, babki rumowe, bezy z kremem *chantilly*, a także kandyzowane gruszki i jabłka. Nie popełnił tego błędu, by nam coś z tego proponować, ale wszedł z nami do sklepu i kupił pudełko czekoladek dla Hester i malców. W sklepie unosił się cudowny zapach czekolady i wiśniowego likieru, z którego słynęło Vieux-Moutiers. Były tam też migdały w cukrze, lukrowane kasztany, osmażane w cukrze fiołki, różane listki i owocki mimosy.

– Czy nie ma tu żadnych zwyczajnych słodyczy? – spytałam.

– Kupuje się je w sklepie spożywczym – powiedział Eliot – ale tu mają lizaki.

– Nie sądzę, żeby mademoiselle Zizi była zadowolona gdybyśmy się pokazały z lizakami – powiedziałam.

Przyglądałyśmy się, jak ekspedientka pakowała pudełko w biały papier i owiżywała je złotym sznureczkiem, a potem pieczętowała złotą pieczętką. Wydawało nam się to niezwykle wytworne.

– Czy nie zmęczyło was używanie tego słowa? – spytał Eliot, gdy mu to powiedziałam, ale my nie byłyśmy nim zmęczone.

– W Southstone nie pakują tak pudełek – zauważyła Joss.

– Ale w Londynie chyba tak – powiedział Eliot.

– To nie jest Londyn, tylko małe miasteczko, mniejsze od Southstone.

– Francuzi potrafią żyć – stwierdził Eliot i zapragnęłam być Francuzką.

Potem zaprowadził nas do „Giraffe”. Olśnione, zasiadłyśmy przy jednym z marmurowych stolików, koło których tak często przechodziłam. Kelner nalał mi wina z wodą, ale dla Joss napełnił kieliszek samym winem; splotęła wbrew woli rumieńcem. Kiedy podszedł do nas właściciel lokalu, monsieur Gerard, i zaczął rozmawiać z Eliotem, siedziała sztywno wyprostowana, z kieliszkiem bladeżółtego wina w ręku, przenosząc wzrok z jednego na drugiego. Pamiętam, że włosy jej załśniły znów w słońcu, które przebiło się przez markizę, i że pod wpływem gorąca, a może wina, kropelki potu wystąpiły jej na czole i szyi. Eliot wyciągnął palec i dotknął jednej z nich.

- Rosa Joss – powiedział, ale ona siedziała dziwnie spokojna.
- Czy ma słony smak? – spytałam.
- Ma smak korzeni i cukru – odpowiedział i znów oczy jego spoczęły na Joss; zdawał się słuchać z roztargnieniem tego, co mówił monsieur Gerard.

Potem wróciliśmy do „Les Oeillets”. Na stole w hallu leżały nasze paczki.

- Co to jest? – spytał Eliot.
- Jedzenie na piknik. – A Joss wyjaśniłam: – Musimy się teraz stąd wynosić.

Eliot popatrzył na paczki i na Joss, a potem na sad lśniący zielenią w słońcu. Z baru dochodziły głośne rozmowy, śmiech i brzęk kieliszków.

- I ja poproszę prowiant na piknik – powiedział Eliot.
- Piknik? Ty? – zdziwiła się madame Corbet.
- Tak – odrzekł Eliot.

Madame Corbet nie wiedziała, czy ma być zgorzozona, czy zadowolona, ale wyszła, by przygotować jeszcze jedną paczkę.

- Co on myślał? – zapytał później wuj William.
- Wcale nie myślał – odpowiedziałam. – Po prostu raz zapomniał o myśleniu.

Wydaje mi się teraz, że trafiłam w sedno. Dotąd pamiętam słowa Eliota: „Czy człowiek nie może mieć jednego lub dwóch dni wolnych?”

Poszliśmy do zatoczki.

– Wszyscy sześcioro – opowiadała Hester.

Willmouse zostawił swoje szycie, Vicky opuściła monsieur Armanda, chociaż miały być na lunch *oeufs à la neige*.

– Sama z tym człowiekiem! – powiedział potem wuj William o Joss. Ale oni nigdy nie byli sami. Towarzyszyliśmy im zawsze niczym chór i – choć nie wiedzieliśmy wtedy o tym – jak straż.

Przy niebieskiej furtce spotkaliśmy monsieur Jouberta, który właśnie wracał. Zobaczywszy Joss zdjął kapelusz – gdy słońce stawalo się bardziej palące, zamieniał beret na panamę. Uśmiechnął się i cofnął, by nas przepuścić, a potem stał patrząc za nami z kapeluszem w ręku. Joss szła z jednej strony Eliota; sięgała mu do ramienia. Vicky z drugiej, czepiając się jego ręki. Willmouse i Hester przed nimi – przystając i gadając przez cały czas – a ja z tyłu. Kiedy się obejrzałam, monsieur Joubert patrzył jeszcze ciągle w zamyśleniu za nami.

Był to bardzo wesoły piknik. Czuliśmy się raczej tak, jakbyśmy uciekli, a nie zostali wyprawieni z domu. Po lunchu Vicky usnęła z głową na kolanach Joss. Hester i Willmouse taplali się w wodzie, a ja leżałam – tak jak lubił leżeć Eliot – twarzą do piasku. Głosy Joss i Eliota brzmiały jak cichy szept; wydawało się, że mają sobie bardzo dużo do powiedzenia, ale ja tonęłam w zbyt błogim spokoju, żeby być zazdrosna. Wszystko i wszystkich ogarnął spokój.

– No, leniuchy – powiedział nagle Eliot – muszę jechać do Soissons. Kto chciałby się przejechać ze mną?

Usiadłam, a Willmouse wychodząc z wody wydyszał:

– Twoim rolls-royce'em?

– Tak. Obejrzymy katedrę.

Rolls-royce'em Popatrzeliśmy na siebie, twarze płonęły nam podnieceniem.

– Ale... czy mademoiselle Zizi nie będzie miała nic przeciwko temu? – spytałam.

– Dlaczego miałyby mieć? – W głosie Eliota był chłód, który znałam tylko ja, więc umilkłam. Żadne z nas jednak nie weszło już do domu; umyliśmy twarze i ręce w rzece i zostawiliśmy swoje torby na kuchennych schodkach.

Jadąc drogą do Soissons widzieliśmy na polach kopy ciemnego zboża, ciemniejszego niż w Anglii. W lasach drwale układali pocięte bale, by wyschły.

– Pomyśleć, że mógłby być pożar! – powiedziała Hester.

Gorące powietrze drgało i migotało wśród drzew, owiewając nam policzki. Była to niewątpliwie Francja, nie Anglia. Minęliśmy figurę Matki Boskiej stojącą wśród pól, wóz wyładowany beczkami wina, francuski cmentarz wojskowy z mnóstwem małych drewnianych krzyżyków, które oglądaliśmy w przewodnikach. Na koniec wjechaliśmy do Soissons, z jego zrujnowanym opactwem o dwóch bliźniaczych wieżach, domami o grubych murach, otynkowanymi na kolor miodu, i dużym placem otaczającym katedrę.

Przed katedrą Eliot powiedział do Joss i do mnie:

– Włóżcie coś na głowy, taki tu jest zwyczaj.

Ale żadna z nas nie miała nic do włożenia.

Eliot pożyczył mi swoją chustkę do nosa, ale dla Joss nie było nic. Jakaś kobieta przystanęła, by przyjrzeć się nam z podziwem – i to była częśćka tego upalnego, radosnego dnia: podziwiano nas; wyszła właśnie z katedry i miała w rękę czarny koronkowy welon. Widziałyśmy w Vieux-Moutiers kobiety w takich welonach – wkładały je idąc do kościoła. Kobieta podeszła i delikatnie założyła swój welon na włosy Joss.

– Voilà ce *qu'il vous faut*<sup>1</sup> – powiedziała i wskazała Eliotowi drzwi

w jednym z domów naprzeciwko, gdzie mieliśmy odnieść pożyczony welon.

<sup>1</sup> To się panience przyda.

Poprzez oczka welonu włosy Joss wydawały się jeszcze piękniejsze; welon rzucał cień na jej twarz, tak że nabrała tajemniczego wyrazu; jej cera miała intensywniejszy niż zawsze odcień kości słoniowej. Eliot nie odrywał od niej oczu. Szłam sama starając się nie czuć ostrego bólu w sercu.

W katedrze, przy drzwiach szeroko otwartych na zalany słońcem plac, było widno. Długa nawa z jasnego kamienia pocięta była jakby w ogromne cegły. Posadzka, także kamienna, wyglądała zniszczona. Dlaczego była tak zdeptana?

– To stara posadzka. Ściany są nowsze. Katedra w Soissons została w czasie wojny zburzona. Odbudowano ją – wyjaśniał Eliot.

– Co? Ten kolos?

Musieliśmy przechylić głowy do tyłu, by spojrzeć na sklepienie, całe w kamienne rowki, na ogromną rozetę okna w nawie bocznej i na podłużne okna poniżej z witrażami w kolorach bursztynowym, czerwonym i jasno-błękitnym, rzucającymi barwne błyski na kamienną posadzkę. Wszystko było ogromne, przypieczątowane spokojem.

– To wielka rzecz – powiedział cicho Eliot.

„*Il est interdit de circuler dans la cathédrale durant les offices*”<sup>1</sup> – głośniły napisy na ścianach.

– Jakich biur? <sup>2</sup> – pytaliśmy rozglądając się za biurkami i telefonami.

<sup>1</sup> Zabrania się, chodzenia po katedrze w czasie nabożeństw.

<sup>2</sup> Nieprzetłumaczalna gra słów: o f f i c e znaczy po angielsku „biuro” i „nabożeństwo” (po francusku również).

– Nabożeństw: laudów, niesporów – tłumaczył Eliot. Patrzyliśmy ciągle zmieszani, a on roześmiał się i dodał: – Wy małe angielskie głuptasy.

Madame Corbet powtarzała często:

– Anglicy nie mają żadnej religii. – A wobec tego, że w „Les Oeillets” jedynymi Anglikami byliśmy my i Eliot, można jej to było wybaczyć. – Co, nie idziecie do kościoła? – spytała w pierwszą niedzielę, a potem w drugą: – Czy wy nigdy nie chodzicie do kościoła?

- Na Boże Narodzenie i na Wielkanoc – wyjaśniłam jej.
- I byliśmy w kościele, jak nas chrzczono – dorzuciła Hester.
- Anglicy nie mają żadnej religii – orzekła madame Corbet.

Nie byliśmy nigdy w kościele katolickim; wszystko tu było interesujące, od masywnych kamiennych filarów do połączonych stacji Drogi Krzyżowej wzdłuż ścian. Patrzyliśmy na rzędy krzesel.

- Czy ci wszyscy ludzie tu przychodzą?
- Przychodzą – odpowiedział Eliot.

Zapach kadzidła kręcił w nosie, podobały nam się świece rozsiewające ciepły blask w niewielkich kaplicach.

- Kto je tu postawił?
- Ludzie – odrzekł Eliot. – Patrzcie!

Ludzie wchodzili i wychodzili przez cały czas, choć nie odprawiało się żadne nabożeństwo. Wchodzili i modlili się sami, niektórzy odmawiali różaniec, inni przynosili kwiaty, jeszcze inni zapalali świece. Nie byli odświętnie ubrani; niektórzy mieli w ręku torby na zakupy lub narzędzia, jedna z kobiet była w domowych pantoflach, wszyscy zdawali się czuć tu dobrze, swojsko; nie wyobrażałam sobie dotąd, że można się czuć w kościele jak w domu.

W Kaplicy Zmartwychwstania kwiaty i świece były białe, ale ku naszemu wielkiemu zdumieniu figura Matki Boskiej była czarna.

- Czy nie piękna? – spytał Eliot.

Czy ktoś czarny może być piękny? Taka myśl nie nawiedziła dotąd naszych małych, wyspiarskich mózgów.

- Dlaczego ona jest czarna?
- We Francji jej posągi są często czarne – odpowiedział Eliot.
- W przewodnikach piszą, że pierwsze kościelne figury rzeźbione były w drzewie kopalnego dębu, które jest czarne – wtrąciła Joss i spytała: – Czy ta figura może być z tamtych czasów?
- Nie wiem – odparł Eliot – ale jest bardzo, bardzo stara.
- Ile ma lat? – zapytała Hester.
- Myślę, że kilkaset, i to podobno figura cudowna.
- Cudowna? – Hester była zaintrygowana.
- Może czynić cuda.
- N a p r a w d ę ? – Popatrzyliśmy wszyscy na statuę.
- Tak ludzie mówią – powiedział Eliot. – I dlatego pali się przed nią tysiące świec, a od dymu poczerniała jeszcze bardziej.

– Ma piękny płaszcz – szepnął Willmouse.

Był to biały brokat we wzór z błękitnych kluczy. Willmouse wyciągnął palec i dotknął go. I Matka Boska, i Dzieciątko mieli na głowach małe korony wysadzone klejnotami.

– To rubiny i turkusy – wyjaśnił Eliot.

– Prawdziwe? – wyszeptał Willmouse i patrzył na nie jak urzeczony, gdy Eliot potwierdził skinieniem głowy.

Hester, która zawsze chciała wszystko sprawdzić, potrzywała chwilę rękę nad płomieniem świecy i oczywiście został na niej czarny ślad. Vicky szarpnęła Joss za rękę.

– Ja chcę obejrzeć rubiny – szepnęła i Joss podniosła ją w górę.

Gdy trzymała małą, twarz jej, oświetlona blaskiem świec, wyglądała w obramowaniu czarnej koronki jak pozłacana. Mama mówiła, że Joss jest piękna „chwilami”, lecz w tym momencie wiedziałam, że to coś więcej. Piękność mojej siostry jest trwała, myślałam, bo zawsze – jak obraz – ma

wyraźne kontury. Wtem ręce Eliota ścisnęły mnie za ramiona. Poczułam ból, odwróciłam więc głowę, by na niego spojrzeć. Nie zdawał sobie nawet sprawy, że mnie dotknął. Patrzył na Joss tak jak przed chwilą Willmouse na klejnoty.

Parę minut przedtem cofnęłabym się, zraniona i zła, ale teraz stałam spokojnie. Może Czarna Madonna dokonała jednego ze swych cudów, bo już się nie buntowałam. Joss była piękna, a ja nie; ona, nie ja, zwracała uwagę; Eliot patrzył na nią, a mnie nawet nie dostrzegał, a jednak nie byłam zazdrosna. Odczuwałam smutek, lecz był to smutek ukryty, nie zazdrość.

Kiedy wyszliśmy z katedry, miło było poczuć znów ciepłe słońce na ramionach i głowach. Hester i Willmouse poszli odnieść welon. Eliot wyuczył ich, co mają powiedzieć: „*Mille remerciements, madame*” i „*Merci pour votre bonté*”<sup>1</sup>. Gdy wrócili, zabrał nas wszystkich do *pâtisserie* na kawę, czekoladę i ciastka. Od chwili gdy tego ranka zobaczyliśmy w Vieux-Moutiers sklep ze słodyczami, byliśmy z Joss opętane wizją babek i beżów.

<sup>1</sup> Stokrotne dzięki. Dziękujemy pani za dobre serce.

– I tych gruszek – powiedziała tęsknie Joss.

Wybieraliśmy długo. Dla Vicky był to ważny moment dnia, ale Eliot okazał cierpliwość. Zamówił dla nas czekoladę, a dla siebie i Joss mrożoną kawę, którą podano w wysokich szklankach z grubymi słómkami i długimi srebrnymi łyżeczkami. Cukiernia była wytworniejsza niż w Vieux-Moutiers i Joss musiała odczuć to samo, co ja czułam, bo po chwili powiedziała do Eliota:

- Przykro mi ze względu na nasze stroje.
- Wasze stroje?
- Tak – odrzekła krótko Joss.
- Mnie się one podobają – powiedział Eliot.
- To niemożliwe. – Po tonie, jakim to wyrzekła, poznałam, że było jej przykro.



– Mnie się one podobają – powtórzył Eliot i położył rękę na jej ręce wspartej o kolano. – Podoba mi się wszystko, co ma coś wspólnego z tobą. Znów na chwilę zapanowało milczenie. Potem Joss cofnęła rękę.

Ten dzień miał kolor złoty, ale następny był zielony, bo Eliot zabrał nas na piknik do lasu w Compiègne.

Wałęsaliśmy się przez cały dzień i spacerowaliśmy po długich duktach i bukowych polankach. W samej pełni lata las był intensywnie zielony. Pospzycie jego zdobiły kępy rozrośniętych paproci i biało-zielona koronka marchewnika; pienił się tam jasny szczaw leśny o listkach kształtu koniczyny. Znaleźliśmy powój i Hester uplotła z niego wianki dla malców.

– Willmouse wygląda jak faun – powiedział Eliot wskazując na niego, gdy biegł wśród paproci, bez koszulki, w kwietnym wianku na głowie.

W lesie nie było prawie nikogo. Dotarliśmy nad dwa odludne jeziora odbijające zieleń drzew i płachty niebieskiego nieba, na którym nie było ani jednej chmurki; białe lilie wodne chwiały się lekko, kiedy Hester i Vicky rozbryzgiwała wodę patykami, marszcząc jej powierzchnię. Ten odgłos i kwoktanie zaniepokojonej pardwy to były jedyne dźwięki wśród ciszy.

– Ludzie zapominają o Compiègne – powiedział Eliot.

Kiedy poczuliśmy się zmęczeni, wróciliśmy do samochodu i pojechaliśmy dalej. Rolls sunął prawie bezgłośnie wzdłuż długich duktów; i wszędzie przesączało się takie samo zielonkawe światło – promienie słońca przenikały przez gałęzie, migocząc lekko na ziemi. Dojechaliśmy do jakiegoś miasteczka, szarego wśród drzew, gdzie był château, czyli zamek z wieżyczkami i grubymi murami.

– Jak zamek Śpiącej Królowny – powiedziała Hester.

- Cały dzień jest jak z bajki – dorzuciłam.
- Nie. To prawda – powiedziała Joss. Wyrzekła to gwałtownie, a gwałtowność tak nie pasowała do Joss, że wszyscy spojrzeliśmy na nią.
- Tak, to prawda – powtórzył Eliot. Wsunął jej ręką pod swoje ramię, ale widziałam, że Joss nie chciała iść z nim w ten sposób, i gdy tylko jej się to udało, cofnęła dłoń.

Nie wiem, o której zjedliśmy lunch, może o trzeciej, a potem leżeliśmy w gorącej trawie podrzemując. Później spotkaliśmy rodzinę francuską, także na pikniku. Dzieci miały na imię Raoul, Elizabeth, którą nazywano Babette, i Jeanne; ich imiona związały się na zawsze z tym cudownym dniem. Pamiętam, że grali w coś w rodzaju tenisa, ale my nauczyliśmy ich palanta i graliśmy razem – Anglicy przeciwko Francuzom. Poczęstowali nas lemoniadą i wypiliśmy ich zdrowie przed odjazdem.

Pod wieczór znów szliśmy pieszo. Słońce się zniżyło, a światło, padając już teraz ukosem na polanki i przeświecając przez gałęzie, było bardziej nasycone, nie tak jasne, jakieś sennie, myślałam. I my też byliśmy senni, przesyleni szczęściem. Vicky ledwo wlokła za sobą nogi, Joss przybladła.

- Myślę, że moglibyśmy zjeść kolację – powiedział Eliot.
- Kolację?
- Tak. Pamiętacie tę małą restauracyjkę nad jeziorem? Chodźmy tam.
- W r e s t a u r a c j i ? – spytałyśmy z Joss równocześnie. Zapomniałyśmy o udawaniu światowych dam.
- Czemu nie? – spytał Eliot, a Hester natychmiast nas zdemaskowała.
- Jeszcze nigdy nie byliśmy w restauracji – wyjaśniła. – Tylko w herbaciarniach i w „Kawiarni Wschodniej”.

- Chcielibyście pójść do restauracji?
- Ale... czy możemy?
- Oczywiście, że możemy – odrzekł Eliot.

Joss popatrzyła na zegarek.

- Jest dziewiąta. – W głosie jej brzmiał lekki niepokój.
- Tym większy powód, by zjeść kolację.
- Czy one... – Widziałam, że Joss nie chce wymienić mademoiselle Zizi – nie będą złe?

– Zatelefonujemy – odparł Eliot, ale gdy doszliśmy do restauracji „La Grenouille”, na której ścianach wymalowane były żaby i gdzie dolatywało prawdziwe kumkanie z okolicznych moczarów, okazało się, że nie ma tam telefonu.

- Domyśla się – powiedział Eliot. – Chodźcie.

Z początku byliśmy rozczarowani. Słowo „restauracja” kojarzyło nam się z jadalniami w hotelach, do których zerkaliśmy idąc promenadą w Southstone, w hotelach tak podziwianych przez Hester. Wyobrażaliśmy sobie kelnerów, białe obrusy, przyćmione światła, srebro, kwiaty, serwetki poskładane jeszcze ładniej, niż robi to Mauricette. „La Grenouille” była restauracją sezonową, mieszczącą się w pawilonie letnim, gdzie napis na tabliczce głosił: „*Jeux divers*”<sup>1</sup>, i były tam rzeczywiście bramki krokietowe, huśtawki zwykłe i huśtawki na desce.

<sup>1</sup> Różne gry

Jadalnia była z amerykańskiej żółtej sosny, a boczne ściany miała oszklone. Właściciel powiedział nam, że jesienią odbywają się tu przyjęcia myśliwskie. Na drewnianych ścianach, nad rysunkami żab, wisały wypchane głowy dzika, lisów i kozicy, i rogi jelenie przerobione na lampy elektryczne. Stoły przykryte były papierowymi obrusami w czerwono-zieloną kratkę. „Papier?” – szepnęła Hester, z trudem mogąc w to uwierzyć. Krzesła były drewniane, składane. Właściciel, w koszuli z podwiniętymi rękawami,

płóciennych spodniach w kratkę i starych tenisówkach, podszedł, żeby nas przywitać. Był nie ogolony. Obserwowaliśmy go nieprzychylnym wzrokiem, gdy rozmawiał z Eliotem.

– Może nam dać zupę – oznajmił Eliot – befsztyki z polędwicy, placek z owocami i ser. Czy to wystarczy?

Z rezerwą, bo nie chcieliśmy okazać naszego rozczarowania, odpowiedzieliśmy, że oczywiście wystarczy.

– Dziękujemy – dodała Joss, a my powtórzyliśmy chórem: – Dziękujemy.

Zupa i długie bułki, które łamaliśmy na kawałki, były smaczne, a kiedy restaurator usmażył na naszych oczach befsztyki i gdy zapadł zmierzch, odgradzając od całego otoczenia oszkloną restauracyjkę i zmieniając ją w jakiś zamknięty świat, nasze rozczarowanie prysło. Eliot kazał podać *vin rosé* i to różowe wino oraz blask płomieni oświetlających tę *chaumière*<sup>1</sup> i odbijających się w oknach zamykał nas w tym ciepłym, jasnym świetle. Eliot rozmawiał z właścicielem lokalu i jego żoną i my też zaczęliśmy rozmawiać; już po chwili śmieliśmy się, a wkrótce nasz śmiech usłyszeć było można po drugiej stronie jeziora. Wszystko nas śmieszyło, bo było lepsze, cudowniejsze niż cokolwiek, co mogliśmy sobie wyobrazić.

<sup>1</sup> Chałupkę.

Czekając na befsztyki czytaliśmy głośno menu, wszystkie potrawy, „których na pewno nie ma” – jak powiedział Eliot, a my przekomarzaaliśmy się na ten temat z restauratorem.

– Czy *andouillette* to skowronek? – spytałam.

– Skowronek to *alouette*, głuptasie. *Andouillette* to rodzaj kiełbasy – wyjaśnił Eliot i przetłumaczył to właścicielowi. Poczułam się dowcipna, gdy się roześmieli. Befszyki usmażone zostały z pieczarkami i podane z frytkami; potem była sałata, a kiedy wniesiono olbrzymi placek, którego

jablęczone nadzienie pokrywał jeszcze morelowy dżem, nawet Vicky uznała kolację za wystarczającą.

Na twarzy Eliota malowały się zadowolenie i spokój. Jest szczęśliwy z nami, pomyślałam. Gdy wreszcie wstaliśmy, by wyjść, była blisko jedenaśta.

– Nie wrócimy przed dwunastą – powiedziała Joss.

– No to co? – spytał Eliot. Zabrzmiało to trochę wyzywająco. Spojrzeliśmy po sobie przestraszeni.

Poprzedniego wieczoru, kiedy wróciliśmy z Soissons, mademoiselle Zizi przysiadła się do nas na drinka, piliśmy różowy syrop z granatu, który lubiliśmy, a ona i Eliot martini. Opowiadaliśmy jej o katedrze, ciastkach, o wszystkim, cośmy robili i widzieli. Siedziała obok Eliota, a Willmouse usadowił się na poręczy jej fotela; Joss po drugiej stronie Eliota cerowała dziurę w codziennej sukience Vicky i siedziała tak cicho, jakby jej w ogóle nie było. Wszystko przeszło miło i gładko, ale czuliśmy, że tego wieczora będzie inaczej.

Mademoiselle Zizi czekała, gdyśmy weszli do domu. Eliot wyniósł śpiącą Vicky z samochodu, a ona dalej spała głęboko, oparta o jego ramię; drugą ręką podtrzymywał potykającego się Willmouse'a. Powojowe wianki poprzekrzywiały im się na głowach. My z Hester i Joss miałyśmy ręce pełne kwiatów i paproci, sukienki wygniecione, we włosach sterczały nam liście, policzki pałały.

– No! Dobrzeście się bawili! – powiedziała mademoiselle Zizi.

– Dziękujemy. Bardzo dobrze – odrzekł Eliot.

Mauricette zajrzała do pokoju. Eliot skinął na nią i złożył jej Vicky w ramiona.

– Zabierz też Willmouse'a – powiedział.

Mauricette gotowa była zawsze zrobić dla Eliota wszystko, czego żądał, posłusznie więc wzięła oboje dzieci.

– Zizi – powiedział – daj mi się czegoś napić.

– Wyglądasz, jakbyś już pił.

– Wypiłem trochę *vin rosé* – odparł Eliot. – Potrzebuję teraz czegoś mocnego. – Popatrzył na jej twarz z dziwnymi workami pod oczyma i czerwonymi plamami na policzkach i szyi. – I ty też.

Nie sądzę, by potrzebowała; wyglądała tak, jakby to ona wypita już parę kieliszków. Wiem teraz, że dzieci przyjmują życie takim, jakie jest, a dorośli udają, że to coś innego, niż z pozoru wygląda, kiedy wypiją. Eliot obrócił ją w stronę baru i szepnął przez ramię:

– Idź na górę, do łóżka! – Nie brzmiało to jak rozkaz, lecz jak konspiracyjne polecenie. Znikliśmy w milczeniu, a on odprowadził mademoiselle Zizi.

– Ale się to popsulo – powiedziała Hester. I myślę, że miała rację.

Już nic nigdy nie miało w sobie tej czystej radości. Po powrocie z Compiègne pragnęłam, żebyśmy skończyli z tymi wyprawami, ale nazajutrz Eliot oznajmił, że musi nas zabrać do grot w Dormans.

– Bardzo się popsulo – stwierdziła Hester.

Zaczęło się od nieprzyjemnej historii z Paulem. Eliot po śniadaniu poszedł do „Giraffe” po papierosy. Kiedy wrócił, zastał Paula w swoim pokoju.

– Kradł coś? – spytała mademoiselle Zizi, przerażona.

– Nie sądzę – odparł Eliot. – Węszył tylko, ale to wystarczy. Trzeba go oddalić, i to natychmiast.

– W środku sezonu? – spytała sucho madame Corbet.

– Tak. Nie możecie zatrudnić takiego chłopaka.

– Ależ, Eliot... – błagała mademoiselle Zizi, ale on nie chciał ustąpić.

– Powiedziałem, że musi odejść.

Hester szarpnęła za rękę Joss.

– Poproś Eliota, żeby tego nie robił – nalegała. – Proszę cię, Joss. Jeśli Paul będzie musiał teraz odejść, straci letnią premię i nigdy nie kupi sobie ciężarówki. Poproś Eliota, Joss.

Joss gotowa już była spróbować, kiedy mademoiselle Zizi załamała się. Podeszła do Eliota i patrząc na niego położyła mu rękę na ramieniu. Po chwili usłyszeliśmy, jak powiedział:

- No dobrze, jeżeli pojedziecie znów ze mną dzisiaj.
- A będziesz miał czas? – spytała z powątpiewaniem Joss.
- Oczywiście. Pojedziemy do grot.
- Jakich grot? – spytaliśmy.
- Do piwnic, gdzie przechowuje się szampana. Znajdując się w kraju szampana nie możecie ich nie zobaczyć.
- To my jesteśmy w kraju szampana? – zapytała Joss wstrząśnięta.
- Wszystko wam pokażę – obiecał Eliot.

Czuliśmy w głębi serc, że lepiej byłoby nie jechać – może nasze serca stawały się mądrzejsze, w miarę jak się brukały – ale Eliot był tego ranka dziwnie stanowczy... taki uparty jak Vicky, pomyślałam. To zdumiewające, jak dziecienni potrafią być dorośli, gdy się ich pozna. Sądzę też, że nie miał ochoty zabierać nas wszystkich. Próbował przynajmniej pozbyć się malców.

- Ale ja m u s z ę pojechać – tłumaczył mu Willmouse. – Muszę się coś dowiedzieć o szampanie.
- No to zostawimy Vicky – orzekł Eliot, ale nie znał jej tak jak my.
- Jedziemy w takie miejsce, gdzie trzeba będzie iść długo w ciemnościach – powiedział jej.
- Ja lubię ciemności – odrzekła.
- Tamte ciemności nie będą ci się podobały.
- Na pewno będą.
- Zostaniesz z monsieur Armandem, a ja przywiozę ci lalkę.
- Nie chcę lalki. Mam Nabuchodonozora.
- Skoro przyjechałaś do Francji, musisz mieć francuską lalkę – tłumaczył Eliot.

– Dobrze – odpowiedziała spokojnie Vicky, ale kiedy staliśmy w halu, gotowi do wyjazdu, zeszła na dół. Ubrana w odświętną sukienkę, czyste skarpetki i płaski kapelusz, niosła w koszyczku Nabuchodonozora.

– Pomogę ci wybrać lalkę – powiedziała do Eliota kładąc rękę w jego dłoń.

– Jaki traf – zauważyła potem Hester. – Gdyby nie wziął Vicky, na pewno by go zobaczyli.

Szampan będzie miał zawsze dla nas coś upiornego w sobie; nie może już być winem radości, lecz żaloby.

– Bo to przez szampana był ten pierwszy zgrzyt – powiedziała Hester.

Kiedy wjechaliśmy do Dormans przez żelazną, pozłacaną bramę o dostojnym wyglądzie, nie przeczuwaliśmy jeszcze niczego. Było to najpiękniejsze miejsce, jakieśmy w życiu oglądali. Przy bramie znajdowała się stróżówka, a za nią rozciągał się szeroki dziedziniec z trawnikiem i barwnymi kwiatami o żywych czerwonych i żółtych barwach, na wprost zaś niego stał budynek, który wydał nam się pałacem, ale Eliot powiedział, że to pakownia i biura. Wsiadłszy z samochodu zatrzymaliśmy się, nie wierząc własnym oczom, bo szerokie koszyki zdawały się spacerować wolno same koło pałacu.

– To koszyki z butelkami na kółkach – wyjaśnił Eliot śmiejąc się z naszych min – suną po swoich własnych, liniach kolejowych.

Do piwnic wiodło zejście ozdobione wieżyczkami.

– Nie nazywajcie tego piwnicami – powiedział Eliot. – To są g r o t y , dziesięć mil podziemnych pasaży, jak katakumby.

– Wycieczki przychodzą tu w lecie przez cały dzień – mówił i rzeczywiście przybyła właśnie jakaś grupa turystów.

Byli to Francuzi, ale pozwolono nam przyłączyć się do nich, a Eliot był naszym tłumaczem. Obchód grot trwał krótko, choć katedrę zwiedzaliśmy



tak powoli; nie mieliśmy nawet czasu zapytać: „Dlaczego?“, co przyjął chyba z ulgą. Weszliśmy w mroczne, chłodne korytarze.

– Ciepłej tu niż na ziemi w zimie – powiedział przewodnik. – Bo temperatura nigdy się nie zmienia.

Najpierw zobaczyliśmy ogromne beczki, w których wino czekało na butelkowanie; potem szliśmy za grupą Francuzów długimi piwnicznymi pasażami, gdzie butelki stały szyjkami w dół w stojakach, a ludzie poruszający się wśród nich w błyskach światła obracali je bez przerwy w szczękającym rytmie, który odbijał się echem pod wysokim sklepieniem.

– Każdą butelkę obraca się co dwa dni – wyjaśnił Eliot.

– Dlaczego? – Udało nam się dotknąć jednej z nich.

– Żeby osad osiadł na korku, a to jest sztuka. *Remueur*, czyli ten, co obraca butelki, to oddany pracownik; wszystkie jego myśli skupione są na *cuvée*<sup>1</sup>, przy której pracuje. Widzisz – zwrócił się do Hester – on nie rozmawia. Tu wszędzie musi być spokojnie i cicho, nawet przeciągi, które wywołujemy chodząc, niepokoją wino.

<sup>1</sup> Kadzi.

Nie słyszeliśmy dotąd o tym, że wino może być niespokojne. Malcy z uroczystymi minami stąpali na pakach. Usłyszeliśmy strzelające korki.

– Co oni robią? – spytała Vicky zachwycona.

– Zmieniają korki – odrzekł Eliot. – Gdy wino tego potrzebuje, zmienia się korek.

Zobaczyliśmy grupę mężczyzn pracujących razem przy niewielkich maszynach; oziębiali szyjki butelek i wyciągali korki – „dlatego to tak strzela”, zauważyła Hester obserwując – a razem z nimi osad, korkowali butelki na nowo, przymocowywali korek „malutkim drucianym kagańcem” – stwierdziła z podziwem – potem stawiali butelki „znów dnem do góry” – opowiadała potem – aż do czasu gdy je wysyłano lub wypijano, może wiele lat później.

Obejrzelśmy butelki dwu i półlitrowe, ośmiolitrowe, i półlitrowki, a także kilka z szampanem z 1893 roku, osnutych dziwną pajęczą grzybnią, która zawsze powstaje w piwnicach od wilgotnego wapna. Widzieliśmy różowego szampana „dla Anglików” – powiedział z pogardą przewodnik, a całe towarzystwo obejrzało się na nas – i pokazano nam też wyborne czerwone wino. Potem wyszliśmy na światło dzienne, do pakowni, gdzie kobiety pracowały z nieprawdopodobną szybkością, zakładając kapsle ze złotej folii, czerwoną pieczęć, nalepką i zawijając każdą butelkę w różowy papier.

Kiedy znaleźliśmy się znów na słońcu, wciąż w towarzystwie tamtej grupy, przewodnik spytał, czy chcielibyśmy zwiedzić muzeum w budynku naprzeciwko.

– Chcecie? – spytał Eliot.

My z Hester chcieliśmy, ale Vicky i Willmouse byli zmęczeni i gdy staliśmy debatując, mężczyzna – ubrany tak, jak chciał być kiedyś ubrany Willmouse: w czarnej marynarce, prążkowanych spodniach, białej koszuli, krawacie w srebrne i czarne cętki, z czerwonym goździkiem w klapie – wyszedł z drzwi tego budynku naprzeciw. Podobnie jak kobiety w katedrze w Soissons, przyglądał nam się z podziwem.

Kiedy spojrział na nas ktoś w Southstone, myślałam, zwiłaliśmy się natychmiast wewnętrznie ze wstydu i obumieraliśmy; w towarzystwie Eliota zrobiło się nagle zupełnie inaczej. Częściowo miał na to wpływ rolls, jego rozmiary i ubranie Eliota; nie wyjaśniało to jednak wszystkiego. My byliśmy tacy sami, ubrani, tak samo, a mimo to całkiem inni, swobodni, pewni siebie, trzymający głowy wysoko.

Mężczyzna odezwał się do nas po angielsku:

– Pan jest Anglikiem?

– Tak.

– Ma pan piękną rodzinę.

– Lubimy być nazywani „piękną rodziną”, co? – zwrócił się do nas

Eliot i w tym wycieczkowym nastroju istotnie nam się to podobało.

– Może chciałby pan wypić kieliszek naszego szampana? – Zauważyłam, że przyglądał się specjalnie Joss. – I panienska, i tamte panienki?

– S z a m p a n a ? – Ostłupieliśmy.

– Chcielibyście? – zapytał Eliot.

– Szampan dla nas? – Nie mogłam uwierzyć i nawet Joss opuścił jej zwykły spokój. Położyła rękę na ramieniu Eliota i spytała:

– Och, moglibyśmy naprawdę?

– Czy mogę spróbować troszeczkę, odrobinę? – błagał Willmouse.

– I ja też – szepnęła Hester.

– A ja nie chcę szampana, wolę sok – orzekła Vicky.

– Gdyby państwo wstąpili do naszego małego muzeum, moglibyście obejrzeć obrazy, zanim przyniosą szampana – powiedział mężczyzna.

Poprowadził nas do drzwi, otworzył je i – zamknął. Z wnętrza dobiegały głosy mężczyzn rozmawiających po francusku. Usłyszeliśmy też zbliżające się kroki.

– Chwileczkę – powiedział mężczyzna. – Oni właśnie wychodzą. W gabinecie dyrektora odbywał się lunch. – Widząc, że wywarło to na nas wrażenie, dodał: – Doroczne zebranie Klubu Szczupaka z Marny. To klub wędkarski – wyjaśnił. – Ma sto lat i jest bardzo sławny. Nie tylko tu. Ma członków nawet w Paryżu. Przyjeżdżają tu co rok na cztery dni – na taki, konkurs, rozumiecie – i ostatniego dnia dyrekcja Dormans podejmuje ich lunchem. Mamy wśród członków klubu paru naprawdę sławnych ludzi – mówił dalej – lekarzy, prawników, artystów, nawet biskupa. W tym roku honorowym gościem jest ktoś, kogo w waszym kraju nazwalibyście państwo Sherlockiem Holmesem, jeden z najsławniejszych detektywów Francji. Jeśli zaczekacie chwilę, zobaczycie go, jak będzie wychodził. To inspektor Jules Cailleux.

– Cailleux! – Wydawało się, że powiedział to Eliot, ale nie był to wcale głos Eliota. Ujrzałam, że podniósł Vicky wysoko i trzymał ją na ramieniu przed sobą.

– Postaw mnie! – była śmiertelnie obrażona. Uderzyła Eliota, ale on nie spuścił jej na ziemię.

– Zapomnieliśmy o twojej lalce – powiedział i spojrzał na zegarek. – *Nous vous remercions infiniment, monsieur, mais nous n'avons vraiment pas le temps d'attendre. Merci mille fois*<sup>1</sup> – i... co to on powiedział? – Zapomniałem o umówionym spotkaniu w Rheims.

<sup>1</sup> Dziękujemy, panu serdecznie, ale naprawdę nie mamy czasu czekać. Dziękuję stokrotnie.

– *Mais, monsieur...*

– *Je regrette...*<sup>2</sup> Chodźcie – zwrócił się do nas.

<sup>2</sup> Żałuję...

– Ale...

– Eliot!

– Powiedziałeś...

– Chodźcie p r ę d z e j ! – Głos Eliota miał ten sam ton, który już raz słyszałam, zimny i ostry. – Chodźcie, jeśli nie chcecie iść do domu na piechotę. *Encore mille fois merci* – powtórzył zwracając się do mężczyzny. – *Un autre jour*<sup>3</sup>.

<sup>3</sup> Jeszcze raz bardzo dziękuję... Może kiedy indziej.

Poszedł w kierunku samochodu, trzymając Vicky, która zakrywała przed nami jego twarz. Ruszyliśmy za nim, zdumieni, a w tej chwili z drzwi wyłoniła się grupa mężczyzn. Trzech z nich ubranych było tak samo jak ten, co z nami rozmawiał, reszta miała garnitury, ubrania sportowe lub tweedowe marynarki. Było tam dwóch księży, a pośrodku siedł niski człowieczek w ubraniu koloru piaskowooliwkowego, który pasował doskonale do jego rudawych włosów i przystrzyżonych wąsów.

– To pewnie ten inspektor... jak on go nazwał... Cailleux? – spytała Joss.

Twarze mieli zaczerwienione, wyglądali jowialnie, ale choć był wśród nich sławny detektyw, nie mieliśmy czasu im się przyglądać. Eliot już zapuścił silnik rollsa, tak że musieliśmy przebiec dziedziniec i wgramolić się spiesznie do środka, nawet Joss. Po raz pierwszy Eliot potraktował ją z takim brakiem szacunku, jakby był wujem Williamem; policzki jej płonęły. Okrążył szybko dziedziniec i wyjechał za bramą; zanim mężczyźni zesзли' ze schodów dyrektorskiego biura, byliśmy już na drodze i pędziliśmy przed siebie. Jechaliśmy w grobowym milczeniu, aż wreszcie odezwała się Hester:

- To droga do Soissons, Eliot.
- Wiem.
- Powiedziałaś, że masz umówione spotkanie w Rheims.
- Wiem.
- Czy ty czasem kłamiesz, Eliot? – spytała Hester po chwili.
- Tak.

Wjechał szybko do Soissons i zatrzymał się przed sklepem z zabawkami. Wysiadł i pomógł Vicky zejść z tylnego siedzenia; zerknął na Joss i powiedział:

- Chodź i ty, Cecil.

W sklepie nie był taki jak zwykle w stosunkach z ludźmi.

– *Une poupée? Mais oui, monsieur. Voulez-vous une belle petite poupée ou une originale?* – spytała sprzedawczyni.

Nie wiedziałam, co to znaczy „*originale*”, ale Eliot nie odpowiedział i musiałam ja to zrobić.

– *Une belle petite poupée*, to znaczy ładna laleczka – przetłumaczyłam Vicky.

Wybierała długo. W końcu wróciliśmy do reszty; w drodze powrotnej do Vieux-Moutiers milczenie trwało nieprzerwanie.

Wreszcie Eliot zatrzymał samochód.

- Przykro mi, że musiałem tak zrobić. – powiedział,

- No to dlaczego zrobiłeś? – zapytała Joss.
- Miałem do tego powód – odparł – którego byście nie zrozumieli.
- Uważasz, że nie potrafilibyśmy zrozumieć? – zapytała znów Joss.

Głos jej był chłodny, ale drżał lekko.

- No tak, czasem kłamię – dorzucił gwałtownie. Po raz pierwszy zetknął się z opinią rodzinną. – Kłamię i ty też, i ty, i ty, wy wszyscy.
- Ale jak ty kłamiesz, to co innego – powiedziała Hester.
- Nie mam pretensji, by być bohaterem.
- Chodzi im o to, że jesteś dorosły – zauważyła chłodno Joss.
- Rozumiem – odrzekł Eliot. – Przypuszczalnie uważacie, że to bardzo

wygodnie mieć dużo wad...

- Pewnie.
- ...i wydaje wam się, że z nich wyrośnięcie.
- Mam nadzieję – powiedziałam stanowczo.
- Biedne małe głuptaski!

Joss położyła rękę na kolanie Eliota.

- Eliot, dlaczego jesteś taki nieszczęśliwy?

Spuścił wzrok na jej dłoń. Nigdy nie zapomnę jego odpowiedzi.

- Dlaczego jesteś taki nieszczęśliwy? ~ spytała Joss, a on odrzekł:
- Bo przez dwa dni byłem naprawdę szczęśliwy. – Po chwili odwrócił się do nas, siedzących z tyłu, i spytał: – Czy które z was próbowało kiedy szampana?

- Nie bądź niemądry – odrzekła Joss, zła. – Jak mieliśmy spróbować?

A ja dodałam ze smutkiem:

- Nawet go nigdy nie widzieliśmy..
- To nie jest takie znów podniecające – powiedział Eliot. – Prędko się przykrzy. – Zaległo milczenie'. – Pewnie uważacie, że znów powiedziałem głupstwo.

– Tak.

Więcej się nie odezwał, tylko zapuścił silnik. Kiedy wróciliśmy do hotelu, rozstaliśmy się od razu, jakby za wspólną zgodą.

Tego wieczora stały na naszym stoliku kwiaty. Zazwyczaj foył to jedyny stolik bez kwiatów. W jadalni jedli kolację tylko monsieur Joubert i Eliot. Miejsca madame Corbet i mademoiselle Zizi były jeszcze nie zajęte. Na stole prócz róż był czysty, wykrochmalony obrus – dotąd często bywał nie zmieniany – czyste serwetki zwinięte w różki i przy każdym talerzu wysoki kieliszek na trzycalowej nóżce, rżnięty w jakiś wzór.

– Co to takiego? – spytaliśmy.

– *Flûtes de champagne* – odrzekła Mauricette i roześmiała się.

– Kieliszki do szampana – wyjaśnił monsieur Joubert staranną angielszczyzną. Do tej pory nigdy z nami nie rozmawiał, mówił jedynie „*Bonjour*”. Teraz był równie zaintrygowany jak Mauricette. – Mają pustą nóżkę, i wino nie przestaje w nich musować – wyjaśnił.

Mauricette podała nam zupę. Tego wieczora była w nastroju przyjacielskim: nie ciskała rzeczy po stole i nie sięgała nam przed nos. Po zupie były kurczęta, zamiast nieśmiertelnej cielęciny z fasolką. A potem Mauricette, wniosła z uśmiechem jeden ze srebrnych kubałków do wina, które często pomagaliśmy napełniać lodem. Postawiła go przy naszym stole. Tkwiła w nim ciemnozielona butelka ze złotym kapslem. Taka jak te, które oglądaliśmy na wycieczce. Eliot wstał od swego stolika, podszedł do naszego i wyciągnął korek z takim hałasem, że aż podskoczyliśmy. Korek strzelił tak samo głośno, jak strzelały korki w Dormans, ale w jadalni dźwięk ten wydał się jeszcze głośniejszy. Mauricette owinęła butelkę w serwetkę, zainiosła ją do stołu Eliota, naląła trochę szampana do jego kieliszka i dała

mu do spróbowania. Wypił mały łyk i skinął głową. Przez chwilę myśleliśmy, że to może wszystko dla niego, ale Mauricette napełniła kieliszek Joss i obeszła stół dokoła. Nalała Hester i zawałała się, co widząc Eliot powiedział:

– Willmouse też się troszeczkę napije, a dla Vicky proszę przynieść sok z granatu.

Siedzieliśmy w milczeniu, zdumieni, spoglądając na kieliszki i na jasne, pieniające się wino. Myślę, że oczy nasze musiały być okrągłe, a twarze pełne lęku, ale podziwiałam Joss. Choć na pewno poruszona, nie straciła swych dobrych manier. Wstała, podeszła do wiaderka, wyjęła z szacunkiem butelkę z lodu, naśladując Mauricette owinęła ją w serwetkę, podeszła do Eliota i napełniła mu kieliszek.

– Czy mogę też nalać trochę monsieur Joubertowi? – spytała.

– To twoje wino – odrzekł Eliot. – Powiedz: „*Vous prendrez bien une verre, monsieur?*”<sup>1</sup>

<sup>1</sup> Napije się pan kieliszek?

Podeszła z butelką do malarza.

– *Vous prendrez bien une verre, monsieur?*

Mauricette podbiegła z kieliszkiem, który napełniła Joss.

– Dziękuję, mademoiselle Hebe<sup>2</sup> – powiedział monsieur Joubert.

<sup>2</sup> H e b e – bogini grecka córka Zeusa i Hery, spełniająca na Olimpie rolę podczaszyni.

Joss wróciwszy na swoje miejsce podniosła kieliszek i zawołała:

– *Santé!*<sup>3</sup>

– *Santé!*

– *Santé!*

– *Santé!*

– *Santé!*

– *Santé!*

<sup>3</sup> Na zdrowie!



Willmouse był blady; Hester zbliżyła ostrożnie wargi do kieliszka, jakby się bała, że szampan może ugryźć; Joss wpatrywała się ponad kieliszkiem w Eliota, a potem szybko spuściła oczy i wypiliśmy.

– Szczypie w nos – zauważył Willmouse – ale to przyjemnie, jak tak szczypie.

– Monsieur Eliot – zawołał monsieur Joubert – musi pan wziąć mokry korek i dotknąć nim mademoiselle za uchem. – A do Joss powiedział: – Trzeba tak zrobić zawsze, kiedy pije się pierwszy raz szampana.

Eliot podszedł do nas. Mauricette podała mu korek; umoczył go i parzyliśmy jak na rytuał, gdy odgarnął włosy Joss i dotknął ją korkiem za uchem. Nie wiem czemu, ale wszyscy zaczęliśmy klaskać.

– Musi go pani schować na pamiętkę – powiedział monsieur Joubert.

– Eliot! Eeeliot! – zabrzmiał poprzez hall głos mademoiselle Zizi. W chwilę potem stanęła na progu jadalni. – Eliot!

Wydawało mi się, że umyślnie dotknął korkiem drugiego ucha Joss, za nim powiedział:

– Jestem tutaj, Zizi.

– Irène mówi, że zamówiłeś szampana z Dormans dla tych dzieci.

– Tak.

– Oszalałeś?

– Miałem powód, Zizi.

Czy mademoiselle Zizi zapomniała się uróżować? Była dziwnie blada; pod oczami miała ciemnopurpurowe plamy, jakby powalała się szminką do powiek, tylko trochę ciemniejszą.

– Znam ten powód – powiedziała.

Te straszne oczy objęły spojrzeniem stół, różę, kurczę.

– Kto ci kazał to zrobić?

– *Pauv'p'tits choux!* – rzekła Mauricette. – *Y sont si mignons, ces enfants.* – Często dotąd nazywała nas zupełnie inaczej. – *Armand et moi*

*leur avons préparé une petite surprise*<sup>1</sup>.

<sup>1</sup> Biedne maleństwa! Te dzieci są takie miłutkie! Przygotowaliśmy im z Armandem małą niespodziankę.

– Moim kosztem?

Joss wstała. Zrobiła tak, jak uważała, że będzie najlepiej. Wzięła kieliszek Vicky, który stał nie używany obok szklanki z sokiem, napełniła go z butelki i podała mademoiselle Zizi.

– *Mademoiselle, vous prendrez bien une verre?*

Myślałam, że nie weźmie, ale ona ujęła kieliszek w rękę.

Oczy jej spoczęły na Eliocie, potem na Joss i znów wróciły do Eliota.

– *Santé!* – powiedział wesoło.

Mademoiselle Zizi zbladła jeszcze mocniej; twarz jej wykrzywił brzydki grymas i cisnęła kieliszkiem szampana w Joss.

Wiedzieliśmy z gazet i książek, że dorośli się kłóć, ale nigdy nie słyszeliśmy takiej kłótni.

Kiedy mademoiselle Zizi cisnęła kieliszkiem w Joss, nikt się nie poruszył ani nie odezwał, tylko Mauricette wciągnęła głośno powietrze. Kieliszek rozbił się o podłogę z brzękiem, który powtórzyło echo. Monsieur Joubert wstał i wyszedł z jadalni. Vicky zaczęła płakać.

– Ja chcę do mamy! Ja chcę do mamy! – zawodziła.

Sukienka Joss była mokra od szampana, który ściekał jej po spódnicy. Odrzuciła włosy do tyłu, jak oszalała wypadła z pokoju i pobiegła przez hall. Usłyszeliśmy trzask drzwi prowadzących na taras, a Eliot powiedział da mademoiselle Zizi:

– Chciałbym pomówić z tobą na osobności.

Zaczęli rozmawiać, zanim jeszcze doszli do recepcji; ich gniewne, podniesione głosy rozbrzmiewały w hallu. Kiedy pamiętali o Mauricette i

reszcie służby, która nastawiała uszu, mówili po angielsku. Ale ciągle się zapominali.

– Nie powinnam się była nigdy zgodzić, żeby tam jadal kolację! – krzyczała mademoiselle Zizi. – To ta dziewczyna!

– Miała zupełną rację – odrzekł Eliot. – Malcy mogą jeść ze służbą, ale ona i Cecil są już duże.

– Oczywiście bierzesz jej stronę.

– Nie.

– Tak. Od trzech dni prawie cię nie widziałam.

– Na litość boską, Zizi! Tak się złożyło, że miałem trochę czasu i chciałem zrobić przyjemność tym biednym brzdącom.

– Brzdącom? *Qu'est-ce que c'est „brzdące”*?

– Dzieci.

– Nie traktujesz ich jak dzieci!

– Nie bądź śmieszna.

– Śmieszna! Przez trzy dni... – krzyczała mademoiselle Zizi.

– **P r z e s t a ń t o p o w t a r z a ć !** – Głos Eliota był zmieniony. – Zizi, nie jesteś chyba zazdrosna o, małą dziewczynkę?

– Najpierw jest duża, potem mała. To ciekawe! –: powiedziała madame Corbet wyłaniając się z biura.

– Czy to za wiele prosić, byśmy od czasu do czasu mogli porozmawiać bez Irène? – spytał Eliot lodowatym głosem.

– A dlaczego nie miałabym zostać?

– Bo to nie twoja sprawa.

– Zizi to moja sprawa. Wyrzekłam się mego powołania, żeby się nią opiekować.

– No to nie było to powołanie.

– Proszę cię, Irène, wyjdź! – odezwała się mademoiselle Zizi.

– I mam zostawić go, żeby cię zagadał?

– Idź stąd! Idź! Idź!

– Chodźmy – powiedziała Hester drżącym głosem. – Chodźmy do ogrodu, zjemy trochę renklod.

Lecz zanim ruszyliśmy się z miejsca, do jadalni wbiegła madame Corbet. Szyję miała purpurową w cętki, kok chwiał się na czubku głowy, a frędzle szala tańczyły, i podskakiwały.

– *Ah, le vaurien! Canaille! Fripouille!* – krzyczała przebiegając. Skurczyliśmy się na krzesłach.

– Eliot! *Écoute/ Écoute-moi!*...<sup>1</sup> – Głos mademoiselle Zizi przycichł. Domyśliłam się, że podeszła blisko do niego. Wstałam, by zobaczyć, i istotnie zrobiła to; stała przed nim błagając: – To za duża odpowiedzialność, Eliot. Proszę cię! Pozwól sprowadzić tego wuja, żeby ich zabrał.

<sup>1</sup> Posłuchaj...

– Droga Zizi, z powodu dziecka...

– Ona nie jest dzieckiem.

– Naturalnie, że jest... dla mnie... dla nas...

– Widziałam, jak na nią patrzysz.

– Jest przypadkiem ładna.

Mademoiselle Zizi potrząsnęła głową.

– Przyglądałeś się jej, bo ci się podoba.

– Nie mów bzdur!

– No to sprowadź wuja.

– Zizi... – Eliot ujął ją za rękę. – Dałem słowo, a poza tym... – Miałam wrażenie, że dobierał słów bardzo starannie. – Nie mogę mieć tu teraz wuja, Anglika.

– Dlatego, że to Anglik? – spytała z pogardą.

– Tłumaczyłem ci już, Zizi. Nie mogę pozwolić, żeby zaczęto gadać.

– Ale on jest z Southstone. To w hrabstwie Sussex, daleko od Londynu.

– Nie tak bardzo daleko. Nie mogę ryzykować.

– Ale jeśli mnie to nie przeszkadza?

– To ja muszę pamiętać o tobie. Gdyby zaczęły się plotki, wszystko mogłoby się popsuć.

– Ale Sussex i Londyn... – błagała mademoiselle Zizi.

Nie wiedziałam, o czym oni mówią. Mogłabym im powiedzieć, że wuj William nigdy nie jeździ do Londynu, ale głos Eliota brzmiał tak, jakby... się usprawiedliwiał, pomyślałam.

– Nigdy nie wiadomo – powiedział.

– N... nie – wyrzekła wolno mademoiselle Zizi, a ja pomyślałam, że skapitulowała.

– Zizi, obiecaj mi, że nie zrobisz nic...

– Irène mówi...

– Wiesz, że Irène zrobiłaby; wszystko, żeby nas rozdzielić. Obiecuj! – Nie patrząc wiedziałam, że ją objął. Wbiłam wzrok w podłogę, krew dudniła mi w uszach, moje piersi jak cytrynki drżały; – Zizi!

– Wyjedźmy – szepnęła. – Wyjedźmy stadi Dokądkolwiek.

– Ale dlaczego?

– Dlatego.

– Dlatego...?

– Nie mogę tego znieść! – krzyknęła. – Tego domu, Irène, tych dzieci! Wszystkich!

– Weź płaszcz – powiedział Eliot. Zabrzmiało to tak, jakby się poddawał. Dlaczego – kiedy to mademoiselle Zizi została, pokonana? Wysłałam na palcach do hallu. Stał tam sam, ale ona poszła tylko po płaszcz i zaraz wróciła. Powiedział bardzo znużonym głosem: – Wyjźmy przez ogród. Pójdziemy do „Giraffe”.

Kiedy doszli do oszklonych drzwi, otworzyły się one i w progu stanęła Joss. Ogród za jej plecami tonął już w mroku. Musiała spacerować samotnie o zmierzchu w sadzie, pomyślałam patrząc na jej przemoczone sandały; stopy i obrębek sukni były też mokre. Tylko w sadzie była taka rosa. Nie wiem, czy Joss zdawała sobie sprawę, gdzie była. W oczach jej malował się ciągle przestרח.

Na moment mademoiselle Zizi i Eliot zatrzymali się. Potem ona przeszła z wysoko podniesioną głową.

Joss skierowała wzrok na Eliota. W jej oczach nie było kokieterii, po prostu patrzyła. Minęła chwila krótka jak tchnienie. A potem Eliot wyprostował się, jakby powziął decyzję. Ruszył za mademoiselle Zizi i minął Joss, jakby nie istniała.

## Rozdział dziesiąty

**K**iedy ktoś dostanie w twarz, nie należy na niego patrzeć; tak nakazuje dobre wychowanie. Podeszłam do stołu w barze, wzięłam do ręki ilustrowane pismo i zaczęłam je przeglądać, a tymczasem Hester zabrała spokojnie Vicky i Willmouse'a, by położyć ich do łóżka. Słyszałam, jak jedno po drugim wchodzili do „dziury”, potem drzwi sypialni zamknęły się.

Dom nigdy jeszcze nie wydawał się tak duży. Słyszałam, że madame Corbet łąje Paula; wiedziałam, że to Paul, bo nie odpowiadał, co zawsze robiła Mauricette, potem przypomniałam sobie, że jej nie ma. Poszła do kina z monsieur Armandem; niedługo po wybuchu kłótni widzieliśmy, jak trzymając się pod rękę przeszli przez dziedziniec i znikli.

Madame Corbet wynurzyła się z kuchni i weszła do recepcji. Usłyszałam, że przekreśliła klucz w zamku, wzięła klucze, po czym wyszła z domu. Czy pójdzie do „Giraffe” szpiegować tamtych, czy do klasztoru, dokąd jak opowiadał Paul, chadzała, choć o tej porze był on już chyba zamknięty? Nie mogłam odgadnąć, ale wkrótce potem zgasły wszystkie światła. Na tym polegała między innymi *oszczędność* madame Corbet: gdy wychodziła, a w domu nie było nikogo – my i Paul nie liczyliśmy się oczywiście – wyłączała elektryczność. Jak wróci, wszystkie lampy będą się paliły jak trzeba, zanim przyjdą mademoiselle Zizi i Eliot.

Chociaż na dworze zapadł dopiero zmierzch, w domu było niezwykle ciemno, przez co wydawał się on jeszcze bardziej pusty. Nieraz, kiedy

madame Corbet gasiła tak światło, szliśmy z Hester i Paulem do ogrodu i „plotkowaliśmy”, jak z pogardą mówiła Joss, ale często nie były to plotki, tylko marzenia – mogłabym powiedzieć. Mówiliśmy o tym, co będziemy robić, gdy dorośniemy. Ja marzyłam, żeby być pisarką lub zakonnicą, taką, jaką chciała zostać madame Corbet; Hester zamierzała prowadzić herbarciarnię albo hotel, jak mademoiselle Zizi; Paul opowiadał o swoich ciężarówkach.

– Jeśli zostanę tu przez lato – mówił – dostanę premię. – Opowiedział nam, że na końcu sezonu madame Corbet rozdzielala napiwki.

– To będzie razem sporo – powiedział. Oglądał w garażu używanego berlieta w dobrym stanie.

Ale teraz byliśmy z Joss w domu. Nawet psy poszły z mademoiselle Zizi i Eliotem. Dom wydawał się niesamowity. Skrzypiały jakieś niewidzialne kroki, w ogrodzie szeleścił wiatr, poruszała się firanka. Woskowy księżyc, który dopiero wzeszedł, słał blade, przymglone światło w okna, potęgując jeszcze niesamowitość atmosfery. I Joss musiała to odczuć, bo przyszła i usiadła obok mnie przy stole: Widziałam, tylko blade owal jej twarzy i biel rąk.

– Pójdziemy spać? – spytałam.

– Ja... nie mogę. – Zapadło milczenie. Nasze głosy w tej pustce wydawały się bezdźwięczne. Joss powiedziała: – Nawet paszporty nam zabrały.

– Paszporty?

– Tak. Jak śmiały!

– Ale co miały zrobić?

– One są n a s z e – powiedziała gwałtownie.

– Ale na co ci potrzebne?

– Chcę jechać do domu, a bez paszportów nie można podróżować.

– Ale.... – Każde zdanie zaczynałam od „ale”. – Ale w jaki sposób zdołasz wyjechać?

– Sama, jeśli będzie trzeba. – I rzuciła mi w twarz: Jak byłam chora, to czułaś się całkiem szczęśliwa beze mnie. Szczęśliwsza niż teraz.

Sposób, w jaki to powiedziała, sprawił, że poczułam się winna, lecz musiałam przyznać, że to prawda.

– Ale teraz jest o wiele ciekawiej – wyznałam.

– Ciekawiej?!

– Tak. O Joss, nie psuj tego!

– N i e p s u j ! – Spuściła głowę.

– Wiem, że to czasami trudne... – zaczęłam.

– Trudne! – wydawało się, że nie jest zdolna do niczego poza powtarzaniem moich słów, wypluwaniem ich, jakby miały gorzki smak.

– Tak, wiem, ale my teraz żyjemy – przekonywałam ją. – Pomyśl, naprawdę żyjemy. Nie tak jak w Southstone, gdzie dzień płynął za dniem, a nic się nigdy nie działo. Tutaj czuję, że żyjemy. Czy ty nie czujesz się tak, jakbyś była rozciągana?

– Rozciąganie boli – odparła Joss.

Ustyszałyśmy jakiś dziwny odgłos. Nie był to łopot poruszającej się firanki, lecz kłapanie pantofli. Ukazał się też błysk światła, który się powiększał. Joss podniosła głowę, a w tej chwili z kuchni wynurzył się Paul niosąc dwie zapalone świece tkwiące w butelkach.

– *Vieille guenon!* – powiedział o madame Corbet. – *Carne!* – Te brzydkie słowa zabrzmiały rzeczowo, a równocześnie wesoło. Paul postawił butelki na stole. – *V'la ce que j'ai trouvé!*<sup>1</sup> – powiedział. Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej korek od butelki szampana. Położył go koło Joss.

<sup>1</sup> O, co znalazłem

– *Merci* – powiedziała głucho.

– *Vous n'en voulez-pas?*<sup>2</sup>

<sup>2</sup> Nie chcesz?

Potrząsnęła głową.



– To nie przynosi chyba szczęścia – rzekła i wyjaśniła mozolnie: – *Pas de bonne chance*.

– *C'est la vie*<sup>1</sup> – stwierdził bez goryczy Paul. – *Des gens*.

<sup>1</sup> Takie jest życie.

Ludzie, pomyślałam i skrzywiłam się.

– Tfu! – Paul wypluł tych ludzi na podłogę.

Joss nawet nie drgnęła. Właściwie wyglądała teraz lepiej. Może to było tak jak z tym czerwonym pieprzem w oku słonia. Ojciec opowiadał nam, że w Indii, kiedy słoń ma ranę, która boli go tak, że wytrzymać nie może, kornak wpuszcza mu do oka sok z czerwonego pieprzu, by oszołomić go nowym piekącym bólem.

Domyślałam się, że Joss miałaby także ochotę splunąć; po chwili jej gniew minął, potoczyła ze smutkiem korek po stole.

Paul patrzył na ten korek i na nią, a potem szepnął mi coś do ucha.

– On schował tego szampana – powiedziałam do Joss.

– Nie chcę go – odparła.

– *Le champagne c'est toujours du champagne*<sup>2</sup> – orzekł Paul. Potem dodał, że nie ma zamiaru zostawiać go tej kocicy.

<sup>2</sup> Szampan to zawsze szampan.

– Kocica to Mauricette – wyjaśniłam Joss.

– Co możemy z nim zrobić? – spytała.

– Moglibyśmy... wypić – odrzekłam nieśmiało.

– Z cudzych kieliszków!

– Tylko z naszych. Monsieur Joubert wypił swojego. Z naszych i...

Eliota,

Joss odwróciła głowę

Paul wrócił z okrągłą tacą. Zlał taktownie wszystkie resztki do butelki, tak żeby nikt nie wiedział, który kieliszek był czyj. Na tacy stały dwa czyste.

– A gdzie twój? – spytałam niezręcznie. – *Et pvvur vous?*

Twarz mu się rozjaśniła, ale spojrzął na Joss.

– *Certainement*<sup>1</sup> – powiedziała. Przyniósł jeszcze jeden kieliszek i napełnił go.

<sup>1</sup> Oczywiście.

– *Ça jait du bien par ou ça passe*<sup>2</sup> – powiedział piją. Oczy mu poweselały.

<sup>2</sup> To się dobrze pije.

– *Santé!* – wzniosłam toast, ale Paul nie chciał go spełnić.

Splunął znowu i podniósł kieliszek.

– *Encore un que les salauds n'auront pas. Qu'ils aillent au diable, les cassepieds.*

– *Les cassepieds!* – powtórzyłam.

– *Les cassepieds!* – powiedziała Joss i oczy jej pociemniały..

Wypiliśmy. Staralam się nie skrzywić czując dziwne kręcenie w nosie, ale zamrugałam powiekami i Paul roześmiał się. Joss udało się ukryć wszystko z wyjątkiem gwałtownego wzdrygnięcia.

– *Vous vous y jerez vite* – powiedział Paul, ale nie przypuszczałam, byśmy się mogły szybko do tego przyzwyczaić. Wykończyli z Joss butelkę. Popatrzył na puste kieliszki i spytał: – *Encore un coup, hein? Encore?*<sup>3</sup> – Uderzył w butelkę udając, że otwiera drugą.

<sup>3</sup> Jeszcze jedną, co?

– Ale wszystko jest przecież zamknięte – powiedziałam.

– *Si* – odrzekł pogardliwie.

Joss myślała, że nie zrozumiał.

– *Madame Corbet a emporté* – wzięła klucze – *les clefs* – wyjaśniła.

– *Si* – powtórzył Paul i roześmiał się. Potem kłapiąc pantoflami pobiegł przez hall do pokoju mademoiselle Zizi.

Po chwili był z powrotem z pękiem kluczy.

„Zizi, gdzie są twoje klucze? Daj mi je lepiej”. – Ileż razy słyszałam to

z ust madame Corbet. A także: „Nie nadajesz się do tego, by pilnować kluczy”

Chyba miała rację.

Paul skierował się w stronę drzwi kuchennych. Kamienne schodki za nimi prowadziły do piwnicy.

– Ależ Paul...

– Idź! – przerwała mi Joss. – *Alez-y*. – Nie rozpaczaj już, siedziała wyprostowana. – Idź! – rozkazała Paulowi, a ja wiedziałam, że jej ból zmienił się teraz w gniew. Przestraszyłam się. Kiedy Joss była zła, nie zważała na to, co robi.

– Joss! On nie powinien...

– Cicho bądź! – przerwała mi.

Paul wrócił z dwoma wysokimi butelkami.

– *Vous en boirez pas du comme ça à l'étranger* – powiedział. – *C'est moi qui vous le dis*<sup>1</sup>.

<sup>1</sup> Nie napijcie się takiego szampana poza Francją. Ja wam to mówię.

Byłam dumna, że go zrozumiałam, a Joss nie.

– Poza Francją tego się nie napijcie.

– Dlaczego? – spytała Joss. – Co to takiego? *Qu'est-ce que c'est?*

– *Champagne nature*. – A widząc, że nie rozumiemy, wyjaśnił: – *Blanc de blanc*.

Kiedy myślę o tym wieczorze, zdaje się on streszczać w tej nazwie: *Blanc de blanc*. Brzmiało to jak imię jakiegoś księcia z bajki – banieczki szampana uderzały mi do głowy: *blanc de blanc, blanc de blanc, blanc de blanc...*

– Nie powinnyśmy tego pić – powiedziałam, ale słowa moje rozplynęły się niejako w powietrzu i znikły.

– Wypiłyśmy tamto – powiedziała Joss.

– To było nasze wino... dostałyśmy je... – Zabrakło mi słów.

– Cicho bądź!

Paul dosłyszał to.

– Cicho bądź! – powiedział do mnie uprzejmie i nalał wino.

Joss uniosła kieliszek ku mnie i wypła do dna.

– *Mazette!* – wyrzekł Paul z podziwem. Napełnił znowu kieliszek, a Joss położyła rękę na jego rękę.

– Dziękuję ci, Paul. – powiedziała. – To bardzo mi... miło z twojej strony, że nam to przyniosłeś. – Wypiła znowu zbyt szybko. Słowo „miło” przeszło w coś w rodzaju czkawki, ale nie to mnie wytrzeźwiło, tylko twarz Paula. Nie zrozumiał, co powiedziała Joss, ale się zaczerwienił, a w oczach jego pojawił się błysk zadowolenia.

– Joss, przestań. On pomyśli, że mówisz serio.

– N... no to co? – Pochyliła się w stronę Paula i spytała: – Cecil dajesz papierosy, a dlaczego nie mnie?

– Papierosa? – Paul wydawał się zdumiony, ale wyjął paczkę papierosów z kieszeni.

Joss wzięła jednego, a on rzucił jej zapalki. Nie chciał być niegrzeczny, lecz nie wiedział, jak traktować dziewczynki. Joss próbowała zapalić, dym gryzł ją w oczy. Paul śmiał się z niej, a potem wziął papierosa, zapalił go sam i włożył, jej w usta. Nie wiem dlaczego, nie podobało mi się to.

– Joss, nie rób tego!

– Dlaczego?

Nie chciałam jej wyjaśniać, powiedziałam tylko:

– Zrobisz mu przykrość.

Oczy jej zwężyły się, zamigotały w nich iskierki.

– Chcę mu zrobić przykrość – czknęła, i to głośno.

– Upijesz się – powiedziałam nieprzyjemnym tonem

– Chcę się upić. I u... upiję się. – Podniosła kieliszek. – Będę ro... robić te wszy... wszystkie wstrętne rze... rzeczy, które oni ro... robią. – Wypiła całe wino i wyciągnęła znów kieliszek: ja niepewnie popijałam małymi łydkami. Nie wiem, ile wypił Paul, ale gdy nalał Joss, butelka *blanc de blanc* była pusta. – *L'autre* – rozkazała Joss.

<sup>1</sup> Drugą.

Paul wziął do fe.kr tę drugą i pokazał mi,

– *Bouzy rouge* - powiedział.

– Bouzy? Bouzy... Bouzy... – Joss zaczęła się śmiać, a śmiech jej przeszedł w chichot, jak banieczki biegnące w górę cieczy. – *Bouzy* – powtórzyła Joss. – *Blanc de blanc de blanc*.

Paul patrzył na nas z powagą. Stojąc chwiał się lekko. Powiedział uroczystym tonem:

– *Il faut se mettre à genoux pour déguster celui-là*.

Nie zrozumiałam.

– Trzeba to pić na kłęczkach? Dlaczego?

Złożył ręce i przewrócił oczami, a my z Joss zachichotałyśmy.

– Co mówi Bouzy?

– On mówi, że powinniśmy się... modlić.

– No to módlmy się. – Złożyła ręce, ale wyłączyłam się z tego gwałtownie.

– Joss, nie będziesz... Ty nie będziesz tego robić! – Uderzyłam w stół pustą butelką..

– Pobożnisia! Kołtunka!

– Tylko nie kołtunka! – Wybuchnęłam płaczem.

Joss wyglądała, jakby się miała też rozpłakać. Objęta mnie za szyję.

– Nie płacz! – prosiła. – Nie płacz!

– No to nie rob tego – powiedziałam ciągle zła, a ona odsunęła się obrażona.

– Becz sobie! Wyj! Wszystko mi je... jedno. Powiedz Paulowi, żeby otworzył to wino.

Paul miał pewne trudności z korkiem. Wbił korkociąg, ale kiedy próbował obracać go ruchem spiralnym, korkociąg ześlizgiwał się. Spróbował jeszcze raz i skaleczył się w palec.

– *Aie! Merde!* – krzyknął.

– Uderz w dno – poradziła Joss. – *Tapez dessus*.

Paul uderzył butelką o jedną z konsolek. Szyjka upadła na podłogę,

a struga czerwonego wina obryzgała rękę i fartuch Paula. Na stole pozostała duża, brzydka szrama. Przeraziłam się.

– Paul! Paul! P a u l !

– Zamknij się! – rzucił mi niegrzecznie i nalał wino.

– Ja już nie chcę – powiedziałam, ale on wziął mój kieliszek, wypił z niego białe wino i napełnił go czerwonym. Moim zasnutym mgłą oczom wydawało się, że cały hall zalany jest czerwonym winem, czerwone były też kieliszki i kałuża na podłodze. Głowy Paula i Joss zbliżyły się ku sobie, a potem oddalały, tak samo jak płomienie świec odbijające się w butelkach. Ściany zsuwały się powoli do środka, a schody rozsuwały na boki. Nie czułam już tego radosnego nastroju, w jaki wprawiło mnie *blanc de blanc*; czerwone wino było okropne, zaczęłam znów płakać.

Joss wypija już swój kieliszek. Nie rozumiem, dlaczego nie zwymiotowała.

– Jeszcze papierosa. *Encore une gauloise* – powiedziała.

Paul popatrzył na nią. Oczy miał zmrużone, wyglądał ohydnie.

– *Viens la prendre*<sup>1</sup> – powiedział.

<sup>1</sup> Przyjdź po niego.

Siedział tyłem do stołu, z rozstawionymi nogami, między którymi zwiślał fartuch, z papierosem przyklejonym do dolnej wargi. Rozchylił koszulę, pokazując, gdzie trzyma zgniecione papierosy.

– *Viens-y* – powtórzył.

Joss zbladła i wstała niepewnie.

Wiedziałam, co on robi. Zbyt często widywałam go z Mauricette. Ale Mauricette niech się martwi o siebie, a...

– Joss, nie zrobisz tego! – krzyknęłam. – Nie zrobisz tego! – Pchnęłam ją na krzesło i wrzasnęłam do Paula: – *Ne la touchez pas.*<sup>2</sup>

<sup>2</sup> Nie dotykaj Jej!

Odwrócił się do mnie i kazał mi iść spać.

– *Toi va faire dodo! Au pieu!* <sup>1</sup>

<sup>1</sup> Ty Idź spać! Do łóżka!

– Nie pójdę! Joss! Joss!

Paul podniósł butelkę. Nie wiem, co by się stało, gdyby Joss nie zlikwidowała tej sprawy. Sama. Siedziała tam, gdzie ją pchnęłam. Teraz miękko, z westchnieniem, padła na stolik, przewracając mój nie tknięty kieliszek. Głowa jej chwiała się lekko, zmierzwione włosy opadły w wino i zaczęły nim nasiąkać.

Usłyszeliśmy kroki. Drzwi od ogrodu otworzyły się. Weszli monsieur Joubert i mademoiselle Zizi. Zatrzymali się. Tuż za nimi stał Eliot. W tej samej chwili zapaliły się światła i w korytarzyku kuchennym rozległy się spieszne kroczki. Madame Corbet spóźniła się, tamci ją wyprzedzili; wpała biegiem, bez tchu i stanęła jak wryta.

– *Grands Dieux!* <sup>2</sup> – powiedziała. Tamci stali w milczeniu.

<sup>2</sup> Wielkie nieba!

Musiało to wyglądać na orgię: butelki, kieliszki, płonące świece we tknięte w szyjki butelek, rozlane na stole wino, niedopałki papierosów porzucane przez nas na podłogę, zalaną winem i zasypaną potłuczonym szkłem.

– *Grands Dieux!* – powtórzyła madame Corbet.

I wtedy zobaczyłam, jakim marnym tchórzem jest Paul.

– *C'est pas moi! C'est pas moi!* – wołał piskliwym ze strachu głosem.  
– *C'est elle* – wskazał na Joss – *elle et mademoiselle Cecil. Elles m'ont forcé!* <sup>3</sup>

<sup>3</sup> To nie Ja! To nie Ja! To ona... Zmusiły mnie!

– *La ferme!* – rozkazał Eliot. Był to najordynarniejszy sposób nakazania komuś milczenia, z jakim się spotkałam. I

Mademoiselle Zizi stała nieruchomo w progu. Eliot ruszył od razu w kierunku Joss, ale zanim do niej doszedł, monsieur Joubert stanął z tyłu i oparł ręce na jej krześle, (jakby chciał nie dopuścić Eliota). Posadził Joss, ale ona nie mogła utrzymać się w tej pozycji; głowa opadła jej znów do przodu.

– Jest pijana – powiedział monsieur Joubert do Eliota tonem oskarżycielskim i dodał w dalszym ciągu po angielsku: – Nie wiem, co się tu działo, lecz na pewno nic dobrego. – Nie patrzył na nas, tylko na Eliota i mademoiselle Zizi.

– D o b r e g o ! – Mademoiselle Zizi zajęła stanowisko obronne. – Upić się w ich wieku! I to moim winem!

– I popatrz na stół! – krzyknęła madame Corbet.

– *Ma petite table!* Mój stoliczek! Ach! – Głos jej był rozdzierający.

Madame Corbet rzuciła się i schwyciła butelki.

– *Zizi! Villers marmery i bouzy rouge!*

Paul zebrał potłuczone szkło. Zgarnął je w fartuch i wymknął się chyłkiem do kuchni. Joss była nieprzytomna. Tylko ja, Cecil, mogłam stawić im czoło. Stałam na niepewnych nogach przy stole, od którego się podniosłam. Madame Corbet odwróciła się i wymierzyła mi dwa policzki.

– *Petite canaille... Jem'en vais te flanquer une correction. Drôlesse! Oh! Cette petite crapule!*

– Przestań, Irène! – rozkazał Eliot. – Przestań! Cicho! – podniósł głos, ale potok wyzwisk płynął dalej.

– Cicho? A kto mi za to zapłaci?

– Może to pani wpisać w mój rachunek – odezwał się monsieur Joubert, po czym zaległa cisza. Schylił się i dźwignął Joss. – Mademoiselle Cecil, czy dojdzie pani po schodach do swego pokoju?

W uszach szumiało mi jeszcze po policzkach wymierzonych przez madame Corbet, ale udało mi się odejść od stołu i dotrzeć zygzakiem do schodów; poręcz znalazła się nieoczekiwanie tuż pod moją ręką. Za mną szedł monsieur Joubert niosąc Joss.

– Niech pan pozwoli, ja ją zaniosę – powiedział Eliot.

– Myślę, że zrobił pan już dość – odrzekł monsieur Joubert.

Nióś Joss na górę. Ja szłam za nim, nie trafiając od czasu do czasu



na stopnie, ale mocno trzymając się poręczy. Eliot został na dole u stóp schodów.

## Rozdział jedenasty

**J**eżeli tak się czują dorośli – powiedziała Joss – to jeszcze gorsze z nich świnie, niż myślałam.

- Oni wiedzą, kiedy przestać – odparłam, może trochę nietaktownie.
- Tak? Spójrz na mademoiselle Zizi.

Musiałam być sprawiedliwa.

– Ze wszystkich dorosłych o niej najmniej można to powiedzieć. Przypuszczam, że nawet pić trzeba się nauczyć – westchnęłam.

Nie pamiętam, jak weszłam do łóżka, ale obudziłam się pod kołdrą, choć nie rozebrana.

- Ubrana w łóżku! – zdziwił się Willmouse. – Cecil, co ty robiłaś?

Willmouse nieczęsto zadawał pytania; gdy zobaczył, jak źle się czuję, narzucił na siebie kurtkę i spodnie, przycesał włosy i wyszedł. Myślę, że starał się trzymać z daleka od naszego pokoju Hester i Vicky.

Kiedy weszłam do Joss, i ona była w łóżku, otulona starannie kołdrą, ale również ubrana; na dywaniku stały jej sandały, ustawione porządnie obok siebie. Czułam się taka nieszczęśliwa, że ją obudziłam, z czego była niezadowolona. Siadając na łóżku spostrzegła, gdzie jest, objęła wzrokiem zgniecioną suknię, poczuła zapach własnych włosów. Jęknęła i zamknęła oczy.

Czułyśmy się naprawdę do głębi zbrukane i zbyt zawstydzone, by zejść na dół na śniadanie. Zostałyśmy w pokoju Joss.

- Ale to nie nasza wina – dowodziłam i użyłam zdania, które

wyczytałam w gazetach dawanych mi przez monsieur Armanda. – Zmuszono nas do tego.

Joss była szersza ode mnie.

– To nasza wina – powiedziała ze znużeniem. – I będziemy się musiały nauczyć.

– Czego?

– Dawać sobie radę.

– Z czym?

– Z tym, co nas spotyka. I to lepiej niż dotychczas. Ja śmierzę – do-rzuciła.

– Ja też.

– Nie tak okropnie jak ja. – I znów zakryła oczy ręką. Chciała zasłonić się od światła, ale był to gest tragiczny i poczułam ukłucie w sercu.

Kiedy się czegoś potrzebuje, to aż zabawne, jak szybko nieraz to przychodzi. Coś mnie tknęło, żeby opowiedzieć Joss o monsieur Joubercie. Słuchała spokojnie, potem odjęła rękę od oczu.

– Mówisz, że powiedział: „Proszę to dopisać do mojego rachunku”?

– Tak.

– Nie był zły?

– Nie na nas.

– A ja byłam pijana.

– Bardzo.

– Jak ci mężczyźni przy kanale?

– Tak. Zaniósł cię do łóżka.

– On? Nie... Eliot?

– Eliot chciał, ale monsieur Jàuber.t mu nie pozwolił.

Joss rozmyślała przez chwilę, potem wstała z łóżka, podeszła do umywalki, nalała wody do miednicy i zaczęła ochlapywać sobie twarz. Nie odzywała się wycierając twarz i ręce; potem zrzuciła pogniecioną sukienkę. Wiedziałam, że myśli nad czymś bardzo głęboko, bo, inaczej kazałaby mi wyjść. W końcu, kiedy się przebierała, spytałam:

– Co masz zamiar zrobić?  
– Podarować monsieur Joubertowi jeden z moich obrazków.  
– Ależ, Joss! To sławny malarz. Dostaje setki funtów za portret. Wystawia swoje obrazy w dużych galeriach, takich jak Salon czy Akademia.  
– Nie Akademia. Uffizi we Florencji. Właśnie kupili od niego parę obrazów. – Joss powiedziała to spokojnie, wkładając sandały.

– Ma mieć wystawę w Londynie w tym roku – przekonywałam ją. – Tak powiedziała madame Corbet. On... on nie będzie sobie zawracał głowy jakąś dziewczynką, Joss. To jest Marc Joubert. Madame Corbet mówi, że to jeden z najlepszych malarzy na świecie.

– Wobec tego pozna się na dobrym obrazku – stwierdziła Joss.

Miała oczywiście rację. Monsieur Joubert nie zbył jej; trzymając obrazek na długość ramienia przyjrzał mu się, a potem położył go na krześle i odszedł parę kroków, nadal mu się przyglądając. Nie udawał – on na pewno nigdy nie udawał. My wszyscy otaczaliśmy go kołem, kiedy rozpoczął znaną indagację.

– Sama to pani namalowała?  
– Tak – odpowiedziała Joss, a my skinęliśmy głowami.  
– Nikt pani nie pomagał?  
– Nikt – potrząsnęliśmy głowami.  
– To dlaczego bierze się pani do innych rzeczy? – spytał monsieur Joubert.

– Bo są inne rzeczy – odparła niepewnie Joss.

– Nie dla pani – padła odpowiedź.

– Niedługo pójdę do szkoły plastycznej.

– Kiedy?

– Może po wakacjach.

– Malarze nie mają wakacji – powiedział monsieur Joubert. – Nie

umieją odpoczywać. A dlaczego chce pani iść do szkoły plastycznej?

– Musze, się nauczyć rysować – odrzekła Joss.

Myślałam, że on powie: „Bzdura!”, ale skinął głową.

– To pani nie zepsuje. Kiedy wasza matka będzie się czuła lepiej, porozmawiam z nią. – A mnie zapytał: – Czy ona mówi?

– Mama? – spytałam przestraszona.

– Mademoiselle – wskazał na Joss.

– A, ona! Czasami.

Podskoczył.

– Nie ciągle?

– Nie. To Hester.

– No więc – powiedział monsieur Joubert – mademoiselle Joss może malować razem ze mną. Nie całkiem razem, ale dość blisko. Żadnemu innemu dziecku nie wolno podchodzić. Trzymajcie się z daleka – powiedział groźnie do nas pozostałych.

Znów skinęliśmy głowami, z oczami szeroko otwartymi, pełni szacunku. Wiedzieliśmy, że to coś całkiem innego niż zakazy Eliota.

Eliot usiłował zbliżyć się do Joss. Przed obiadem siedziała na tarasie, by się na niego nie natknąć w barze. Kiedy mademoiselle Zizi rozmawiała z kilku nowo przybyłymi Amerykanami, wyszedł na taras.

– Joss...

– Słucham?

– Przepraszam cię. Musiałem tak postąpić.

Joss nie odpowiedziała.

– Nie chcesz ze mną rozmawiać?

– Nie.

– Jutro nie jadę do Paryża i...

– Jutro będę zajęta. – Była to prawda, nie wymówka.

Od tego dnia byliśmy znów każde osobno, tak jak przedtem... zanim wszedł w nasze życie Eliot. Vicky wróciła do monsieur Armanda,

Willmouse siedział w swojej pracowni pod wiśnią, my z Hester wałęsałyśmy się same. Joss, która też malowała jednocześnie dwa obrazy, wstawiała teraz tak samo wcześniej jak monsieur Joubert – prawie przed świtem była już nad rzeką – i szła wcześniej spać.

– Nie ma już światła. Mogę się kłaść – mówiła. Inni mieszkańcy domu prawie jej nie widywali.

Włócząc się z Hester nad zatoczką obserwowaliśmy ją. Nie miała żadnego z akcesoriów, które miał monsieur Joubert, nawet składanego stołeczka. Siedziała na odwróconej do góry dnem skrzynce, a deskę trzymała na kolanach. Nie miała odpowiedniego płótna, tylko kawałek zwykłego, rozciągniętego na desce, ale monsieur Joubert nauczył ją, jak trzeba pokrywać je dwiema lub trzema warstwami bieli – „nie farbą, temperą”, jak mówiła Joss – by było gładkie. Dał jej płaskie blaszane pudełko pełne słoiczków tempery, a „kiedyś pomoże mi przy olejnym obrazie” – powiedziała Joss. Najgorsze było to, że nie miała parasolki i musiała siedzieć w słońcu w starym słomkowym kapeluszu, który zgniółł się w walizce, tak że słomka popękała. Nie wyobrażałam sobie, by Joss w innych okolicznościach zgodziła się nosić ten kapelusz. Od czasu do czasu schodziła nad rzekę, maczała chustkę i rozkładała ją na denku kapelusza; mimo to pod koniec dnia była chorobliwie blada.

– Monsieur Joubert powinien odesłać cię do domu.

– On mnie nawet nie zauważa – odrzekła z dumą Joss. Wiedziała, jak mu się przypodobać, i przerywała pracę tylko wtedy, kiedy szliśmy wszyscy wieczorem odwiedzić mamę. Pozwalano nam teraz widywać się z nią codziennie.

– Ja maluję – oznajmiła jej Joss, a mamie zdaje się sprawiło to przyjemność.

– A ty co robisz, Cecil?

– Nic.

– Ale opiekujesz się malcami?

– Tak – odrzekłam niechętnie. Musiałam to robić. Joss była dobrą

starszą siostrą, ale gdy malowała, Vicky czy Willmouise mogliby wpaść do Marny, a ona by nawet tego nie zauważyła.

- Ale nie wpadają – powiedziała Hester.
- Nie, lecz Willmouise wychodzi co wieczór sam, a nie powinien.

Każdego wieczora po skończonej pracy Willmouise składał swoje rzeczy: pudełko ze skrawkami materiałów, szkatułkę z szyciem, pannę Dawn i Dolores oraz ich nowe stroje. Potem doprowadzał się sam do porządku – co było formalnością, bo zawsze wyglądał schludnie; nawet jego codzienne ubranko było jakoś czyste – mył twarz i ręce, przyglądał włosy mocząc je własną wodą kolońską i jak mały starszy pan szedł na krótki spacer. Nowa barka „Marie France 47” kołysała się na kotwicy nad zatoczką; lubił tam chodzić, by się jej przyglądać.

- Dlaczego nie idziesz, jak my idziemy?
- Lubię chodzić sam.
- Nie możesz robić zawsze tego, co lubisz.
- Mogę.

Pozwalałam mu. Było zbyt gorąco, wszyscy byli zbyt zmęczeni, by się spierać.

Było tak jak wtedy, zanim Eliot stał się taki ważny w naszym życiu. Znów byliśmy na tym samym etapie, choć jednak niezupełnie. Było tak samo, i nie tak samo. W domu panowało dziwne napięcie. Kiedy Eliot wracał z Paryża, wyglądał przemęczony i wymizerowany i zachowywał się tak szorstko w stosunku do mademoiselle Zizi, że oczy jej wydawały się większe niż kiedykolwiek od ciągle napływających łez. Była okropnie głupia. Szukała wciąż wzrokiem jego twarzy, błagała go tymi ogromnymi oczami zamiast zostawić go w spokoju. My umykaliśmy mu z drogi, gdy tylko spostrzegliśmy to zmęczenie na jego twarzy.

Przez trzy dni nie przyjeżdżał wcale. Mademoiselle Zizi podchodziła do telefonu cztery czy pięć razy. Słyszeliśmy, jak prosiła ciągle o ten sam

paryski numer, potem czekała, nasłuchiwała, gdy gdzieś daleko odzywał się sygnał. Dzwonił i dzwonił. Nikt nigdy nie odpowiadał. Kiedy w recepcji zadzwijał telefon, podskakiwała na krześle; po chwili opadała na nie znowu, słysząc, jak madame Corbet mówi:

– *Hôtel „Les Oeillets”.* *Oui, madame. Oui. Certainement.*

Był jeszcze Paul. Mogłam znieść, że próbował zwabić do siebie Joss; tego można się było po nim spodziewać. Gdyby mnie uderzył tamtego wieczora butelką, jak chyba miał zamiar, i to by mnie nie zdziwiło. Ale on wymknął się i zostawił mnie samą. W naszym kodeksie to była podłość.

– Mauricette mówi, że byłaś pijana – powiedziała Hester.

– A więc to było to – zauważył Willmouse.

– Ona powiada, że nie powinnaś przestawać z Paulem. – Hester była zaniepokojona.

– To okropny chłopak – powiedziała Vicky. – Dał mi do zjedzenia kawałek żaby i powiedział, że to kurczę.

– Zjadłaś?

– To ty możesz jeść żaby – odrzekła Vicky.

Żadne z malców nie lubiło Paula. Hester oczywiście była bardziej wyrozumiała.

– Nie było cię tam – powiedziałam. – Nie wiesz, jak okropnie wyglądał.

– Gorzej od ciebie i od Joss?

– Tak – odrzekłam, ale potem pomyślałam, co przeszedł Paul, przypomniałam sobie obozy i Hôtel-Dieu, i tę siostrę pół-Murzynkę i dodałam: – Zresztą nie wiem.

Nie chciałam widzieć tych wszystkich złych rzeczy u Paula, ale od czasu przyjazdu do „Les Oeillets” zdawało mi się, że dostrzegam w ludziach bardzo wiele, nawet kiedy tego nie chcę.

„Myślicie tylko o sobie”, powiedziała mama wtedy dawno temu na plaży i o ileż to było przyjemniejsze. Miałam wrażenie, że zaglądam każdemu do duszy, i powiedziałam z udręką:

– Nie ma ludzi dobrych.

– Owszem, jest dobry człowiek – rzekła Hester. – Monsieur Joubert.

Możliwe, że i on nie był taki całkiem dobry, ale zachowywał się jakby był. Widziałyśmy go w tej chwili, a za jego plecami wierną Joss; oboje pracowali.

– Chciałabym malować albo szyć suknie, albo robić cokolwiek – powiedziałam i spytałam: – Jak można być dobrym, jeśli się człowiek tylko wyleguje?

– Mama mówi, że nie każdy ma talent.

– No to dlatego ludzie nie mogą być dobrzy – stwierdziłam stanowczo.

Hester patrzyła na rzekę, na wodne wiry, Zaległo długie milczenie. A potem spytała:

– Cecil, czy Eliot jest dobry?

Pytanie padło niejako z pluskiem w spokojną wodę.

– Kochamy go – odparłam niepewnie. Czy można kochać kogoś, kto nie jest dobry? Było to takie samo wyzwanie w stosunku do naszych pojęć jak to, że Czarna Madonna jest piękna.

Czy Eliot jest dobry? Na to pytanie wołałabym raczej nie odpowiadać, zadowolona więc byłam, gdy uniosły je z sobą wiry wodne.

## Rozdział dwunasty

**B**ył już trzeci tydzień sierpnia, a wciąż panowała ta sama pogoda co w pełni lata. Nawet w zatoczce było gorąco; zaledwie lekki powiew poruszał gałązkami wierzb, których zakurzone listki zwisały nieruchomo, nie ukazując odwrotnej srebrzystej strony. Trawa, pokryta pyłem i brudna, była pełna śmieci pozostawionych przez niedzielnych spacerowiczów i uczestników majówek; sitowie też wyglądało brzydko; dojrzało właśnie i sypał się z



niego nasienny pyłek; gdy przypadkiem otarliśmy się o przypominające włócznie źdźbło – na rękach i ubraniu pozostawał brunatny ślad. Renklody w sadzie już prawie się skończyły, a na obiad pojawiały się na stole drobne jasne winogrona.

– Czy z tych winogron robi się szampana? – spytałyśmy. Najlepiej poznałyśmy ten gatunek wina. Ale Mauricette potrząsnęła głową.

– Te pochodzą z południa. U nas winogrona dojrzewają dopiero w końcu września. Ale wy tu jeszcze oczywiście będziecie w czasie winobrania – dodała.

Nie dyskutowałyśmy na ten temat. Wydawało się nam, że jesteśmy tu na zawsze. Mama czuła się lepiej, ale jeszcze nie wstawała, a nawet nie siadała. W następnym miesiącu miały się skończyć nasze wakacje, lecz do tej pory było jeszcze trzy i pół tygodnia, a w „Les Oeillets” każdy dzień wydawał się rokiem. Dwadzieścia trzy dni. Dwadzieścia trzy lata. Kto się martwi o to, co będzie za dwadzieścia trzy lata?

Pamiętam, że tak myślałam leżąc na brzuchu w słońcu nad brzegiem zatoczki i patrząc w głąb wody, gdzie setki małych rybek usiłowały schwycić coś, czego nie mogłam dojrzeć. Gdy rzuciłam do wody okruch bułki, rzucały się nań wszystkie błyskawicznie, chwytając drobinki pokarmu. Jedyne doznania ryb to odżywianie... odżywianie i śmierć, myślałam obserwując dużą rybę krążącą nad nimi. Niekiedy ktoś z miasta lub z hotelu przynosił sieć i wygarniał te rybki na powierzchnię – ze sto lub więcej – by smażyć je potem, przyprawiać solą i cytryną i jeść z czarnym chlebem z masłem. Sama zjadałam całe tuziny, a teraz ja, cząstka ich losu, pochylałam się nad nimi, a one mnie nawet nie widzą. Och! – pomyślałam.

Plecy moje zdawały się roztopiać w upale, lecz nagle poczułam chłód, jakby krew we mnie zastygła. Nie ma na to rady: każdej chwili wielka ryba, sieć – mogą zbliżyć się do każdego z nas, do mnie także. Popatrzyłam

znowu na rojącą się ławicę rybek. Gdy cisnęłam okruch, rzucały się jak szalone i nie ruszały się od niego nawet wtedy, gdy cień dużej ryby przesunął się nad nimi. Zanadto zajęte były tym, by żyć.

A więc to tam, pomyślałam, i z wolna przenikający mnie chłód odpłynął, i znów czułam żar przedzierający się przez sukienkę aż do skóry; ale tego chłodu nie mogłam zapomnieć.

– To zabawne, nigdy przedtem nie bałam się śmierci – powiedziałam do Hester.

– Nigdy o tym nie myślałaś – odrzekła i pocieszyła mnie: – To tylko ta ryba. – Wyrzuciłam stanowczo z głowy myśl o śmierci, kiedy ona dodała w zamyśleniu: – Nie wiem czemu, niemiłe jakieś są te dni.

Dla mnie też nie były one miłe, ale na pozór nic złego się nie działo, w domu panowała nawet nie znana dotąd życzliwość. Wykluczyłyśmy z naszego towarzystwa Paula, więc nie słuchałyśmy już o żadnych skandalach. Pod wpływem monsieur Jouberta, mademoiselle Zizi i Joss zawarły rozejm. Madame Corbet, żalując może, że mnie uderzyła, była mniej ostra. Dla nas było to jakby cofnięcie się o krok czy dwa w tył; byliśmy znów dziećmi i to przynosiło ulgę.

Joss ukończyła swój pierwszy obraz i zaniósła go mamie. Vicky skończyła pięć lat. Monsieur Armand upiekł dla niej tort i odbyło się przyjęcie na modłę francuską. Miało nam ono na zawsze utkwić w pamięci.

– Bo to wtedy się zaczęło – opowiadała potem Hester. – Tego dnia, kiedy Eliot zaczął być tam, gdzie go nie było.

– I nie być tam, gdzie był.

Dziwacznie upłynęło to urodzinowe przyjęcie. Wyniesiono stół do ogrodu. Mauricette nakryła go białym obrusem i przybrała liśćmi z altany. Na środku stołu stał tort obłany mrożoną bitą śmietaną z orzechami,

a wokoło niego Mauricette ustawiła kieliszki do wina wypełnione sokiem z granatu.

– Nie będzie herbaty? – spytała Vicky zdziwiona, ale herbaty nie było.

Przyszła mademoiselle Zizi i madame Corbet, Mauricette, monsieur Armand, Toinette i Nicole, ogrodnik Robert z żoną i dzieckiem. Monsieur Joubert i Joss porzucili na chwilę malowanie, a Willmouse szycie. Paul powiedział szorstko, że nie wyjdzie z kuchni, a Eliot, choć wiedział o tym przyjęciu, pojechał do Paryża. Zrobiło się dzięki temu milej, ale mniej ciekawie.

Uroczystość nie trwała długo; nie było żadnych prezentów. Mamie nie można było o tym przypominać, a my nie mogliśmy nic kupić nie mając pieniędzy. Ale Vicky miała jeszcze tak mało przyjęć urodzinowych za sobą, że nie była przyzwyczajona do prezentów i nie wiedziała, co traci. Wypiliśmy jej zdrowie, pokrajaliśmy tort i zjadłszy go rozeszliśmy się. Ja z Hester i Joss poszłam do szpitala, Willmouse na swój spacer, a Vicky na jeszcze jedną porcję tortu do kuchni.

Willmouse po powrocie zapytał:

- Kto powiedział, że Eliot wyjechał do Paryża?
- Przecież wyjechał.
- Nie. Jest tutaj.
- Skąd wiesz?
- Widziałem go. – Willmouse był zakłopotany.
- No o co ci chodzi? – spytałam.
- To był Eliot w ubraniu nie-Eliota.
- Musiałeś się pomylić.
- Nie myślę się, jeśli chodzi o ubrania – odrzekł małpy.

Szedł do domu wzdłuż brzegu – „Wiesz, tą ścieżką, gdzie zatoczka kryje się w sitowiu” – kiedy zobaczył idącego przed nim Eliota.

– Ubrany był w niebieskie spodnie, jak kombinezony, które tu noszą, i w jerseyową koszulę w prążki.

– Eliot się tak nie ubiera – powiedziała Hester.

– Wiem – odpowiedział Willmouse zirytowany. – Właśnie.

– Co właśnie?

– Właśnie wydaje się zabawne, kiedy to robi.

– Jesteś pewny? – spytała Hester.

– Czy ja się nie znam na ubraniu? – odparł straszonym głosem Willmouse i Hester umilkła.

– Zszedł ze ścieżki tam przy kępie sitowia, gdzie boczna dróżka biegnie do lasu. – Willmouse zmarszczył znowu czoło. – Wiecie, to wyglądało tak... ale to niemożliwe...

– Co niemożliwe?

– Żeby wyszedł z tej nowej barki. – Ton Willmouse'a był dziwnie stanowczy, ale co Eliot mógł robić na barce „Marie France”?

Lubiliśmy te barki, ich czarne kadłuby i czysto wyszorowane pokłady, i pobiegliśmy wszyscy przyjrzeć się „Marie France”. Często zaglądaliśmy do kabin na tych stateczkach, podziwiając lśniące mosiężne części, firanki i doniczki z kwiatami; nierzadko spostrzegaliśmy tam kota, ptaka w klatce lub kobietę z mnóstwem dzieci. Ale na pokładzie „Marie France” nie było chyba kobiety. Mosiądz na niej nie błyszczał, nie widać było firanek ani kwiatów. Na tej brudnej, zaniedbanej barce zobaczyliśmy tylko dwóch mężczyzn w płóciennych spodniach, które opisywał Willmouse, ale nie mieli ani jerseyowych koszul, ani nawet bawełnianych; byli do pasa nadzy i mieli na głowach ciemne żeglarskie czapki.

– To nie był Eliot – powiedziałam i wydało się to zupełnie pewne, kiedy wrócił tego wieczora o dziewiątej.

– Dobry miałeś dzień? – spytała mademoiselle Zizi.

– Diabelnie gorący – odparł. Robił wrażenie bardzo zmęczonego.

Przywiózł Vicky pudełko czekoladek, takich jakich nigdy nie widzieliśmy ani nawet sobie nie wyobrażaliśmy. Było to obciążone różową satyną pudełko malowane w różę i owiązane szeroką aksamitną wstążką. Wewnątrz, zamiast jak w większości pudełek wyściółki z papierowej koronki, była prawdziwa koronka. Na pudełku widniał napis: „Dorat”.

– Jeden z najdroższych paryskich sklepów z czekoladą! – wykrzyknęła madame Corbet.

– Widzisz, był w Paryżu – powiedziałam do Willmouse'a.

– Tak – odrzekł, ale bez przekonania.

Eliot pozostał w „Les Oeillets” przez następny dzień, lecz nie siedział, jak zwykle, z książką w ogrodzie. Najpierw zabrał malców do mamy; kiedy wrócił, zapytał Hester i mnie, czy chciałybyśmy z nimi iść do miasta. Minęliśmy Joss siedzącą nad brzegiem rzeki, ale ona nie odwróciła głowy ani Eliot się do niej nie odezwał. W mieście kupił nam kartki i trochę winogron dla mamy, które zaniósł do szpitala. Odwiedziliśmy też *monsieur le directeur*. Gdy wchodziliśmy, zawołał:

– *A ce soir!*

– Dlaczego „à ce soir”? – spytałam.

– Przyjdzie dziś wieczorem. Ma być wystawna kolacja. Nie wiedziałyście o tym?

– Nam się takich rzeczy nie mówi – odparłam.

Gdy tylko wróciliśmy, Eliot namówił mademoiselle Zizi i poszli razem do „Giraffe”.

– To już trzeci raz – stwierdziła Hester.

– Trzeci raz poszedł do miasta?

– Tak. Jest jakiś niespokojny.

Nie musiał jeść obfitego lunchu, bo tuż po dwunastej przyszedł do zalczki, gdzie z Hester zaniósł nasze piknikowe zapasy, i wyrzucił nas stamtąd.

– Nie kręćcie się tu – powiedział. – Chcę pospać.

- Ale nie zjadliśmy jeszcze.
- To idźcie zjeść gdzie indziej.

Nikogo nie było w pobliżu. Monsieur Joubert wszedł do domu; jadał lunch o dwunastej. Joss nie mogła mu towarzyszyć, zjadła swoje zapasy skromnie w ogrodzie. Potem oboje poszli do swoich pokojów na drzemkę. Willmouse po jedzeniu spał też zawsze pod wiśnią; jak mały starszy pan przykrywał twarz chustką. Vicky była jeszcze w tym wieku, że kładziono ją po południu do łóżka, i Joss zabrała ją po drodze na górę. Monsieur Armand po skończonym lunchu czytał gazetę rozłożoną na stole kuchennym. Maurice wałęsała się po kuchni i ogrodzie. Mademoiselle Zizi leżała na leżaku na tarasie. Myślę, że nawet madame Corbet kiwała się nad księgami w biurze. My z Hester zamierzałyśmy się wykąpać – lubiłyśmy zanurzać się w wodzie, wychodzić na słońce i znów wchodzić do wody. Byłaby to miła ochłoda, ale okazało się, że nic z tego.

Eliot musiał się czegoś domyślić, bo zapytał:

- Chcecie się kąpać? – I podsunął: – Idźcie raz na Plażę.
- Musiałybyśmy płacić – powiedziała Hester.

Eliot roześmiał się.

- Małe sknery. To nas zabolalo.
- Od kiedy tu jesteśmy – powiedziałam zduszonym głosem – nie mamy ani grosza.
- Dlaczego? – spytał Eliot.
- Bo nikt nam nic nie dał. – Głos Hester był także zduszony.

Przypomniały nam się czasy, kiedy chodziłyśmy oglądać Plażę, kiedy odczytywałyśmy wykaz gatunków sprzedawanych tam lodów, kiedy przyglądałyśmy się sklepom ze słodyczami w mieście, wspaniałym kolorowym lizakom, a w „L'Eglantine” mieczykom, które pragnęłyśmy kupić dla mamy. Przypomniłyśmy też sobie Vicky, która nic nie dostała na urodziny,

i to, że chcieliśmy kupić „Toi et Moi” i coś dla wuja Williama. Wszystko to dławiło nas w gardle..

– Zwykle dostajemy co tydzień kieszonkowe – wyjaśniłam.

– Boże! Jak mi przykro! – powiedział Eliot. – Dlaczegoście nie poprosili? Słuchajcie. Minęło już trzy tygodnie. – Wyjął portfel wypchany francuskimi banknotami i odliczył z nich siedem. – Jeden dla Hester, jeden do podziału między Vicky i Willmouse'a, dwa dla Cecil i trzy dla Joss.

Patrzyłyśmy osłupiałe, żadna z nas nie drgnęła.

– Weźcie – powiedział Eliot zniecierpliwionym tonem; ale my potrząsnęłyśmy głowami. – O co znów chodzi?

– To za dużo – powiedziała Hester, a ja dodałam: – Więcej niż funt na każdego.

– Mówię, że możecie to wziąć.

– Nie możemy – rzekła Hester oburzona. – Vicky dostawała sześć pensów, Willmouse dziewięć, ja szylinga, Cecil dwa, a z Joss był inny układ. – Ja bym tego wszystkiego nie opowiadała, ale Hester nigdy nie krępowało wyjawianie rodzinnych spraw. – Dostawała dziesięć szylingów, ale musiała kupować sama bilety autobusowe, znaczki, mydło, pastę do zębów, chusteczki i pończochy.

– Dość! Już mi się w głowie kręci – powiedział Eliot. – Weźcie to.

Ale my wciąż wzbraniałyśmy się i potrząsałyśmy głowami.

– Czy musicie być tak przerażająco uczciwe? – Zadał to pytanie tak cierpkim tonem, że wytrzeszczyłyśmy na niego oczy.

– Myślę, że mama zapłaciłaby za naszą kąpiel – powiedziała z wahaniem Hester.

– Słuchajcie – rzekł Eliot. – Jestem zmęczony. – Nie wydawał się zmęczony, raczej może... podniecony. Ale dlaczego? W to senne, skwarne popołudnie? – Weźcie to. – Podał nam banknot. – Idźcie się wykapać,

a resztę ustalimy wieczorem. – Gdyśmy się jeszcze wahały, krzyknął: – Idźcie! Jeśli ktokolwiek zbliży się do mnie przed piątą, obedrę go żywcem ze skóry.

Po sprawiedliwości, zjadłszy nasze zapasy powinnyśmy były iść po tamtych, ale „oni prawdopodobnie śpią – powiedziała Hester. – Mogą iść później. Jest mnóstwo pieniędzy”.

Poszłyśmy więc na Plażę, na którą tak często patrzyłyśmy i do której tak wzdychałyśmy. Przeszłyśmy przez biały mostek, minęłyśmy ogrodzenie z pasem ratunkowym, znalazłyśmy się w bramie i kupiłyśmy bilety u ospałego dozorca. Wynajęłyśmy jedną z biało-czerwonych kabin i korzystaliśmy z wszystkich trzech basenów pływackich i z niskiej i średniej, ale nie wysokiej trampoliny. Umiałam skakać, choć czasem spadałam do wody z głośnym pluskiem. Hester po prostu dawała susa, trzymając się za nos. Było rozkosznie chłodno i przez godzinę czy dwie przypominałyśmy dwa rozbawione morswiny. W końcu wyszłyśmy na brzeg, ubrałyśmy się, a potem kupiłyśmy w kiosku lody truskawkowe i zjadłyśmy je przy jednym z białych stolików..

– Eliot jest dobry – powiedziała z uznaniem Hester oblizując tekturową łyżeczkę.

Przeciągałyśmy jedzenie lodów, jak długo się dało.

– Nie kupujemy drugiej porcji, co? – spytała Hester, ale w końcu kupiłyśmy jeszcze jedną i podzieliłyśmy ją na pół. I tę przyjemność przedłużałyśmy, jak tylko się dało. Wybiła czwarta, ale Hester powiedziała:

– Nie chcę żadnego *goûter*.

I ja też na podwieczorek nie miałam ochoty. Wyszłyśmy z Plaży i wracałyśmy wzdłuż brzegu. Nagle Hester zaproponowała:

– Podkradnijmy się do Eliota.

– Po co?



– Żeby na niego popatrzeć – odrzekła. Ojciec opowiadał nam o jednym ze wschodnich wierzeń, zgodnie z którym nawet spojrzenie na kogoś dobrego lub wielkiego daje korzyść duszy.

– Zabronił nam przecież.

– A skąd będzie wiedział? – spytała Hester.

W „Les Oeilletts” nauczyliśmy się być równie przebiegli jak czerwono-skórzy; podeszliśmy więc bezszelestnie do zatoczki. Eliot leżał, jak zawsze, twarzą do ziemi, wyciągnięty na całą swoją długość, z głową opartą na rękach i starą czapką nasuniętą na oczy. Podczołgałyśmy się do niego zza kępy sitowia. Leżał zwrócony głową w naszą stronę.

– Śpi mocno – szepnęła Hester.

Drgnął na ten dźwięk, podniósł głowę i... to nie był Eliot.

W ubraniu Eliota i jego czapce leżał przed nami ciemny nieznany mężczyzna. Nie wiem, dlaczego tak nas to przeraziło, ale na długą chwilę zmartwiałyśmy jak króliki; zdawało mi się, że rzeka przepływa mi przez uszy. Kiedy znów opuścił głowę, wycofałyśmy się przez sitowie tak szybko, że obsypał nas kwietny pyłek. Potem puściliśmy się pędem, dobiegłyśmy do skrzynki Joss i ja padłam na nią, a Hester na trawę. Szyję i nogi pod kolanami miałam lepkie i zimne. Hester trzęsła się broda.

Siedziałyśmy tak jakiś czas nie odzywając się do siebie, a na słońcu nie robiło nam się wcale ciepłej.

– A może tak nam się wydawało... po tych lodach? – spytała w końcu Hester.

– Nie.

– To był inny mężczyzna...

– Tak.

– No więc? – Pytanie to zdawało się powtarzać w nieskończoność.

W jakiś czas później Hester powiedziała:

– O! Nie ma rzeczy monsieur Jouberta,

Nie było jego parasola ani sztalug, ani stołeczka, tylko skrzynka Joss stała samotnie na brzegu, mała i opuszczona.

Blask słoneczny przygasał, jaskółki zaczynały muskać skrzydłami powierzchnię rzeki, jak zwykle gdy owady latają, nisko. Na ratuszu wybiła piąta. Wstałyśmy, by wrócić do domu. Kiedy doszliśmy do niebieskiej furtki, otworzyła się i wyszła z niej mademoiselle Zizi.

Ubrana była na biało i trzymała w ręku parasolkę koloru heliotropu. Była świeżo upudrowana i umalowana. Jej perfumy napłynęły do nas falą.

– Pani wychodzi? – spytałyśmy niemądrze.

– Tylko do zatoczki spotkać się z Eliotem.

Popatrzyłyśmy na siebie, otworzyłyśmy usta i zamknęłyśmy je.

– Dlaczego jej nie powiedział? – spytała Hester, gdy mademoiselle Zizi oddaliła się.

– A dlaczego ty nie powiedziałaś?

Nie weszłyśmy do domu, zostałyśmy w sadzie. Rozmawiałyśmy z Wilîmouse'em, podziwiałymy nowy kapelusz panny Dawn i bawiłyśmy się z psami. Nie mówiłyśmy tego, lecz czekałyśmy, żeby zobaczyć, i po bardzo długim, jak nam się zdawało, czasie niebieskie drzwiczki uchyliły się znowu. Weszła w nie mademoiselle Zizi, a za nią Eliot.

## Rozdział trzynasty

**G**dy tylko znalazłyśmy się w domu, wiedziałyśmy od razu, że madame Corbet wysłała Zizi do Eliota, by się jej pozbyć.

Madame Corbet była osobą operatywną. Kiedy w „Les Oeilletts” trzeba było coś zorganizować – obiad, lunch na dwa-trzy *chars à bancs* turystów czy wczesne śniadanie – zrobione to było szybko i spokojnie, „ale nie

wtedy, kiedy w domu znajdowała się mademoiselle Zizi”, mówiła Hester. Wydawała ona sprzeczne rozkazy Mauricette, denerwowała monsieur Armanda proponując w ostatniej chwili zmiany w ustalonym menu, odrywała od pracy Paula i spierała się z madame Corbet. Mądrzej było wysłać ją z domu, który został całkowicie przeobrażony. Musiała to być jakaś dużo większa okazja niż wszystkie dotychczasowe od chwili naszego przyjazdu.

– Czy to będzie b a n k i e t ? – spytał Willmouse.

Stoły w jadalni ustawiono w kształt dużej litery T i nakryto białymi obrusami; stały na nich kieliszki i leżały srebrne sztucce.

– Dziewięćdziesiąt cztery miejsca – szepnęła Hester skończywszy liczyć.

Kwiatów nie układała, jak zwykle, Mauricette, lecz pani z „L'Eglantine” i jej dwie pomocnice w zielonych fartuszkach; były goździki., gałązki asparagusa i białe kwiaty przypominające kiście małych lilijek na jednej łodydze. Miały one mocny, słodki zapach.

– Mauricette mówi, że to są tuberozy – powiedziałam.

– Słyszałem o takich kwiatkach – oświadczył z powagą Willmouse.

W barze ustawiono estradę; wiedzieliśmy, że to tylko skrzynki przykryte dywanem i obstawione palmami, ale wyglądało to imponująco. W hallu i w barze stało więcej niż zwykle kwiatów, a od drzwi wejściowych do stóp schodów rozłożono dywan.

– Bo przyjdą *le sous-préfet i monsieur le maire*<sup>1</sup> – oznajmiła Vicky, wróciwszy z kuchni.

<sup>1</sup> Podprefekt i burmistrz.

Widzieliśmy burmistrza Southstone na paradzie z okazji, rocznicy zawieszenia broni. Miał płaszcz z czerwoną peleryną, trójgromny kapelusz i gruby łańcuch.

– Nie wiedziałam, że burmistrzów zaprasza się na kolację – powiedziałam przejęta nabożną czią.

– To jest bankiet – orzekł z przekonaniem Willmouse.

– Bal orkiestry dętej – poinformowała nas Vicky, która większą część dnia spędziła w kuchni i wiedziała wszystko.

Niezupełnie zresztą wszystko. Miała to być kolacja dla uczczenia stuletniej rocznicy istnienia Fabryki Instrumentów Dętych, ale pozostała na zawsze w naszej pamięci jako bal orkiestry dętej.

Przechodziliśmy często koło tej fabryki buszując po drugiej stronie rzeki i odczytywaliśmy napis umieszczony na podłużnej tabliczce na murze: „Emile Perrichaut, fabricant d'instruments de fanfare. Trompettes. Clairons. Médaille de l'Exposition de 1895. Fournisseur de l'Armée”<sup>1</sup>. A teraz miało tu przyjść trzydziestu pracowników z żonami lub pracownic z mężami – bo były tam też pracownice – z dorosłymi synami i córkami, jak również podprefekt i burmistrz, pisarz archiwalny, komisarz policji, porucznik żandarmerii i szef orkiestry miejskiej. „Et le *capitaine des pompiers*” – dodała Mauricette, to znaczy komendant straży pożarnej. Mauricette powiedziała też, że przyjdzie *monsieur le directeur* jako szwagier *monsieur Perrichaut* i że zostali również zaproszeni *mademoiselle Zizi* i *Eliot*. Tego wieczora nie będzie miejsca w „Les Oeillets” dla żadnych gości, cały hotel zajęły instrumenty dęte.

<sup>1</sup> ...fabrykant Instrumentów dętych. Trąbki. Trąby. Złoty medal na wystawie w roku 1895. Dostawca armii.

– Co oni będą robić? – spytała Vicky i spostrzegłam, że starała się przypomnieć sobie najbardziej niezwykle rzeczy, jakie mogą robić ludzie. – Czy będą pić jabłecznik i grać w karty?

– Będą dużo jeść, sporo pić i wygłaszać długie mowy – wyjaśnił Eliot, który podszedł i stanął za nami, Wzdrygnęliśmy się lekko z Hester

poczuwszy go za sobą, ale nie zauważył tego. – A potem będą może tańczyć.

– Przy orkiestrze dętej? – zapytała Hester.

Fabryka Instrumentów Dętych miała własną orkiestrę. Słuchaliśmy jej w mieście w niedzielę i dni świąteczne i domyślaliśmy się, że estrada została dla niej ustawiona.

– Spójrzcie, co oni mają zjeść – powiedziała Vicky.

Przyniosła kartkę z wypisanym menu.

*Hors-d'oeuvre varies*

*Homard à la mayonnaise*

– To znaczy homar – wyjaśniłam Vicky.

– Wiem, jadłam – odrzekła.

*Poulet chasseur*

*Filet de boeuf rôti jardinière*

*Salade de saison*

*Fromages variés*

*Pièce montée*

*Fruits*<sup>1</sup>

<sup>1</sup> Różne zakąski, homar w majonezie, kurczę po myśliwsku, polędwica pieczona z jarzynami, salata, sery, tort z piramidą, owoce.

– A na *pièce montée* jest cała orkiestra – dodała Vicky. – Monsieur Armand robił ją przez cztery dni. Powiedział, żeby wam nie mówić.

Zaprowadziła nas, by to pokazać. Na srebrnej podstawie spoczywał duży tort w kratki i zawijasy z lukru, na którego wierzchołku widniała cukrowa orkiestra; beżowi muzycyści zostali pomalowani na różne kolory, a ich małe instrumenty dęte były z żółtego cukru. Nie mogliśmy wprost uwierzyć, że powstało to tu, w kuchni.

– Jestem lukrowy Marc Joubert – powiedział monsieur Armand. Zadowolony i promienny wypędził nas z kuchni, ale zdołałam dojrzeć

odwróconego do nas plecami Paula przy zlewie, w którym piętrzyły się rondle. Kiedy sięgnął po ścierkę, kosmyk włosów zsunął mu się z czoła i spostrzegłyśmy, że twarz ma mizerniejszą niż zawsze, koloru jego białego ubrudzonego fartucha. Jakże żałuję teraz, że nie podeszłam i nie zagadałam do niego, ale bałam się, że mnie zeklnie.

Nikt nie powiedział nam, co mamy z sobą zrobić, staliśmy więc w jadalni przyglądając się, jak madame Eglantine kładzie ostatni kwiat do ostatniego wazonu. Potem poszliśmy na górę, by się przebrać. Włożyłyśmy nasze najlepsze sukienki, nie noszone dotąd; nie były one zbyt wspaniałe: z białej kory w różowe groszki, przymarszczane. Mama uszyła nam je z kuponu nabytego na wyprzedazy. Joss wyrosła ze swojej sukienki, a ponieważ dziedziczyłyśmy po sobie, ja nosiłam jej suknię, Hester moją, a Vicky – Hester. Wobec tego, że Vicky miała odziedziczyć jeszcze dwie, wyglądało na to, że będzie musiała nosić korę w różowe groszki całymi latami. Willmouse włożył świeżą koszulę, jedwabny krawat i czyste spodenki.

- A w co ubierze się Joss? – spytała Hester.
- To się okaże, jak przyjdzie.
- A nie ma jej? – spytała Hester, ale z pokoju Joss nie dochodził żaden dźwięk.

Wyczyściliśmy paznokcie i przyczesaliśmy włosy. Vicky i Hester włożyły czyste białe skarpetki – Joss załatwiła sprawę naszego prania i nareszcie mieliśmy czyste rzeczy – ja wyciągnęłam moją jedyną parę cienkich pończoch i oczyściliśmy sandały. Skończyliśmy się ubierać, a z pokoju Joss nadal nie dochodził żaden szmer.

- Gdyby poszła do mamy, byłaby dawno z powrotem. Może wyszła z monsieur Joubertem? – powiedziała Hester.

– To ktoś by nam o tym powiedział.

Zapukałam. Cisza. Weszłam. Joss leżała na łóżku, z twarzą w poduszce.

- Joss! Czy ty masz atak!

Cisza. Podeszłam nieśmiało. Hester i malcy stali w progu,

– Joss! To ja, Cecil. Odezwij się, Joss.

Uniosła głowę i powiedziała, ale nie do mnie:

– Nienawidzę jej. Nienawidzę. – Brzmiało to tak, jakby mówiła do całego świata.

– Kogo nienawidzisz? – Ale wiedziałam kogo i spytałam z obawą: – Co się stało?

– Przez nią skończyło się moje malowanie – odrzekła Joss.

– Skończyło się...

– Tak! – Joss usiadła i uderzyła pięścią w poduszkę. – Tak! Tak! Tak!

– Ale... w jaki sposób?

– On poprosił, żebym zjadła z nim lunch.

Zawahałam się. Wiedzieliśmy, kim była ona, ale on to mógł być...

– Eliot? - zaryzykowałam pytanie.

– Idiotka! Monsieur Joubert. Na dworze było tak gorąco... myślę, że dlatego to zrobił... i zgodziłam się. W jadalni nie było nikogo prócz nas i... ich.

– Mademoiselle Zizi i Eliota?

– Tak. Madame Corbet miała tyle pracy w kuchni, że nie przyszła na lunch. Może my – to znaczy monsieur Joubert i ja – za dużośmy się śmieli.

– Uniosła głowę. – Chciałam się śmiać. Eliot... – urwała.

Musiałam jej podpowiedzieć.

– Eliot?

– Tylko się przyglądał – mówiła Joss. – A gdy wyszedł, bo wkrótce poszedł sobie, jakby mu się to nie podobało, mademoiselle Zizi podeszła do naszego stolika i powiedziała... – urwała znowu.

– Powiedziała...?

– Mówiła po francusku, ale zrozumiałam. Żałuję, że zrozumiałam – powiedziała Joss. Rozejrzała się i spostrzegła tamtą trójkę. – Zamknij drzwi, Cecil.

Przeszłam wolno przez mały pokój i zamknęłam drzwi. Czy to z powodu długiej kąpieli po południu, czy szoku doznanego w zatoczce, wszystko mnie bolało – nogi, plecy, głowa – bolało mocno i nie chciałam słuchać już o niczym ohydny – bo czułam, że to będzie coś ohydny – i żałowałam, że nie jestem z Hester i malcami po tamtej stronie drzwi.

Podeszłam znów do łóżka, a Joss wyszeptwała:

– Powiedziała mi, że nie chce takich rzeczy w swoim hotelu... stary mężczyzna i młoda dziewczyna... że ja...

– Że ty co?

– Narzucałam się Eliotowi – szeptała Joss. Dwie łzy spadły na poduszkę, tylko dwie; jakby ona krzawiła, nie płakała.

– I co było dalej?

– Monsieur Joubert wstał i uklonił się, nie jej, ale mnie.

– Uklonił się tobie?

– Tak – odrzekła Joss ze zniecierpliwieniem. – I powiedział: „Kiedy pani będzie trochę starsza i znajdzie się pani gdzie indziej, i matka pani będzie tam także, spotkamy się znowu. Napiszę do niej”. I wyszedł.

– Na dobre?

– Tak. Widziałam, jak Paul wynosił jego walizki i przybory do malowania i jak podjechała taksówka. Nie sądzę, by mademoiselle Zizi chciała do tego doprowadzić – słyszałam, jak madame Corbet złościła się na nią – ale kiedy mnie widzi, nie panuje nad sobą. Nie pozwoli mi mieć nic. Nic.

– Dlaczego ona tak strasznie nienawidzi Joss? – spytałam później Hester. – Chyba za coś więcej niż tylko za to, że Eliot ją lubi.

– To nie chodzi o Eliota – odrzekła Hester. – Nie tylko o Eliota. – I dodała: Wiesz, to jest tak: kiedy jest się dla kogoś naprawdę okropnym, to nie można go znieść.

Czułam się strasznie zmęczona, zbyt zmęczona, by poradzić sobie



z tym mnóstwem uczuć; wydawało się, że dom jest ich pełen, pełen nienawiści i miłości, a miłość wydawała się równie zła jak nienawiść. Stanie się coś złego, pomyślałam i przebiegł mnie dreszcz.

– Joss...

Chciałam powiedzieć jej o tym mężczyźnie w zatoczce, ale ona nie słuchała, a raczej słuchała czegoś innego.

– Co się dzieje na dole? – spytała.

Powiedziałam jej o balu instrumentów dętych; wydarzenie to nie wydawało mi się już tak niezwykle, ale ona podniosła się z łóżka. Miała wyraz twarzy tak stanowczy, że zapytałam:

– Co masz zamiar zrobić?

– Iść na tę zabawę.

– Ale nas nikt nie zaprosił.

Nie odpowiedziała. Popatrzyła ponad moją głowę i powiedziała:

– Staralam się być delikatna. Znalazłam sobie zajęcie i trzymałam się z daleka. Ale teraz już nie będę.

– A jeśli cię nie zaproszą?

– Skłonię ich do tego. Potrafię skłonić ludzi, żeby robili to, Co chcę. – Wiedziałam, że mówiąc „ludzie” myślała o mężczyznach.

– Joss – odezwałam się z wahaniem – jeśli tak zrobisz, czy nie będzie to wyglądało, że... że jesteś taka, jak powiedziała mademoiselle Zizi?

Broda Joss uniosła się wyżej.

– Ona myśli, że jestem taka jak ona – wyrzekła z pogardą. – Więc dobrze. Będę taka i gorsza jeszcze. – Może dostrzegła niedowierzanie w mojej twarzy, bo spytała: – Co innego mam zrobić?

To było bardziej podobne do prawdziwej Joss, nie do tej zamkniętej, zadowolonej w dumie.

– Maluj dalej – podsunęłam.

– Bez monsieur Jouberta?

– On by tak zrobił.

Myślałam, że zwyciężyłam, ale spojrzawszy na nią stwierdziłam, że nie ma sensu mówić więcej. Twarz Joss miała znów ten zamknięty wyraz, jak-by przywdziała maskę; zmrzyła oczy, nozdrza miała ściągnięte, zaciśnięte wargi.

– Pójdę na to przyjęcie i włożę „grzeszną” suknię.

Suknia nazywała się „grzeszna”, bo Joss kupiła ją samowolnie. Po przedniego roku wuj William dał jej pieniądze na nowy płaszcz nieprzemakalny; stary sięgał jej zaledwie do kolan i miał za krótkie rękawy. Ale ona poszła do sklepu z konfekcją i kupiła suknię. Także z wyprzedaży – „dawniej kosztowała dziesięć gwinei, tak było napisane” – opowiadała.

– Dziesięć gwinei za suknię! – Wszystkim nam wydawało się to niewiarygodne, z wyjątkiem Willmouse'a.

– Suknia może kosztować i sto funtów – powiedział.

– Ale... kiedy ty się w nią ubierzesz? – spytała mama, zupełnie oszłamiona.

– Może nigdy – odparła Joss – ale musiałam ją mieć.

Suknia była z kremowego jedwabiu tłoczonego w różyczki.

– Nie za wiele tych róż – orzekła krytycznie Hester – i niewiele jedwabiu.

Wszystkiego wydawało się za mało na taką cenę. Joss miała w tej sukni odsłonięte ramiona i szyję, spódnica była wąska.

– Cała rzecz to krój – wyjaśnił Willmouse i obejrzał ją dokładnie. – Widać wpływ mody chińskiej – zawyrokował – i dlatego pasuje do Joss.

Przez rok suknia wisiała w szafie. Teraz, umywszy twarz i uczesawszy się, Joss wyjęła ją. Otworzyłam drzwi mego pokoju, żeby tamci mogli wejść, i przyglądaliśmy się wszyscy, jak ją wkładała.

Przy tej „grzesznej” sukni nasze sukienki z kory wyglądały bardzo po-spolicie i codziennie; mimo Czarnej Madonny poczułam dawną zawiść.

– Za ciasna – powiedziałam złośliwie. – Wyglądasz wyzywająco.

Joss spojrzała w lustro i uśmiechnęła się.

– Tym lepiej – odrzekła i roześmiała się z mojej zgorzzonej miny. Zauważyłam, gdy się myła, że ciemne kępki włosów spod jej pach znikły.

– Mam małą brzytwę – wyjaśniła.

Miała też puder i szminkę. Nie wiem, kiedy kupiła te rzeczy, ale patrzyłam z podziwem i lękiem, jak robiła makijaż.

– Nie smaruj się zanadto – powiedział Willmouse.

– Nie jestem mademoiselle Zizi – odrzekła miażdżąc go spojrzeniem.

Gdy była już gotowa, wzrok jej padł na mnie.

– Co ci jest, Cecil? – spytała.

– Mam bóle.

– Gdzie?

– W rękach, w nogach, wszędzie.

– To bóle dorastania – odrzekła.

Teraz wydaje mi się, że było to po prostu zwykłe mieszczańskie przyjęcie, takie jakie mogłoby się odbyć w każdej prowincji francuskiej, ale nam wydawało się wspaniałe i emocjonujące, choć musieliśmy przyznać, że goście nie byli równie wytworni jak menu i kwiaty.

– Chyba pójdę na mój wieczorny spacer – powiedział Willmouse, kiedy obejrzelśmy pierwszych gości.

Widziałam, że jest zawiedziony. Nie wzięliśmy pod uwagę, że to ludzie pracy, nie czujący się całkiem swobodnie w odświętnych ubiorach. Mężczyźni mieli czarne garnitury, za ciężkie na ten gorący wieczór, i obuwie na grubych podeszwach. Wszyscy popisywali się dużą ilością złotych łańcuszków od zegarków i złotych spinek. Ich żony miały nienagannie czyste bluzki, zakłady i spódnice, i pantofle na wysokich obcasach.

Przyglądaliśmy im się ze schodów, nie mając odwagi zejść na dół,

póki nie zebrało się tyle osób, że mademoiselle Zizi czy madame Corbet nie mogłyby nas zauważyć.

– Czy to jest *monsieur le maire*? – spytała Hester.

Witając się z nim wszyscy kłaniali się uprzejmie, lecz choć miał imponującą brodę, ubrany był w zwykłe czarne ubranie; tylko wstążeczka w butonierce podkreślała jego ważność. Nie nosił ani szkarłatnego płaszcza, ani trójgraniastego kapelusza, ani łańcucha. Podprefekt, jeszcze ważniejszy od niego, nie miał nawet wstążeczki, za to monsieur Perrichaut robił wrażenie; wiedzieliśmy, że to musi być on, bo witał gości wspólnie z żoną. Był wyższy od wszystkich – „z wyjątkiem Eliota” – zauważyła Hester – siwy, z wydatnym, okazałym brzuchem.

– Pozwólcie, niech mu się przyjrzę – powiedziała Joss i wpatrywała się w niego tak, jakby badała nowy ład.

Monsieur Perrichaut wydawał się człowiekiem bardzo odpowiednim na właściciela Fabryki Instrumentów Dętych; głos jego brzmiał jak saksofon, a gdy wycierał nos, rozlegał się dźwięk trąby. U jego boku stał jakiś młodzieniec, który piskliwym głosem prezentował gości.

– Jak pikulina – szepnęłam, ale Joss nie roześmiała się. Była bardzo poważna.

– Powiedz, mi, jak wejdzie doktor.

– *Monsieur le directeur*?

– Tak.

– Już jest – oznajmiła po chwili Vicky.

– Schodźcie – rozkazała nam Joss. – Schodźcie kolejno, wśliznijcie się pomiędzy nich i zacznijcie witać się ze wszystkimi. Nie będą was mogli odprawić. I nie depczcie mi po piętach – przykazała surowo.

Hester i Vicky znikły w tłumie, ale ja ociągałam się jeszcze. Joss nuciła pod nosem, co oznaczało, że jest zdenerwowana. Potem obciągnęła suknię, spojrzała na nią z dezaprobatą, wstrząsnęła opadającymi jej na ramiona włosami i zeszała ze schodów. Patrzałam, jak bez wahania podchodzi do

doktora z wyciągniętą ręką. Ruszyłam za nią, kryjąc się w tłumie gości. Doktor przytrzymał rękę Joss.

– *Mais... c'est la petite Anglaise*<sup>1</sup> – powiedział. Podkraǳłam się chyłkiem, by widzieć ją lepiej.

<sup>1</sup> Ależ to ta mała Angieleczka!

Miała zabawną minę, jakby się ǳasała.

– Nie taka mała – odparła, a zwracając się do monsieur Perrichaut spytała: – Nie jestem już taka mała, *pas si petite*, prawda, proszę pana?

Hester przysunęła się do mnie.

– Mówi tak głupio jak jakaś dama – powiedziała z naganą w głosie.

Głupio czy nie, panu Perrichaut chyba się to podobało. Po chwili spytał:

– *Vous dînez avec nous, mademoiselle?*

– Zaprasza ją na kolację – przetłumaczyłam Hester.

– Ja... ja nie jestem zaproszona – odrzekła Joss. Udawała nieśmiałość, co nam się nie podobało.

– *Je vous invite*<sup>2</sup>. – I posłano „pikulinę” do madame Corbet z prośbą o jeszcze jedno nakrycie.

– *A côté de moi*<sup>3</sup> – powiedział szarmancko doktor.

<sup>2</sup> Ja pania zapraszam.

<sup>3</sup> Koło mnie.

– *Monsieur le directeur s'y connaît*<sup>4</sup> – rzekł monsieur Perrichaut. Otaǳali go najważniejsi goście, a teraz i Joss stała pośrodku nich. Wszyscy robili szeptem uwagi na jej temat. Mademoiselle Zizi zobaczyła ją, ale nie mogła jej wyrzucić.

<sup>4</sup> Pan dyrektor to znawca.

– *Permettez-moi de vous jaire mes compliments, mademoiselle?*<sup>5</sup> – mówił pan podprefekt.

<sup>5</sup> Pozwoli pani powinszować sobie.

– *Ah! La jeunesse! La jeunesse*<sup>6</sup> – powtarzał monsieur Perrichaut i wszyscy przyglądali się Joss.

<sup>6</sup> Ach, młodość! Młodość!

– Absolument *ravissante*<sup>1</sup> – orzekł *monsieur le maire*. Stał tuż przede mną i zaczął mówić o Joss z drugim mężczyzną stojącym obok niego; nie mogłam dosłyszeć wszystkiego, ale wpadło mi w ucho: „*Ce teint lumineux!*”<sup>2</sup>

<sup>1</sup> Zupełnie czarująca.

<sup>2</sup> Ta jasna cera!

– Co oni mówią – syknęła Hester.

– Komplementy – odsyknęłam.

Eliot stał przy barze i rozmawiał z młodym archiwariuszem, którego pokazała mi Mauricette, bo go uwielbiała. Był ciemnowłosy i przystojny, ale Eliot przewyższał go wzrostem, tak jak i większość pozostałych gości. Joss musiała spojrzeć go od razu, ale udawała, że nie widzi, i on też na nią nie patrzył. Nie podobało mi się to, tak samo jak ta udawana nieśmiałość. Wszystko stało się nieprawdziwe, pomyślałam. Przedtem byliśmy nieszczęśliwi, ale tak było naprawdę, teraz coś udawaliśmy. Oddaliłam się od nich wszystkich i wyszłam na taras, gdzie panowała cisza i chłód. Za chwilę wszędzie księżyc, zapadnie wonny księżycowy wieczór, ale wtedy ta zabawa w udawanie będzie jeszcze gorsza, ukaże się w jaskrawszym świetle. Oparłam łokcie o ciepłą żelazną poręcz i schyliłam głowę zakrywając rękami oczy, jakbym nie chciała widzieć, patrzeć, myśleć... Lecz niedługo cieszyłam się spokojem. Wśród drzew rozbłysły nagle czarodziejskie światła i zapalały się dalej –, czerwone, niebieskie, żółte.

– *Ah! C'est joli!*<sup>3</sup> – wykrzyknęła jedna z kobiet i na taras wysypali się goście, by podziwiać ten widok. Był wśród nich Eliot i wtedy wydarzyła się następna dziwna rzecz.

<sup>3</sup> Ach, jakie to ładne!

Usłyszałam, że ktoś mnie woła. Przez ogród biegł Willmouse. Zwykle nie biegał, ale teraz chmura piasku wznosiła się za nim, skarpetki mu opadały – *Willmouse*'owi opadały skarpetki! Zbiegłam ze schodów na jego spotkanie.

– Cecil... coś niesłychanego...!

Dopał mnie i prawie bez tchu zaczął opowiadać.

– Spacerowałem nad rzeką i nagle zobaczyłem mężczyznę...

Zesztywniałam.

– Ciemnego mężczyznę?

– Takiego jak madame Corbet – odrzekł Willmouse. Wiedziała, że oznaczało to śniadego... jak tamten, pomyślała. – Wyszedł z krzaków – opowiadał Willmouse – i miał motocykl. Duży, nowy, czerwony, wyglądał w każdym razie jak nowy. Przeprowadził go wzdłuż brzegu i po drewnianym pomoście do barki... – Piskliwy z przejęcia głos Willmouse'a, który mówił po angielsku, musiał dotrzeć na taras. Spostrzegłam, że Eliot podszedł do poręczy i spojrzął w dół.

– Do „Marie France”? – spytałam Willmouse'a.

– Tak. Ten mężczyzna popatrzył po rzece, jakby chciał się przekonać, czy tam ktoś jest. Nie mógł mnie dojrzeć...

– Dlaczego?

– Bo sitowie jest wysokie. A potem wiesz, co zrobił? – Willmouse umilkł na chwilę. Zawsze lubił dramatyczne sytuacje. – Prze-pro-wa-dził swój mo-to-cykl przez po-kład i spu-ścił go z dru-giej stro-ny – powiedział Willmouse.

– D o r z e k i ?

– Tak.

– Nie bądź głupi.

– Zrobił to, Cecil. To był nowy...

– A ty co tu robisz tak późno na dworze?

Głos Eliota był tak ostry jak tamtego pierwszego ranka, kiedy wyszedł on z pokoju mademoiselle Zizi. I taki sam jak na dziedzińcu w Dormans. Eliot zszedł z tarasu.

– Gdzie byłeś? – zapytał Willmouse'a.

– Na... na spacerze. – Willmouse ledwo mógł mówić ze strachu.

– On zawsze chodzi na spacer – powiedziałam w jego obronie.  
– Cicho bądź! – burknął Eliot i zwrócił się znów do Willmouse'a. – Wiesz doskonale, że nie wolno ci wychodzić z domu o tak późnej porze. – Willmouse otworzył usta, ale Eliot dorzucił: – Ani słowa. Nie znoszę nieposłuszeństwa. Idź w tej chwili do łóżka – i obrócił Willmouse'a za ramię.

– Eliot! Ty n i g d y... – wyrzekłam to chyba z jękiem. Straszne było patrzeć, jak prowadził Willmouse'a po schodach, niczym więźnia. Chłopiec był szary z przerażenia.

– *Mais, monsieur Eliot* – odezwał się jeden z panów stojących w grupie – *vous'êtes trop dur*<sup>1</sup>.

<sup>1</sup> Ależ, proszę pana, pan jest zbyt surowy.

– W Anglii trzymamy chłopców krótko – odparł ostro. A do Willmouse'a powiedział głośno: – Ile razy mówiłem ci... – I od razu wiedziałam, że Eliot się zgrywa. Przepchnęłam się za nimi do stóp schodów.

– Nigdy mu nic nie mówiłeś! – krzyknęłam z wściekłością.

– Cecil, zostań na dole – rozkazał mi Eliot. Wyraz jego twarzy przeraził mnie. Stałam w miejscu, póki nie zszedł na dół, a potem prowokując go spojrzeniem, którym starałam się okazać mu nienawiść, poszłam na górę, ale drzwi naszego pokoju były zamknięte. Zakołatałam klamką.

– Willmouse! To ja, Cecil! To Cecil!

Odpowiedziało mi milczenie. Nie zdziwiło mnie to. Willmouse siedział zawsze cicho i spokojnie, kiedy był obrażony.

Wróciłam na podest, gdzie złapał mnie znowu ból, a równocześnie poczułam się taka opuszczona i nieszczęśliwa, że było to wprost nie do zniesienia. Jeżeli tak wygląda dorastanie – Joss mówiła o bólach dorastania – to wcale mi się nie podobało. Towarzystwo na dole musiało wejść do domu na kolację; słyszałam szuranie odsuwanych krzesel, wybuchy śmiechu, głosy. Zastanawiałam się, czy Joss siedzi koło doktora, czy tam są Hester i Vicky.



Nie ma nic smutniejszego niż przysłuchiwanie się przyjęciu, w którym nie bierze się udziału. Do uszu moich dobiegał szczełk noży i widelców, zmieszany z rozmowami i śmiechem. Na podeście robiło się ciemno, schody oświetlało jedynie światło padające z hallu: zapach jedzenia mieszał się z wonią kwiatów. Pomyślałam, że Willmouse nazwał to bankietem, i zaszlochałam. Siedział zamknięty przez tego przedziwnego Eliota i tylko mnie to obchodziło, tylko ja trzymałam tu wartę. Ale wartownik był obolały i tonął we łzach.

– Willmouse! Willmouse!

Nadal milczenie. Wyobrażałam go sobie zeszywniałego w szoku.

– N i e n a w i d z ę Eliota – powiedziałam i w tym momencie podskoczyłam.

Wszedł na schody cicho jak kot i śmiał się teraz ze mnie. Kiedy zobaczył, że płaczę, przestał się śmiać.

– Przykro mi – powiedział – ale musiałem to zrobić.

– Willmouse jest mały. Chciał zobaczyć bankiet.

– Wiem – odpowiedział i dodał: – Nie jestem taki zły, jak ci się wydaje. – Niósł tacę. Był na niej kurczak po myśliwsku z kolacyjnego menu, przykryty szklanym kloszykiem, frytki, trochę grzanek, które nazywaliśmy „grzankami dla gości”, masło, bezy i szklanka soku z granatu. Był to fragment bankietu, ale ja nie zamierzałam ustąpić.

– On tego nie będzie jadł – powiedziałam zimno.

– Zobaczmy – odrzekł Eliot. Otworzył drzwi, mnie jednak nie wpuścił. – Zostaw go ze mną – powiedział.

Weszłam do „dziury”, bo mój ból zmienił się w coś innego. W tej małej śmierdzącej norce odkryłam, co to takiego.

Ogarnęło mnie zdumienie. Zdumienie i strach. Zadrzałam... „Stoi na niepewnych nóżkach, gdzie do rzeczki wpływa strużka”, mawiał pan

Stillbotham. Po jednej z moich nóg spływała teraz strużka. Oszołomiona wyszłam z „dziury”, weszłam do pokoju Joss i znalazłam w jej szufladzie to, co mi było potrzebne. Nie było celu próbować do niej dotrzeć, siedziała przy kolacji... Tak samo mademoiselle Zizi, pomyślałam. Madame Corbet i Mauricette były zajęte. Musiałam radzić sobie sama z tymi pierwszymi dziwnymi kłopotami kobiety i poczułam się niewypowiedzianie samotna. Zaczęłam płakać ze zdenerwowania i litości nad samą sobą. Płakałam jeszcze znalazłszy się na podeście. Z naszego pokoju dobiegał głos Eliota; potem zdawało mi się, że usłyszałam cichy śmiech Willmouse'a. Eliot był jeszcze większym czarodziejem, niż mi się zdawało. Ilekroć Willmouse był ukarany, nie odzywał się do nikogo co najmniej przez dwa dni. Nasłuchiwałam dalej i znowu usłyszałam jego śmiech. Potem Eliot wyszedł z pokoju.

- Jeszcze tu stoisz?
- Tak – odrzekłam stłumionym głosem.
- Myślę, że on zje to wszystko. Napój bardzo mu smakował.
- Nie potrzebowałeś zamykać drzwi – krzyknęłam prawie.
- Powiedziałem, że zamknę, i musiałem zamknąć – odparł. – Przyjdę jeszcze później na górę. – Przyjrzał mi się. – Jak ty wyglądasz? Co się stało, Cecil?

Nie powinien był zadawać tego pytania. Łzy popłynęły strugą.

- Ciągle chodzi ci o Willmouse'a?

Potrząsnęłam głową.

- No to o co? – Objął mnie i pochylił się nade mną. – Powiedz!

Któż mógłby oprzeć się Eliotowi, kiedy był Eliotem? Eliotem, nie tym obcym, zimnym człowiekiem. „Nigdy nie opowiadajcie nikomu o tych przypadłościach – zastrzegła mama, kiedy nam o tym powiedziała. – Zwłaszcza mężczyźnie. Kobiety powinny zachowywać swoje sprawy dla siebie.” Myślę, że w Southstone powstrzymałabym się, jak wypadało, przed opowiedzeniem tego Eliotowi, ale „Les Oeillet” to było co innego i

wyrzuciłam z siebie nagle:

– Ja... ja stałam się kobietą.

Nie wiedziałam, jak to inaczej wyrazić – mama nie nauczyła nas żadnego z właściwych określeń – ale Eliot zachował powagę.

– W tej chwili? – spytał.

– W tej chwili. – Łzy znowu popłynęły mi z oczu.

– Nie ma powodu do płaczu – powiedział łagodnie.

– To... boli.

– Nie, tylko pomyśl, jakie to wspaniałe.

– Wspaniałe? – To było coś nieoczekiwanego.

– Oczywiście.

– Jak... to?

– Bo teraz jesteś gotowa do miłości.

Miłość! Prawdopodobnie nic, co mógłby mi powiedzieć wtedy Eliot, nie pomogłoby mi lepiej. Miłość! Jak mademoiselle Zizi, Julia, Kleopatra, Ewa, jak... Joss. Nareszcie równa z Joss.

– Ja, Cecil? – wyszeptałam oszołomiona.

– Ty.

– Ale... – Łzy znów napłynęły mi do oczu. – Nie jestem taka ładna jak Joss.

– Nie jesteś ładna jak Joss. Jesteś ładna jak Cecil.

Z moją kręwą jak u wszystkich Bullocków figurą, z moimi rumieńcami i mysimi włosami?

– Ja ładna?

– Bardzo – powiedział Eliot i pocałował mnie w usta.

„Ten fajdak” – mówił o nim wuj William. Ja wiem tylko, że tamtego wieczora wydał mi się aniołem.

Musiał wracać na kolację, ale sprowadził mnie na dół i posadził w recepcji, która była pusta; w panującym zgiełku udało mu się jakoś przyłapać

Toinette, zawsze macierzyńską, i skłonić ją, by zrobiła mi herbaty. Skąd wiedział, że istniały tylko dwie rzeczy na świecie, które byłam w stanie przełknąć – angielskie, dobrze znane – chleb z masłem i herbata? Nie wiedziałam, że we Francji można w ogóle dostać herbatę, choć takiej nie widzieliśmy nigdy – listki w małej torebce na sznureczku, zanurzonej w szklance z gorącą wodą. Herbata była słaba, ale gorąca. Osłodziłam ją dobrze i zjadłam cztery kawałki chleba z masłem. Ból znacznie zelżał. Toinette poklepała mnie i nazwała „*pauvre gosse*”<sup>1</sup>. Wkrótce poczułam się o wiele lepiej.

<sup>1</sup> Biedną dziewczynką.

Czekałam długo i spokojnie, póki ludzie nie zaczęli wstawać od kolacji, by tańczyć albo usiąść przy stolikach w barze. Wymknęłam się na schody, żeby się przyglądać. Nikt mnie nie zauważył, z czego byłam zadowolona. Potem przyszła Hester i usiadła obok; była podniecona po tańcu.

– Joss jest królową balu, prawda?

Wszyscy chcieli tańczyć z Joss. Mężczyźni uderzali jeden drugiego w ramię, odbierając sobie tancerki, a ona wciąż zmieniała partnerów, zarumieniona, o wiele bardziej podniecona niż Hester. Ale była to ciągle gra. Eliot tańczył z mademoiselle Zizi, z niektórymi żonami i córkami zaproszonych, z Vicky i z Mauricette, lecz zdawał się w ogóle nie widzieć Joss, a ona jego. Kiedy się mijali, odwracała wzrok; uśmiechała się do swego partnera, odrzucała włosy do tyłu i trzepotała powiekami.

– Czy to się nazywa flirt? – spytała Hester, ale ja zaczynałam rozumieć, że to tylko inny narastający ból. Wiedziałam, że Joss jest nieszczęśliwa, współczułam jej.

– *Qui a laissé ces trucs-là dans mon bureau?*<sup>2</sup> – Madame Corbet zobaczyła tacę z talerzykiem i szklanką. – Czy cały dom to pokój dziecinny? – gderала i musiałam odnieść to wszystko do kuchni.

\* Kto zostawił ten bałagan w moim biurze?

Wracając zmuszona byłam zaczekać w drzwiach służbowych. Tańczono taniec z dywanikiem, *danse du tapis*, w którym mężczyźni tworzą koło, a kobieta stoi pośrodku na dywaniku. Kiedy muzyka przestaje grać, klęka na nim przed mężczyzną, którego wybrała, a ten całuje ją i tańczą razem, pozostali zaś klaszczą. Potem włącza ją w koło i tak ciągnie się to, dopóki wszystkie kobiety nie znajdą się w środku. Tłum cofnął się pod ścianę, by przyglądać się tańczącym, i nie mogłam przejść. Stojąc tam usłyszałam, że ktoś głośno je, poczułam też zapach potu i czosnku: Paul. Ujrzałam znów w przelocie, co to znaczy być Paulem. Jego twarz i szyja lśniły od potu, włosy opadały mu na oczy, fartuch i koszula były mokre i poplamione. Pewnie zmywał przez kilka godzin i złapał wolną chwilę, by coś zjeść; zjadał dwie kromki bułki przełożone kielbasą, takie jakie przygotowywał na nasz *goûter*.

Nie powinnyśmy go były bojkotować, pomyślałam, i chciałam się do niego odezwać, gdy spostrzegłam, że mnie nie zauważył, obserwował Joss. Kiedy ludzie się w coś wpatrują, zapominają udawać. W twarzy Paula było coś, co mnie przeraziło; miała wyraz dziki, jak u zwierzęcia, które nie myśli o sobie ani o żadnym innym zwierzęciu, tylko o tym, czego pragnie. Po chwili zrozumiałam, dlaczego tak wyglądał; monsieur Armand zawołał go zniecierpliwiony i Paul odwrócił się. Zostawił jednak drzwi otwarte i widziałam, że wziął z półki butelkę; kiedy ją przechylił, stwierdziłam, że jest prawie pusta. Odstawiając butelkę, z trudem trafił na półkę, a w chwilę potem usłyszałam trzask tłukących się talerzy.

Wrócił znowu. Zauważyłam go trzy czy cztery razy w tych drzwiach, a potem spostrzegłam, że Joss uśmiecha się do niego. Dlatego oczywiście, że uśmiechała się do każdego.

– To j e s t f l i r t – powiedziała tonem nagany Hester, kiedy wróciłam na schody.

Zrobiło się późno. Niektórzy goście wybierali się do domu. Vicky

zasnęła na kanapie. Madame Corbet popatrzyła na nią parę razy, a potem wzięła ją na ręce i zaniósła do łóżka. Instrumenty dęte umilkły, ale miejsce ich zajęli skrzypki i pianista. Muzyka ta po orkiestrze wydawała się bardzo cicha; dźwięki skrzypiec płynęły przez pokój drżące i słodkie.

Joss stała właśnie tuż pod nami i przez chwilę była bez partnera. Sądzę, że chciała zostać przez moment sama, bo rozglądała się i byłam pewna, że szuka wzrokiem Eliota. Dojrzała go wreszcie i po raz pierwszy tego wieczora spojrzeli na siebie. Stała spokojnie. Wiedziałam, że oczy jej nie proszą, tylko po prostu patrzą. Musiała się upokorzyć, by, tak postąpić, ale Eliot odszedł do baru. Zacisnęłam pięści. Czy on jest zupełnie nieczuły? Na te drżące tony, które nam wydawały się tak piękne? Na Joss? Eliot, który pocałował mnie na schodach? Ale była to tylko chwila. Już za moment Joss uśmiechała się do młodzieńca, którego nazwałam pikuliną, do pisarza, potem jeszcze do kogoś innego, komu pomachała ręką. Obejrzałam się i zobaczyłam, że to Paul. Ten znak ręką to było już za wiele. Szarpnął fartuch, aż pękło wiązanie, zdarł go z szyi i odrzucił, przeczesał palcami włosy i dobiegł, do Joss przed „pikulina”, który przepychał się wśród tańczących.

– Mademoiselle Joss – skłonił się przed nią.

Gdyby był czysty, sprawa wyglądałaby inaczej. Tańczyła przecież Maurice i monsieur Armand, „ale nie Toinette ani Nicole”, powiedziała Hester. Monsieur Perrichaut krzyknął coś ostro i jakiś pan, o którym Maurice te mówiła, że to monsieur Dufour z komisariatu policji, podszedł i powiedział do Paula stojącego u stóp schodów tuż pod nami:

– *Et toi, mon gaillard, rentre chez toi et restes-y*<sup>1</sup>.

<sup>1</sup> A ty, mój zuchu, wracaj, skąd przyszedłeś.

Przypuszczam, że monsieur Dufour był jego prawnym opiekunem, ale Paul wypił tę całą butelkę i krzyknął teraz tak głośno, że słychać go było

we wszystkich pokojach mimo rozbrzmiewającej muzyki:

– *Galeux! Gros dégueulasse!*

Podbiegli inni mężczyźni. Starsi starali się go uspokoić, pisarz miejski ujął Paula za ramię. Ale chłopak go odtrącił.

– *Paul! Fais-pas l'imbécile!* <sup>1</sup> – krzyknęła Mauricette i pobięła po madame Corbet.

<sup>1</sup> Nie zachowuj się jak idiota!

– *Rentre* – powiedział krótko monsieur Dufour. – *C'est ce que tu as de mieux à faire* <sup>2</sup>.

<sup>2</sup> Wracaj do kuchni. To najlepsze, co możesz zrobić.

Ale Paul trzymał Joss za rękę. Nie wiedziała, co zrobić. Starła się delikatnie wysunąć rękę z jego dłoni.

– Zatańcz ze mną – powiedział Paul.

– Oni mi nie pozwalają – odrzekła.

– *Foutez-nous la paix!* – krzyknął na tamtych Paul. – *Elle n'est pas une sacrée snob.* <sup>3</sup>

<sup>3</sup> Dajcie nam spokój! Ona nie jest taką, cholerną snobką.

Bez fartucha wydawał się wysoki, ale brudny i niechlujny robił wrażenie dzikusa wśród tych wszystkich odświętnych strojów. Joss wzdygnęła się i cofnęła, choć starała się opanować.

– *Attendez, Paul* – powiedziała. – Zaczekaj! – ale on już ją objął. Wtem wyrósł pomiędzy nimi Eliot.

Stanął przed Paulem tak nagle, że nikt nie zauważył, jak podszedł. Wyrwał mu nieomal Joss i zaczął z nią tańczyć. W tej samej chwili monsieur Dufour schwycił Paula za ramię, pisarz miejski z drugiej strony i we dwóch odprowadzili go do drzwi, gdzie czekali madame Corbet i monsieur Armand.

– *Tordu!* – krzyczał Paul, gdy go wyprowadzali. – *Pelé! Galeux! Fumier!* – Wyzwiska cichły w korytarzu. Hester rozplakała się.

– Biedny Paul! Biedny Paul!

Czułam się zbyt nieszczęśliwa, żeby coś powiedzieć.

Joss i Eliot nie rozmawiali w czasie tańca. Ona miała oczy spuszczone, wyraz twarzy zamknięty. Twarz Eliota była zupełnie nieruchoma.

Muzyka ucichła, kiedy znajdowali się obok mademoiselle Zizi, która podeszła do schodów i przyglądała się. Eliot wolno cofnął ramię, ale przytrzymał rękę Joss, której broda zaczęła się trząść. Przez chwilę myślałam, że się pogodzą, że on zabierze ją do ogrodu tonącego w księżycowym blasku i czarodziejskich światłach, ale Eliot zrobił znów coś zupełnie niezrozumiałego.

– Starał się opiekować nami – opowiadała potem Hester – zawsze to robił.

Wyciągnął drugą rękę do mademoiselle Zizi, która ze, zdziwieniem podała mu dłoń, a on włożył w nią rękę Joss.

- Zaprowadź ją do łóżka, Zizi – powiedział.
- Nie! – zawołały obie równocześnie. U Joss był to krótki protest, głos mademoiselle Zizi był zduszony. – Nie!
- Tak – odrzekł Eliot łagodnie, lecz nieubłaganie. – Zabawa skończona. – Odwrócił się nagle i dorzucił: – Dobranoc.
- Eliot, dokąd idziesz?! – krzyknęła mademoiselle Zizi,
- Do ogrodu na papierosa – odpowiedział łagodnie i wyszedł.

## Rozdział czternasty

**C**ecil! Cecil!

Wydawało mi się, że spałam najwyżej minutę. Joss stała obok mojego łóżka. Wsunęła zimną rękę pod kołdrę i ścisnęła mnie kurczowo. – Cecil!

Powieki ciążyły mi ze snu. Nie mogłam ich otworzyć.

- Cecil!
- Co... co się stało?
- Ciii... Bo obudzisz Willmouse'â.



– Co się stało? – spytałam już ciszej i obudziłam się nagle pod dotykiem jej zimnej, dygocącej ręki.

– To Paul.

– Paul?

– Na drabinie. Zagląda do mojego okna.

– Paul?

– Tak. Wchodzi.

– Po co? – spytałam głupio, ale Joss wzdrygnęła się tylko i powiedziała:

– Och, Cecil!

Wtedy zrozumiałam, że to prawda, i strach mnie ogarnął, kiedy przypomniałam sobie wyraz jego twarzy na zabawie. Jakaś mądrość nie pozwoliła mi powiedzieć, tego Joss.

– Upił się – stwierdziłam tylko.

– Co my zrobimy? – spytała. Zęby jej szczękały. Można było zrobić tylko jedno. Usiadłam.

– Sprowadzę Eliota.

– Nie! – w tonie jej brzmiało oburzenie.

– Ale...

– Nie w a ż s i ę !

– No to co...?

Z ociąganiem powiedziała:

– Pójdę po madame Corbet.

– Nie możesz tego zrobić.

– Dlaczego?

– Bo ona wyrzuci Paula. – Szeptaliśmy jak konspiratorki. – Straciłby swoją letnią premię i nie mógłby kupić ciężarówki.

– Mało mnie obchodzi jego ciężarówka. Muszę, sprowadzić madame Corbet, bo inaczej on tu wejdzie. – Drżała, a ja powzięłam decyzję. Wiem teraz, że był to jeden z tych momentów, kiedy chce się być bardziej wielkodusznym, niż jest się do tego zdolnym. Odrzuciłam kołdrę.

- Wchodź tu – powiedziałam, – Ja pójde porozmawiać z Paulem.
- Ale...
- Ja się Paula nie boję. – Wypowiadając te słowa wiedziałam, że to nieprawda. Bałam się jego wyglądu i tych słów, które wykrzykiwał, gdy go wyprowadzano. Ale Joss było niezmiernie łatwo przekonać – teraz wydaje mi się, że okazała się niesłychanie samolubna. Zgodziła się od razu.
- Naprawdę chcesz to zrobić? Ale on nie do ciebie przyszedł – dodała – więc nic ci nie zrobi.

Wolniutko, ze strachem otworzyłam drzwi, ale Paula nie było w pokoju Joss. Ani śladu. Prześliznęłam się pod ścianą i weszłam do jej łóżka z mieszanym uczuciem ulgi i przygnębienia. Lecz po chwili z „dreszczem przeżycia spostrzegłam, że choć nikogo nie ma w pokoju, o parapet okna oparta jest drabina.

Poczułam się wtedy trochę tak, jak musiała się czuć grecka dziewczyna Poliksena przywiązana do wiązki chrustu, na stosie lub może bardziej prozaicznie – jak jedna z tych kóz, o których opowiadał nam ojciec, uwiązanych jako przynęta dla tygrysa. Paul był jak tygrys, a tygrysy nie mają litości. Co zrobi, kiedy przekona się, że nie jestem Joss? Czy to, co chciał zrobić z nią? Poza strachem pożerała mnie ciekawość. I ja zostałam dotknięta „przekleństwem Ewy”, co oznaczało, że mogłabym mieć dziecko, choć moje piersi były zaledwie wielkości cytryn.. Swędziły mnie; przypominałam sobie, jak Paul dotykał ich ręką, i uda także zaczęły mnie swędzić.

Usłyszałam trzy dalekie, ciche uderzenia zegara na ratuszu. Przypominałam to sobie później, tę trzecią godzinę. A potem usłyszałam skrzypienie drabiny, jakby ktoś po niej wchodził. Otuliłam się kołdrą i leżałam płasko, a serce biło mi tak, że ledwie mogłam oddychać, i o dziwo, czułam je w czubku głowy. Policzki mi pały, a oczy wpatrywały się z natężeniem, by ujrzeć to, co musiały zobaczyć. To nie Paul wchodził po drabinie, to

jakiś zwierzę, tygrys. Za oknem ukazał się ciemny zarys głowy i ramion, ciemny, prócz białej plamy twarzy – prawie że oczekiwałam, że będzie ona przegowana – jakaś ręka szarpnęła zasuwkę, która odpadła, okno otworzyło się powoli.

Krzyczałam nie wydając głosu. Nie ma nic równie bolesnego, jak taki bezgłośny krzyk.

– Eliot! Eliot! Eliot! – To był krzyk, szalona prośba, bł; ganię. Usłyszałam kroki, ktoś biegł po żwirze.

Drabina i stojąca na niej postać uniosły się w powietrzu do tyłu Paul wydał stłumiony krzyk, jakiś zwierzęcy głos, i zniknął mi z oczu, potem usłyszałam głuchy stuk. Drabina upadła na trawę porastającą dziedziniec przed domem.

Wysunęłam się z łóżka i podczołgałam do okna. Pamiętam, że byłam zlaną zimnym potem i nocne powietrze owiało mnie lodowatym tchnieniem Dygocąc, jak Joss, spojrzałam w dół.

Drabina leżała na trawie, musiała się obrócić spadając i upaść ciężko na ziemię, bo drżała jeszcze. Paul stał. Jakimś cudem zdołał widocznie zeskończyć albo upadł nie robiąc sobie krzywdy Stał, rozcierając łokieć i kolana, a naprzeciw niego Eliot.

A więc to Eliot zjawił się nagle, ale w jaki sposób? Jak mnie usłyszał? Jego pokój znajdował się po drugiej stronie domu; na pierwszym piętrze był tylko pokój Joss i pokoje gościnne, teraz puste Po chwili oprzytomniałam. Jak Eliot mógł mnie usłyszeć, skoro nie wydałam żadnego głosu? I co on robi w ogrodzie w środku nocy lub raczej nie w środku – o trzeciej nad ranem?

Paul nie miał na sobie fartucha i znów zauważyłam, że bez tego długiego białego, luźnego stroju wygląda jak mężczyzna Nagle wydało mi się całkiem możliwe, a nawet stosowne by prowadził ciężarówkę Nie było to już nic takiego jak pracownia Willmouse'a jakiś dziecinne marzenie.

I Eliot nie wyglądał tak jak co dzień. Ubrany był... zmartwiałam.

Czy to Eliot? Dlaczego byłam taka pewna, że to on? Ten mężczyzna ubrany był tak, jak opowiadał kiedyś Willmouse – „nie w ubranie Eliota”; miał na sobie płócienne spodnie, sweter w paski i czapkę. Widok tej czapki wzbudził znów we mnie ten sam strach co wtedy, kiedy spojrzała na nas spod niej twarz – twarz śniadego mężczyzny. Wytężyłam wzrok w świetle księżycy, by zobaczyć, kto to jest, i tak... to był Eliot. Przeraziło mnie to jednak jeszcze bardziej. Gdy podniósł głowę, dostrzegłam jego błyszczące oczy i pomyślałam: Co on tu robi? Zobaczyłam równocześnie coś, czego nie dostrzegłam przedtem – małą kasetkę na trawie. Musiał ją upuścić, kiedy podbiegi do drabiny. Czyżby Eliot odjeżdżał? Kasetka była za mała, żeby można ją uważać za bagaż, ale nagle zrozumiałam, że on istotnie ma zamiar wyjechać.

Myślę, że Paul wiedział o tym także. Wydawało mi się, że spytał: „*Vous partez, hein?*”<sup>1</sup> i dorzucił jakieś brzydkie słowa, ale byłam za daleko, by dosłyszeć wszystko, co powiedział szybko i po francusku.

<sup>1</sup> Wyjeżdża pan, co?

– Ciii... – zabrzmiało to w ustach Eliota jak trzask z biczem, jak ostrzeżenie, ale Paul był pijany, pijany i zły, i przyszło mi na myśl, że jego zwierzęcy pomruk oznaczał „nie dam” – jak nie dali mu zatańczyć z Joss. Teraz igrał z Eliotem.

– *Vous partez, hein?*

Podszedł bliżej. Na podstawie moich skromnych doświadczeń mogłabym mu powiedzieć, że lepiej nie podchodzić do niego, gdy jest tym zimnym nieznanym, ale Paul rzucił się nagle w bok do kasetki.

Nie widziałam dobrze, co stało się dalej, kto kogo uderzył. Ręce Paula pracowały jak wtedy, gdy mnie młócił, ale Eliot walczył jak... nie wolno, pomyślałam przerażona. „Nie wolno bić ani kopać w brzuch.”, uczył nas

wuj William, a ja zobaczyłam, jak kolano Eliota wali w Paula, który krzyknął, jakby go rozdzierano. Potem zgięty w pół zrobił parę kroków po trawie, wydał z siebie jakiś bulgot, upadł na kolana i zaczął wymiotować, waląc się rękami w piersi i potrząsając głową.

Eliot czekał. Widziałam, że czekał, i nie mogło być nic okrutniejszego nad to czekanie, a potem znów postąpił nie tak jak należy, a nawet gorzej, jak tchórz, i – przyszło mi na myśl słowo z zabaw szkolnych – podlec. - Nigdy nie bije się leżącego”, pouczał wuj William, lecz gdy głowa Paula pochyliła się niżej, Eliot uderzył go w kark. Stało się to tak szybko, iż zaledwie mogłam uwierzyć, jak. „błyskawica. A co naprawdę upodobniło ten cios do błyskawicy – to to, że w blasku księżyca ujrzałam w ręku Eliota jakiś długi, cienki przedmiot, który nagle błysnął. Przez krótki dziwny moment wydawało mi się, że to nóż do rozcinania papieru... ale nie brałby chyba takiego noża do ogrodu.

Paul osunął się wolno na trawę, twarzą do ziemi. Poruszył jeszcze parę razy nogami, które potem drgały już tylko lekko, jak drabina.

Eliot popatrzył w kierunku domu, wzdłuż okien. Trzęsłam się ukryta za firanką. Nie mogłam się zmusić, by spojrzeć na jego twarz ocienioną czapką; oczekiwałam, że zmieni się ona w twarz tamtego, trzeciego, Eliota. Bo był nasz Eliot i ten zimny, niemiły, i tamten. Kiedy spojrzałam znowu, podnosił Paula; stał przez chwilę, potem go położył i ukrył kasetkę w krzakach. Następnie wrócił, dźwignął Paula i wyniósł za dom.

Czego ja byłam świadkiem? Nie wiedziałam sama. Pamiętam tylko, że serce biło mi gdzieś w czubku głowy, i miałam wrażenie, że zlodowaciałam przy tym oknie. Nie byłam nawet w stanie drzeć. Patrzyłam w ogród, gdzie nie widać było już nic prócz księżyca, paru śladów na trawie i drabiny.

Nic mogłam uwierzyć, że było tu jeszcze coś innego, że to... Co to było? Co Eliot zrobił Paulowi? Zadając sobie to pytanie, słyszałam jakby głos Eliota, który mówił: „Przykro mi. Musiałem to zrobić”. A więc...? A więc...?

Nie wiem, jak długo stałam tam za firanką, z rękami wspartymi o parapet. Może parę minut, może pół godziny... Ale nagle spojrzawszy w dół zobaczyłam znów Eliota.

Był sam. Nie wiem, czemu mnie to przestraszyło, ale nie mogłam znieść tego, że on jest sam.

Podszedł do drabiny i popatrzył na nią uważnie. Pozostawiła ślady na trawie, dwie długie bruzdy. Pomyślałam, że zastanawia się, czy usunąć tę drabinę, kiedy nagle wśród nocy zabrzmiał od strony rzeki dźwięk przypominający cichy gwizd lub hukanie sowy. Eliot odwrócił się i podniósł z ziemi kasetkę.

Raz jeszcze obrzucił badawczym wzrokiem uśpiony dom, a ja znów zadrżałam za firanką. Potem odszedł.

Kiedy zdjęłam ręce z parapetu, pozostały po nich wilgotne ślady.

## Rozdział piętnasty

**B**ył to ranek pełen różnych nieobecności. Brzmi to jak sprzeczność, ale te nieobecności dawały się odczuć. Na śniadanie zjechały dwa *chairs-à-bancs* z gośćmi, Amerykanie w drodze z Niemiec do Paryża, i raz jeszcze zobaczyłyśmy, jak ciężko pracuje hotelowa służba. Mauricette powiedziała nam, że bal pracowników Fabryki Instrumentów Dętych zakończył się po pierwszej, ale ona z madame Corbet i Paulem musieli się zaraz potem zabrać do roboty: trzeba było zamieść jadalnię i hall i nakryć do śniadania na sześćdziesiąt osób. – Nie dostaną kawy i bułek – powiedziała nam Vicky –

tylko grejpfruty, jaja na szynce, ciepłe rogaliki, dżem, kawę, herbatę i mleko.

Monsieur Armand, madame Corbet i Mauricette musieli wstać o wpół do siódmej; wiedzieliśmy o tym, bo zbudził nas hałas; wołano Paula.

Minęło dużo czasu ubiegłej nocy, zanim wyszłam z tamtego pokoju i znalazłam się w łóżku z Willmouse'em i Joss. Byłam w stanie myśleć jedynie o tym, jak cudownie jest ona ciepła.

– No i co? – spytała zupełnie rozbudzona.

Dlaczego nie powiedziałam jej, co widziałam. Nie wiem nic, nic – potarzałam to sobie bez ustanku w myśli, a głośno odrzekłam krótko:

– Poszedł sobie.

– Jesteś pewna? – Całkiem.

Wyobrażałam sobie, że nie zasnę, że będę wciąż miała przed oczyma tamtą scenę, ale zasnęłam natychmiast.

– Pa-ul! Pa-ul! Paaaul! – wołała Mauricette.

Potem rozległy się kroki madame Corbet, która po chwili otworzyła nasze drzwi – „bez pukania”, jak zauważyła Joss. Zanadto się spieszyła, by spostrzec, że leżymy we troje w łóżku, i nie wyłajała nas za to.

– Czy które z was, dzieci, nie widziało Paula, Paula Brendela? – Mówiła o nim zawsze tak, jakbyśmy go nie znali.

Co to była za ulga zobaczyć madame Corbet. Nie mogłam uwierzyć, że Paul nie przyjdzie, gdy ona go szuka.

– Kiedyście go widzieli? – spytała jeszcze.

– Wczoraj wieczorem na zabawie – odrzekła Joss.

– Ech! – Madame Corbet zamknęła drzwi.

Obudzone hałasem weszły do pokoju Vicky i Hester. Rozbudziłyśmy się już wszystkie zupełnie, choć późno się położyłyśmy, tylko Willmouse spał mocno w najdalszym końcu łóżka. I nie chciał się obudzić.

- Madame Corbet, nasz braciszek Willmouse ciągle śpi.
- To go obudźcie.
- Nie... nie możemy;...

Wszyscy byli poirytowani tego ranka. Madame Corbet warknęła:

- Co, mu się stało?

Nie stało mu się nic, tylko spał bardzo mocno i był blady.. Ale on często bywał blady: Kiedy potrząsałyśmy nim, głowa mu opadała, kiedyśmy mu podnosiły powieki, widać było tylko białka.

– To mi się nie podoba – powiedziała Hester. Wyglądało, to rzeczywiście niepokojąco. Posadziłyśmy go, ale opadł znów bezwładnie na poduszkę. Był zimny i jakoś dziwnie oddychał.

- Czy on jest chory, czy tylko śpi? – spytałam.

– Jak się jest chorym, to się nie śpi – odpowiedziała Joss. – On po prostu za mocno śpi.

Powiedziałyśmy c tym madame Corbet.

– *Grands Dieux!*. – zawołała. – Czemu mi zawracacie głowy? Niech sobie śpi.

Kiedy wybiła dziesiąta, a Willmouse się nie poruszył, zaniepokoiłyśmy się nie na żarty. W domu roili się Amerykanie, fotografowali schody i miejsce pod urną, gdzie Rita i Reks znalazły czaszkę. Ponieważ było jeszcze bardzo wcześnie, a Paul się nie znalazł, dano spokój krwawej plamie. Straciłyśmy nadzieję, że ktoś, zainteresuje się Willmouse'em. Joss powzięła decyzję.

- Idę do szpitala –oznajmiła.

– Powiedzieć mamie? – spytałam z tęsknotą. Tego ranka niewymownie brakowało mi mamy.

– Nie bądź idiotką – burknęła Joss. – Idę zapytać *monsieur le directeur*, Czy to możliwe, żeby Willmouse był zdrowy.

- Możesz zatelefonować do niego,.

- Nie potrafię po francusku i nie wiem, jak się połączyć.



A Hester dodała:

– Chciałabym, żeby tu był Eliot.

Eliot był tym trzecim nieobecny. Pojechał do Paryża, jak powiedziała mademoiselle Zizi panu Dufour z policji, który przyszedł zadać jej parę pytań.

Idąc na górę przeszłam przez hall. *Chars-à-bancs* odjechały, w „Les Oeillets” panował znów spokój, ale w hallu siedział na krześle monsieur Dufour i pocierał brodę końcem laski; jego kapelusz leżał na jednej z konsoli. Obserwowałam spod oka mademoiselle Zizi, kiedy wyszła ze swego pokoju. Miała na sobie bladezielony szlafrok, włosy zakręcone na papiloty, twarz nie umalowaną; wydała mi się nagle bardzo piękną.

– Przepraszam, że kazałam panu czekać.

– *Une demi-heure*<sup>1</sup> – rzekł monsieur Dufour, ale ton jego nie był gniewny. Oczy miał piwne, bardzo łagodne. Wpatrywał się w mademoiselle Zizi.

<sup>1</sup> Pół godziny.

Mówili po francusku, lecz rozumiałam wszystko.

– Chciałem się zobaczyć z monsieur Eliotem – powiedział pan Dufour.

– Ale Irène mówi, że go nie ma.

– Wyjechał do Paryża, monsieur.

„O trzeciej rano.” Zastanawiałam się, jaki wywarłoby efekt, gdybym to głośno powiedziała.

– Ma tam jakieś interesy?

– Tak sądzę.

Przyszło mi na myśl, że tych dwoje łączy jakaś sympatia. Monsieur był jednak miłszy dla mademoiselle Zizi niż ona dla niego; ciągle z rezerwą nazywała go „monsieur”

– W jaki sposób pojechał do Paryża, skoro jego wóz jest tutaj?

Rzeczywiście, pomyślałam, rolls stoi przed domem. Nie było go tam wczoraj wieczorem, ale mademoiselle Zizi wyjaśniła:

– Wczoraj Fouret wziął go na przegląd. Monsieur Eliot pojechał dziś ze znajomymi. Na szybie samochodu jest kwit, jeśli pan chce sprawdzić.

Nie podobają jej się te pytania dotyczące Eliota, pomyślałam, a on niechętnie ją wypytuje. Krępuje go to.

– To zwykła kontrola wszystkich cudzoziemców w mieście, Zizi – wyjaśnił. – Nie mamy nic przeciwko monsieur Eliotowi.

– A cóż moglibyście mieć? – spytała jeszcze chłodniej niż przedtem, ale on spokojnie, pytał dalej:

– Czy on tu mieszka?

– To coś złego?

– Zizi! Ja m u s z ę pytać. Zrozum to, proszę.

– Wie pan przecież, że mieszka. Całe miasto o tym wie.

– Tak – powiedział monsieur Dufour smutnym tonem, ale pytał, dalej:

– Był wczoraj wieczorem na kolacji?

– Widział go pan przecież.

– Ale w ciągu dnia jeździł do Paryża?

– Nie.

– Nie?

– Był tu przez cały dzień. Siedział w barze i pisał listy. – Mówiła gwałtownie. – Potem zjadł wczesny lunch i spędził popołudnie w zatoczce.

– Oko jej spoczęło na mnie, a ja starałam się zrobić jak najmniejsza. – Jeśli mi pan nie wierzy, proszę zapytać tę małą.

Poczułam nagle, że mi mdło; myślałam, że zwymiotuję. Monsieur Dufour zwrócił na mnie swe łagodne, ciemne oczy.

– Widziałaś monsieur Eliota w zatoczce?

– Tak, monsieur.

Wzrok jego przez chwilę spoczywał na mnie. Czy domyślał się, że było inaczej? Poczułam nagle, że ktoś lekko dotknął mego łokcia. Była to Hester, jak zwykle. Monsieur Dufour zajął się z koleją.

– A ty widziałaś monsieur Eliota w zatoczce?

– Tak, monsieur – odparła z miejsca. Nie wiem, jak to się stało, że w milczącym porozumieniu postanowiliśmy zgodnie nie mówić prawdy. – Dał nam pieniądze, żebyśmy się mogły wykapać – dodała.

– Widzi pan! – wykrzyknęła mademoiselle Zizi, a potem wybuchnęła: – Dlaczego pan zadaje te wszystkie pytania? Zna pan przecież Eliota.

– Znam go – odrzekł monsieur Dufour i dodał znowu smutnym tonem: – Ale muszę złożyć raport.

Brał do ręki kapelusz, kiedy z recepcji wyszła madame Corbet.

– Powiedziałaś o Paulu? – spytała mademoiselle Zizi.

– O Paulu? Ach, prawda! – Zwróciła się znów do monsieur Dufoura. – Sądzę, że to pana musimy o tym zawiadomić. Chodzi o Paula Brendela, tego chłopca, którego mi pan przysłał.

– Narobił trochę kłopotu wczoraj w nocy. A co znowu?

– Tylko tyle, że gdzieś zniknął – odpowiedziała madame Corbet.

Ten, dziwny ranek biegł dalej. Pamiętam, że było mi, zimno, choć pannaował taki sam upał i świeciło silne słońce, tak że nawet madame Corbet, siedząca w recepcji, miała paciorki potu na wąsikach i mokre plamy na bluzce. W miarę jak upływał dzień, chłód we mnie umacniał się nieubłaganie, jakby nadzieja z wolna zanikała.

Do Willmouse'a przyszedł doktor. Madame Corbet przyprowadziła go na górę.

– Sześćdziesiąt osób na śniadaniu, wczoraj wieczorem ta kolacja, a teraz ubrdała im się choroba – narzekała. – Te dzieci myślą, że cały hotel do nich należy.

Stała w drzwiach, a tymczasem *monsieur le directeur* pochylił się nad WiUmouse'em i słuchał jego oddechu; sprawdził mu puls, a potem

podniósł jedną z powiek i zajął w oko, które ciągle wyglądało okropnie z tym wytrzeszczonym białkiem.

– Zmęczony, podniecony, więc śpi – rzekła madame Corbet.

– *Il a été drogué* – powiedział *monsieur le directeur*.

– *Drogué?* Co to znaczy *drogué?* – spytała Joss. Madame Corbet, zupełnie oszołomiona, odpowiedziała:

– Dostał jakiś narkotyk.

– Willmouse?

*Monsieur le directeur* pytał, czy w domu były jakieś proszki nasenne, które Willmouse mógł znaleźć.

– Kolorowe jak cukierki – podsunął po francusku. – Pani? – spytał madame Corbet. – Nie, nie zostawiałyby ich pani przecież na wierzchu. Może Zizi?

– Jej też trzymam u siebie – odrzekła madame Corbet. Dodała, że to niemożliwe.

Niemożliwe, ale tak się stało. Stojąc w nogach łóżka Joss, wiedziałam, że nie było to niemożliwe. Niechący wiedziałam jeszcze więcej. W czasie tej rozmowy widziałam znów tacę z kolacją i sok z granatu i słyszałam spokojny głos Eliota: „Napój bardzo mu smakował”. Ale dlaczego? – myślałam wśród zawrotu głowy – dlaczego? I przypomniałam sobie, jak to Eliot nagle i nie wiadomo czemu kazał Willmouse'owi iść do łóżka, chociaż Willmouse nie zrobił nic, co zasługiwałoby na karę. Ale... przypomniałam sobie coś jeszcze. Willmouse opowiadał o motocyklu. O mało nie powiedziałam tego głośno i uderzyłam się ręką w usta.

Musiałoby to zwrócić uwagę, bo wszyscy na mnie spojrzeli.

– No co? – jęknęła madame Corbet. – Doprawdy, te dzieci!

Udałam, że mnie ząb boli.

– Ona jest blada – zauważył *monsieur le directeur* ze znużeniem. – Otwórz usta. – Obejrzał mi zęby. – Trzeba ją posłać do Duponta. Te –

uderzył w dwa – wyglądają na to, że trzeba by je usunąć.

W miarę upływu dnia było mi z tym coraz ciężej. „To! – to była ta rzecz, o której starałam się nie pamiętać. Jak struś chowałam głowę w piasek, ale od czasu do czasu głowa wynurzała się z piasku, więc pospiesznie zakopywałam ją znowu.

Willmouse obudził się po południu, był oglupiały i senny, głos miał ochryply. Joss zatelefonowała do szpitala – połączyła ją madame Corbet – i Willmouse'owi dano gorącej herbaty. Natychmiast usnął znowu, ale nie był już taki zimny.

Joss siedziała przy nim, a ja z Hester wałęsałam się nad rzeką. Uzgodniłyśmy w milczeniu, że nie pójdziemy; do mamy; nie ufałabym samej sobie znalazłszy się przy niej. Unikałyśmy zatoczki; ciążyło nam milczenie. Nawet Hester nie mogłam powiedzieć o tajemnicy, którą nosiłam w sobie, a ona – jakby czuła tę barierę – nie odzywała się także, co było u niej niezwykłe, aż doszłyśmy do ścieżki wydeptanej przez rybaków. Wtedy powiedziała:

– Patrz, „Marie France” odpłynęła.

– Musiała, kiedyś odpłynąć – rzekłam. Nie wydawało się to ważne, ale dziwnie pusto było na rzece tam, gdzie stała przedtem ta niewielka, barka.

Poszłyśmy do domu na podwieczorek, który przygotowałyśmy sobie same. Mauricette stała pochylona nad monsieur Armandem i czytała mu przez ramię gazetę.

– To dlatego monsieur Dufour przyszedł wypytywać o monsieur Eliota – powiedziała po francusku, ale ja już prawie nie zauważałam, czy ludzie mówią po francusku, czy po angielsku. Krajałam, bulkę, lecz przerwałam nagle tę czynność z nożem w ręku.

– Dlaczego? – spytałam.

– „*Vol de diamants à Paris.* – czytał monsieur Armand. – *Coup de main audacieux dans le quartier de, l'Etoile. Le malfaiteur s'enfuit avec cent*

*millions de francs de diamants*".<sup>1</sup>

<sup>1</sup> Kradzież brylantów w Paryżu. Zuchwały napad w dzielnicy Etoile. Złoczyńca ucieka z brylantami wartości stu milionów franków.

– Brylanty? – spytałam.

– Co to znaczy? – dorzuciła Hester.

– Po prostu popełniono rabunek – powiedziałam.

– Przeczytaj jej – rzekł monsieur Armand podającymi gazetę. – Zrób to dla siostrzyczki.

Zaczęłam z trudem.

– „Uzbrojony bandyta kradnie biżuterię wartości stu milionów...” Milionów? – spytałam.

– Tak – potwierdził monsieur Armand.

– „...milionów franków i ucieka. Raz w miesiącu mademoiselle Yvonne Lebègue, sekretarka monsieur Roger Dixonne'a, kupca brylantów... – czytałam potykając się na nieznanym słowie – którego biura znajdują się na Rue La Fayette w dziewiątym ar...” Co to znaczy?

– *Neuvième arrondissement*<sup>2</sup> – wyjaśnił monsieur Armand, co mi niewiele powiedziało.

<sup>2</sup> Dziewiąta dzielnica.

– „...odbiera pierres précieuses, drogie kamienie... głównie brylanty, od wspólnika z Place du Trocadero..W piątek około trzeciej piętnaście mademoiselle Lebègue jechała na Rue La Fayette przez Rue Dumont d'Urville samochodem, który prowadził Jean Sagan, szofer monsieur Dixonne'a. Miała przy sobie... *un lot special*”... towar specjalny... *Qu'est-ce que c'est pierres taillées?*

Mauricette udała, że zawzięcie coś kraje..

– A! „rżnięte kamienie... wartości miliona franków” w małej...” *Qu'est-ce que c'est „une, mallette d'aluminium”?*

Mauricette wzięła do ręki rondel i uderzyła w niego.

– A! „kasetce aluminiowej”... – nie wiedziałam, że kasetki mogą być

aluminiowe.– „...którą umieściła u swoich stóp w samochodzie, dużym mercedesie. Kiedy znalazł się on prawie... *à la hauteur*... u wylotu ulicy w pobliżu poczty, mały, lekki niebieski samochodek, zaparkowany po prawej stronie, ruszył nagle z miejsca i stanął w po... w poprzek ulicy, zmuszając mercedesa do zatrzymania się. W tej samej chwili przy wozie zjawił się jakiś mężczyzna, który otworzył drzwiczki od strony mademoiselle Lebègue, schwycił kasetkę, zatrzasnął drzwi i zniknął. Stało się to tak szybko i zostało zrobione tak spokojnie, że szofer nie zobaczył go wcale i choć na chodniku było dużo ludzi, nikt się nie zorientował, co zaszło, póki monsieur Sagan nie wyskoczył z samochodu... *aux cris de «Arrêtez cet homme! Arrêtez-le!»* «... krzyżąc: «Zatrzymać tego mężczyznę! Zatrzymać go!» i póki nie usłyszano krzyków mademoiselle Lebègue. Przez ten czas samochodek odjechał. Monsieur Sagan biegł przez tłum, ale po złodzieju nie było już ani śladu. Złoczyńca musiał znać bardzo dobrze zwyczaje monsieur Dixonne'a, by zorganizować napad, który nie trwał nawet dwóch minut”.

– *Ah ça! Par exemple!* – wykrzyknął monsieur Armand, pełen szczerzego podziwu. – *C'est un peu fort!*<sup>1</sup> – I dodał z mądrą miną: – *La femme était dans le coup.*

<sup>1</sup> A to dobre! Ale to już za wiele!

– Jaka kobieta brała w tym udział?

– *La secrétaire* – odpowiedział monsieur Armand i pokiwał głową.

Mauricette dodała, że na pewno złapią złodzieja, bo policja zna numer małego samochodu. Monsieur Armand oświadczył, że szofer był oczywiście także w spółce, a wóz został skradziony; znajdą go niedługo.

– *On verra bien*, zobaczycie – powiedział, a ja czytałam dalej:

– „To już po raz trzeci zdarzył się...” – dukałam

– napad bandycki – dopowiedział monsieur Armand

– „...w tej dzielnicy. Policja paryska poszukuje mężczyzny lat około

trzydziestu pięciu, wysokiego, szczupłego, ubranego w cienkie spodnie i zieloną marynarkę. Szybkość i zu... zuchwałość napadu każą przypuszczać, że jest to robota wytrawnego złodzieja, może międzynarodowego bandyty Allena, który w ubiegłym roku dokonał w Cannes kradzieży klejnotów i którego policja mimo wielu wysiłków nie zdołała ująć” – czytałam dalej. – Co to znaczy „*une grande enquête*”? – spytałam.

– *Cherchant partout* – wyjaśniła Mauricette.

– Aha! Szukano wszędzie.

A Mauricette dodała:

– *Même monsieur Eliot*. – Roześmiała się przy tych słowach, ale ja się nie śmiałam. Szukano wszędzie. Nawet Eliota...

W gazecie było napisane, że legitymuje się wszystkich cudzoziemców w określonym promieniu od Paryża i Mauricette droczyła się z nami:

– *Vous deux, mademoiselle Cecil et mademoiselle „Hester, et ma p'tite Vicky, ma p'tite reine!* <sup>1</sup> – Schwyciła Vicky i zaczęła z nią tańczyć. Po chwili przestała i pokazała mi fotografię w gazecie.

<sup>1</sup> I was... i mojej małej Vicky, mojej królowy.

Znajdowaliśmy się w kuchni, gdzie wszystko było tak dobrze znane: monsieur Armand, Mauricette, garnki, patelnie; nawet muchy łązące po czole kucharza wydawały się przyjacielskie, nieomal kochane. Ale teraz to wszystko zlewało się w jedną płamę, a na jej tle widniała fotografia mężczyzny z podpisem, który przesyłabizowałam:

– „Widziałem go i poznam na pewno – mówi inspektor Jules Cailleux z Sûreté Generale prowadzący śledztwo. – Tym razem go złapiemy”.

Zaniosłam gazetę Joss.

– Inspektor Cailleux? To ten, który był w Dormans – powiedziała.



– Tak... wtedy... – urwałam. Nie lubiłam wspominać przy Joss tamtego dnia, ale Hester dodała:

– ...Kiedy Eliot tak się dziwnie zachowywał.

Zapadło milczenie. Po chwili powiedziałam ochryplym głosem:

– Może dlatego, że nie chciał, żeby zobaczył go inspektor Cailleux.

– Nie wyobrażaj sobie niestworzonych rzeczy – rzuciła ostro Joss, ale ten ton powiedział mi, że i ona je sobie wyobraża.

– Willmouse, obudź się! Obudź się! Willmouse!

Było to następnego ranka. Późno w nocy Willmouse poruszył się, uśmiechnął i rozbudził. Madame Corbet musiała być o niego niespokojna, bo przyszła zaraz i kazała dać mu gorącego bulionu i chleba z masłem. Willmouse uśmiechnął się do nas i zasnął znowu. W nocy słyszałam, że się kręci. Chciał iść do „dziury”, więc go zaprowadziłam. Teraz już na pewno rozbudzi się na tyle, by coś powiedzieć... lub nie powiedzieć, myślałam z rozpaczą.

Przez całą noc rozpamiętywałam te dziwne elementy łamigłówki. Dlaczego? Dlaczego to mam być ja? Mama powiedziała w pociągu, że ludzie nie bywają doświadczani ciężiej, niż mogą znieść, ale to dotyczyło bólu fizycznego. Ból mogłabym znieść, lecz to, ta straszna rzecz, o której wiedziałam – tego znieść nie byłam w stanie. Wyobrażnia, myślałam, odsuwając to wszystko od siebie. Za wszelką cenę muszę odmawiać odpowiedzi, zatrzymać to w sobie, milczeć, nic nie mówić, nie pozwolić mówić Hester ani nikomu.

– Willmouse, obudź się!

Otworzył oczy.

– Czy ja spałem? – spytał.

– Potrafisz zrozumieć, co powiem?

– A czemu nie? – zdziwił się.

- Chcę, żebyś mi coś obiecał. – Mój ton musiał być bardzo poważny, bo oczy jego, utkwione we mnie, były wielkie jak u sowy.
- Czy to coś ważnego?
- Bardzo. Willmouse... jeśli oni... jeśli ktokolwiek... będzie cię pytał, czy coś widziałeś, nie mów nic. Obiecuj!
- A czy ja coś widziałem? – spytał.

Na lunch przyjechać miały dwie wycieczki.

- Musisz posprzątać swój pokój – powiedziała mi madame Corbet.
- Czy w zastępstwie Paula mam zrobić krwawą plamę? – spytałam. Chciałam być złośliwa, by jej pokazać, że wiemy, jakie tu się dzieją oszustwa, ale ona tylko skinęła głową. Dla niej była to jedna ze zwykłych spraw hotelowych. Powiedziała:

- Możesz także zakopać czaszkę, ale przedtem zamknij Ritę i Rekxa w budzie, bo ją zaraz wykopią.

- Gdzie są psy?

Nie było ich na zwykłym miejscu na schodach przed domem ani w domu, ani w ogrodzie. Usłyszałam szczekanie i skomlenie w sadzie. Pamiętam, że gdy szłam zobaczyć, co wprawiło je w takie podniecenie, mijając żywopłot rozartałam w rękę bukszpanowy listek, by poczuć miły, ciepły zapach, i że wałęsałam się chwilę po sadzie sprawdzając, czy nie zostały jeszcze jakieś renklody. Zobaczyłam kilka na drzewach, przejrzałych w słońcu, ale ciągle mocno tkwiących na gałęziach. Zjadłam po parę z dwóch gatunków, co wzmogło chaos w moim żołądku. Potem, ze smyczami w rękę, ruszyłam przed siebie pierwszą długą aleją.

Przy końcu znajdował się pod murem dół pełen ziemi i zgniłych liści, skoszonej trawy i chwastów. Wrzucano tu wszystko na kompost dla ukochanych roślin Roberta, które wysadzał na klomby.

Rita rozkopywała ten kompost; jej pełne podniecenia skomlenie i szczekanie wprawiały w drżenie Reksa, który siedział wyprostowany na trawie, z nastawionymi uszami. Trzymał coś w pysku, a na mój widok zaczął z dumą walić ogonem; choć czaszkę znajdowała zawsze Rita, przynosił ją Reks. Wstał, podbiegł do mnie i złożył mi w rękę to, co trzymał w pysku. Był to płócienny pantofel, szarobiały, rozmokły, ze związanym sznurowadłem. Wzdrygnęłam się i upuściłam go na ziemię, a Reks patrzył mi w oczy i machał ogonem.

– Zaczekaj, przyjacielu – powiedziałam. Głos mój zabrzmiał jak kranie. Zrobiłam trzy kroki, by zobaczyć, dlaczego tak kopie Rita.

Wśród żółtobrunatnych liści dojrzałam jasną plamę. Zrobiłam jeszcze krok i cały sad zakołysał mi się przed oczami i rozmazał, jak przedtem kuchnia, kiedy zobaczyłam fotografię inspektora Cailleux. Teraz sad uciekał do nieba. Ta jasna plama to była stopa, stopa i kostka, resztę przykrywały liście. Widać było rąbek granatowych płóciennych spodni, ale kostka była goła; biała i delikatna jak karczek Vicky, jak młoda skóra. Przyłgnął do niej listek, żółty, jasny listek. Nie wiedząc, co robię, schyliłam się, by go zdjąć.

Trzymał się mocno; prawie nieświadomie zdrapałam go paznokciem. Palec mój dotknął zimnej skóry.

I ja od dwóch dni byłam zlodowaciała, ale ten chłód był inny, jakiś specjalny. Przebiegł mnie dreszcz, wargi zaczęły mi drżeć. Noga była zimna i sztywna w jakiś przerażający sposób. Zapach rozkładu unoszący się z liści i gnijących chwastów wypełnił mi usta i nos, wydał mi się zapachem śmierci. Nie było już teraz ratunku. Głowa moja wynurzyła się z piasku, musiałam przyjąć to do wiadomości. Ta stopa obuta była w pantofel... Paula i to był... Paul..

## Rozdział szesnasty

Niestrawność – orzekła madame Corbet. Spotkała mnie wymiotującą na ścieżce.

– Za dużo zjadłaś renklod – powiedziała, a jej kok trząś się nie z litości, lecz z oburzenia.

Nie zaprzeczyłam. Nie mogłam. Mogłam tylko oddychać ciężko i pojękiwać. Ona miała rację. Czułam się tak, jakbym próbowała wyrzucić z siebie Paula, Eliota, „Les Oeillets”, wszystko... Nagle żołądek podjechał mi do ust, tak jak przedtem sad uciekał do nieba.

– Za duża już z ciebie dziewczynka, żeby się tak objadać – łajała mnie madame Corbet.

Wcale nie jestem duża. Jestem mała, bardzo mała, chciałam krzyknąć, ale nie mogłam wymówić słowa. Musiała mi pomóc, choć niechętnie, aż wreszcie zdołałam się oprzeć o nią i odzyskać oddech.

– Czy... Rita i Reks są zamknięte?

– Zapędziłam je do budy – odrzekła zirytowana. – Nawet to ja muszę robić. Wszystkiego pilnować. Wszystkiego. Skończyłaś? – spytała ostro.

– Myślę... że tak.

– No to idź się położyć. Nie dostaniesz lunchu.

Umknęłam, pełna wdzięczności, i poszłam na górę. Znalazłszy się w naszym pokoju podeszłam do umywalki, która nie została jeszcze opróżniona i umyta. W przeciwnym bowiem razie nie wolno nam było jej używać, póki nie wyjechali goście. Myłam ręce bez końca; próbowałam chyba zmyć to uczucie chłodu i zapach zwiędłych liści. Pamiętam, że drżałam i że serce biło mi gdzieś w głowie. Wiesz, coś zobaczyła, mówiły te uderzenia. Nie ma cienia wątpliwości. Musisz teraz coś zrobić. Co zrobisz? Miałam ochotę wczougać się do nie pościelonego łóżka i naciągnąć kołdrę na głowę, ale

w drzwiach stanęła Toinette. Uciekłam przed nią do pokoju Hester i Vicky

Toinette już tu posprzątała, było schludnie i czysto Nabuchodonozor, bardzo już pomarszczony, siedział w swoim koszyku przy łóżku Vicky. W kieliszku Hester stały świeżo zerwane kwiaty: kurzyślep, stokrotki i dzikie geranium. Patrząc na ten kieliszek poczułam szalone pragnienie spojrzenia na Eliota – Eliota, który to zrobił. Otworzyłam szufladę, gdzie Hester chowała jego fotografię przed Toinette. Ramka leżała odwrócona. Podniosłam ją – była pusta.

Patrzyłam na ramkę, kiedy Joss weszła do pokoju.

– Madame Corbet mówi... – urwała. A potem powiedziała: – Ja to zabrałam.

– Fotografię?

Skinęła głową.

– Żeby oni nie mogli?... – Nie wiem dlaczego zapytałam ją o to. Skąd miała wiedzieć, jacy to „oni” Ale potrząsnęła głową, jakby wiedziała.

– Powiedziałam Hester, że chcę skopiować to zdjęcie, zrobić z niego portret. – Twarz jej była taka twarda w wyrazie i zacięta, że wydawała się kamienna.

– Ale nie skopiowałeś – powiedziałam i spytałam: – Co zrobiłeś z fotografią? – Nie odzywała się, więc dodałam. – Dałeś ją monsieur Dufourowi?

– Nie.

– No więc co?

– Posłałam ją inspektorowi Cailleux.

– Temu, co był w Dormans?

– Tak.

– J o s s !

– Eliot nie powinien tak sobie igrać. – Twarz jej nie była już kamienna. – Bo to jest granie. Przyciągać kogoś do siebie i odpychać, przyciągać i odpychać. To okrutne. I to nie tylko w stosunku do mnie. Tak samo postępował Z mademoiselle Zizi, a monsieur Armand mówi, że i z sekretarką

tego handlarza brylantów Bawił się nami... jak pionkami szachowymi – nią i mademoiselle Zizi, i mną.

- Tobą się nie bawił.
- Cicho bądź! – wybuchnęła. – Cicho bądź!

Ale ja byłem stanowcza.

– Nie bawił się żadnym z nas – powiedziałam. – Byliśmy jedynymi ludźmi, których traktował poważnie.

Joss podeszła do okna i stała odwrócona do mnie plecami.

- Kiedy to zrobiłaś? – spytałam.

– Wczoraj. Jak tylko się dowiedziałam z tej gazety, którą przyniosłaś. Napisałam, zesłałam na dół i poprosiłam o znaczek. Madame Corbet mi dała. Wysłałam i wrzuciłam list do skrzynki na rogu.

- Nie wiesz, czy to... on.

– Jeśli nie, to nie przyjadą tutaj – odrzekła Joss, ale obie czekałyśmy na przyjazd policji. – Wiedziałam, jak tylko zobaczyłam tę gazetę – dorzuciła.

- Z tej wzmianki o inspektorze Cailleux? – spytałam zdumiona.

– Nie, o nim. O Eliocie. – I rozplakała się. – To dlatego był taki nieszczęśliwy.

- Dostali ten list dziś rano – wyrzekłam wolno.

- A Paryż nie jest daleko – odpowiedziała Joss.

Zapadło milczenie. Nasłuchiwałyśmy obie.

– Co oni z nim zrobią, Cecil? – spytała w końcu Joss. – Czy wsadzą go do więzienia?

– Najpierw muszą go złapać. – Te słowa wyrwały mi się, jak nadzieja. Wiedziałam jednak, że nie powinnam jej mieć. – Joss...

Usiadła na łóżku. Nasłuchiwała nadal odgłosów z zewnątrz i prawie nieświadomie podniosła na mnie wzrok.

– Nie wsadzą go do więzienia – powiedziałam. Oczy jej ożywiły się. Spytała bez namysłu:

- Dlaczego?

– Bo jeśli go złapią, to go chyba powieszają. – Trzymając się łóżka opowiedziałam jej o moim odkryciu. Kiedy zaczęłam mówić, wyciągnęła rękę i schwyciła mnie za przegub, jakby chciała, bym zamilkła; ścisnęła mocno, aż ręka mi zbieła i opadła. Gdy skończyłam, a ona puściła moją dłoń, do której znów, napłynęła krew, poczułam dopiero ból. Znowu zaległo milczenie.

– We Francji nie wieszają się ludzi – powiedziała po chwili Joss. – Ścina im się głowę na gilotynie.

– To goście na lunch – powiedziałam szybko, kiedy usłyszeliśmy samochód zwalniający przed bramą.

– Za wcześniej – odrzekła Joss.

Byłyśmy w jej pokoju i wystarczyło podejść do okna, by zobaczyć, co to za samochód, ale siedziałyśmy dalej skulone na łóżku. Samochód podjechał i stanął. Joss położyła zimną rękę na mojej, równie zimnej.

– Cecil... ty zobacz.

– Nie mogę.

– Możesz. Nie ty ich tu sprowadziłaś.

Nie zbliżyłam się do okna, tylko zesłam na dół w chwili, gdy do domu wchodził monsieur Dufour.

– Co? Znowu – spytała madame Corbet przechodząca przez hall.

– Znowu – odparł. Głos jego nie brzmiał uprzejmie, był szorstki i gniewny. Za nim szło dwóch mężczyzn: jeden wysoki, w tweedowej marynarce, z teczką w rękę; drugi – niski. Uchwyciłam się poręczy schodów: to był ten mężczyzna z Dormans, o rudawych włosach, z wąsikami, nawet w tym samym piaskowo-oliwkowym ubraniu. Pisano o nim w gazecie, teraz był tu. Przyjechał inspektor Cailleux. Z ust moich wydarł się dziwny dźwięk i zdawało mi się, że spłynął do hallu.

Podczas gdy monsieur Dufour mówił coś szybko i gniewnie do madame Corbet, wzrok jej spoczął na mnie.

– Idź do ogrodu i poproś mademoiselle Zizi – rzuciła po francusku.

Mademoiselle Zizi leżała zapewne na leżaku na tarasie, ale myślę, że i ona usłyszała samochód, bo kiedy do niej podeszłam, stała już – bez ruchu, jak przedtem Joss. Czy posiadała jakiś szósty zmysł ostrzegawczy? Chwycała mnie za rękę.

– Kto to?

– Policja.

– Policja! – Twarz jej postarzała nagle, ale oczy były jak u dziecka, pełne lęku, patrzyły gdzieś daleko ponad moją głowę.

– Gdzie jest Irène?

– Tam z nimi. Proszą, żeby pani przyszała... – Urwałam. – Mademoiselle Zizi...

Nie odpowiedziała, tylko palce jej wpiły się w moje ramię.

– Mademoiselle Zizi – powtórzyłam głośniej.

Wzrok jej spoczął znów na mnie, ale oczy były nieprzytomne. Wolną ręką uderzyłam ją mocno po palcach; chyba tego nie poczuła.

– Zizi! – Madame Corbet pojawiła się na tarasie. – Zizi! *Vas-y!* <sup>1</sup>

<sup>1</sup> Chodź!

Wtedy dopiero puściła mnie. Spojrzała na madame Corbet i odsunęła się od niej.

– To ty – powiedziała nieprzyjemnym tonem – ty ich tu sprowadziłaś.

– Ja? Po co miałabym to robić? – Madame Corbet wyciągnęła ręce, ale mademoiselle Zizi znowu się odsunęła.

– To ty!

– Zizi! *Qu'est-ce que tu nous racontes?* <sup>2</sup>

<sup>2</sup> Co ty opowiadasz?



– To ty!

– Cicho!. – powiedziałam, jakbym była dorosła. – Słuchajcie! Słuchajcie! – tupnęłam nogą. Wytrzeszczyły na mnie oczy. – Zanim wejście do domu, musicie coś zobaczyć. To... on... – myślałam, że zwymiotuję znowu, więc szybko wyrzuciłam z siebie: – To... jest w sadzie.

– Jakie „to”? – spytały, ale nie byłam w stanie powiedzieć.

– Idźcie prędko zobaczyć... tam w kompoście,..

– *Et maintenant qu'est-ce que t u nous racontes?*<sup>1</sup>

<sup>1</sup> A teraz co ty z kolei opowiadasz?

– Szybko!

– Powiedz, co to jest?

Ale ja, jak dziecko, poszukałam ucieczki w płaczu.

– Coś... co... znalazłam. Idźcie zobaczyć! Ja wejdę do domu i powiem, że zaraz przyjdziecie. Ale idźcie tam! idźcie!

Policjanci byli w barze, gdzie Mauricette przyniosła im coś do picia na tacy. Monsieur Dufour spacerował po pokoju; wyglądał przygnębiony i zły. Dwaj pozostali siedzieli spokojnie przy stole. Inspektor Cailleux rozglądał się dokoła; spojrzenie jego, jak sobie wyobrażałam typowe spojrzenie detektywa, ogarniało każdy szczegół. Zobaczyłam Joss stojącą na schodach, z ręką na poręczy.

– *Et mademoiselle de Presle? Elle vient?*<sup>2</sup> – warknął na mój widok monsieur Dufour.

<sup>2</sup> Czy panna de Presle przyjdzie?

Ponieważ Joss patrzyła na mnie, mimo zaczerwienionych oczu powiedziałam z godnością:

– *Dans un petit moment*<sup>3</sup> – i zamknęłam za sobą drzwi prowadzące do ogrodu. Ale monsieur Dufour rzucił się i otworzył je gwałtownie, bo w tejże chwili w sadzie rozległ się przeraźliwy krzyk mademoiselle Zizi.

<sup>3</sup> Za chwileczkę.

## Rozdział siedemnasty

**K**iedy w domu coś się dzieje, dzieci traktuje się jak trzodę. Przegoniono nas, zapędzono na górę, do naszych pokoi. Ale i stamtąd słyszeliśmy hysteryczny atak mademoiselle Zizi i perswazje monsieur Dufoura, który próbował ją uspokoić. Madame Corbet zmuszona była pozostawić mu to zadanie, bo jak zwykle wszystko pozostawało na jej głowie: musiała pilnować Mauricette, Toinette i Nicole, które również bliskie były hysterii, zapewnić sobie pomoc monsieur Armanda, zatelefonować po doktora, zaprowadzić inspektora Cailleux do saloniku i wpuścić jego pomocnika do recepcji, by mógł skorzystać z telefonu. Zastanawiałam się zawsze, potem, co się stało z gośćmi» którzy przyjechali na lunch. Kiedy mademoiselle Zizi przestała krzyzczeć, w domu zaległa straszliwa cisza, ale tylko w domu, nie w ogrodzie, który był pełen policji. Rita i Reks szczekały jak oszalałe w swojej budzie. Ilekroć ujadanie wzmagало się, oznaczało to, że zjechała nowa grupa policjantów. Monsieur Armand, zobaczywszy, że wyglądamy przez okna, wszedł na górę i zasłonił je.

– Lepiej nie patrzeć – powiedział łagodnie, ale nie mogliśmy się powstrzymać, by nie spoglądać przez szpary – wszyscy z wyjątkiem Joss, która siedziała na łóżku jak skamieniała.

Zajechał granatowy kryty samochód.

– Co to takiego? – zapytał z przestraszeniem WillmOUSe.

– Chyba prowiant dla kuchni – odrzekłam starając się go uspokoić – jakieś zapasy.

– To samochód pogrzebowy – powiedziała Vicky, choć nikt nie przypuszczał, że rozumie cokolwiek. – Przyjechał po Paula.

Wypowiedziana tak bez ogródek prawda wstrząsnęła nami. Staliśmy bez ruchu, słuchając kroków na dole.

– Już jest na noszach – informowała Vicky wyglądając ukradkiem. – Cały przykryty.

Dostałam nagle czkawki, która wstrząsała mną od stóp do głów. Hester zaczęła płakać.

– Paul składał sobie na tę ciężarówkę – powiedziała. – Dlaczego? Dlaczego Bóg to zrobił?

– To nie Bóg, tylko Eliot – rzekła Vicky. – Tak powiedział monsieur Armand.

– To wszystko moja wina – odezwała się Joss. Siedząc na łóżku wykręcała sobie palce. – Powinnam była dalej malować, jak radziła mi Cecil. A ja poszłam na to przyjęcie.

– My też na nie poszliśmy – powiedziała lojalnie Hester.

– Gdybym się do niego nie uśmiechała...

Gdybyśmy z nim nigdy nie rozmawiały, mogłam powiedzieć.

– ...nie wchodziłby po tej drabinie – mówiła Joss nie słuchając.

– Wchodził po drabinie? – spytała Hester i malcy. – Po co? – wytrzeszczyli oczy.

– Żeby... popatrzeć na Joss.

– Mężczyźni lubią patrzeć na kobiety – stwierdził Willmouse.

Opowiedziałam im, jak pojawił się Eliot.

– Nie musiał przychodzić. Przyszedł, bo myślał, że jesteśmy w kłopotach. Mógł odejść. Ale on potrząsnął drabiną i Paul spadł.

– Nikt tu nie winien, to wypadek – powiedziała Hester i dodała ponuro: – A teraz Eliot znikł.

– Widziałam, jak odchodził. – Wszyscy odwrócili się ku mnie, słuchając uważnie, gdy opowiadałam.

– Tak właśnie był ubrany – powiedział Willmouse kiwając głową, kiedy opisałam strój Eliota. – Ale... nie mogę w to uwierzyć – dodał. Wyglądał jak ogłuszony.

– A ja mogę – odezwała się Hester i czując, że nas to zdumiało,

wykrzyknęła: – Eliot mówił zawsze: „Przykro mi, musiałem to zrobić”. Jeżeli jest się zupełnie, tak naprawdę uczciwym, to nie żałuje się tego, co się robi.

Po chwili ukazała się madame Corbet.

– Chce was widzieć.

– Kto?

– Inspektor Cailleux.

– W tych strojach?

– To nieważne – odparła takim tonem, jakby mówiła: „Nic już teraz nie jest ważne”.

Sprowadziła nas na dół, wszystkich z wyjątkiem Joss, która nie pozwałała sobą komenderować.

– Zejdę, jak będę gotowa – powiedziała.

Inspektor Cailleux siedział w saloniku. Nigdy nie wolno nam było tam wchodzić, a teraz mieliśmy przekroczyć ten próg ubrani jak strachy na wróble i zasiąść na obitych jedwabnym żółtym ałtąsem krzesłach; ale jeszcze przedtem musieliśmy zaczekać.

Drzwi były otwarte; mogliśmy dojrzeć monsieur Dufoura i mężczyznę w tweedowej marynarce. Zerkając do środka zauważyliśmy, że inspektor Cailleux, w swoim dziwacznym ubraniu, siedzi pośrodku przy tym ładnym stole malowanym w kupidyny i wstęgi; wydawało się straszne, że taki stół używany jest do podobnych celów. Drugi mężczyzna siedział za stołem przyniesionym z baru i ustawionym pod oknem. Pisał, a pozostali trzej rozmawiali. Wyteżając wszystkie zmysły, chwytalam, co mówią.

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedział monsieur Dufour spacerując po pokoju. – Wszyscy znali monsieur Eliota. Siedział tu przecież z nami przy tym dużym stole na przyjęciu wczoraj wieczorem. Musi mieć nerwy z żelaza.

– I ma – odrzekł inspektor Cailleux cichym, ostrym głosem.

– Co on mówi? – szepnął Willmouse.

Musieli usłyszeć jego szept, bo inspektor Cailleux spytał;

– Czy te dzieci rozumieją po francusku?

– Bardzo mało – odpowiedział monsieur Dufour – Z wyjątkiem może najstarszej. – Podeszedł do drzwi i spojrzął na nas. – Nie ma jej tu jeszcze. – I spytał: – Czy zamknąć drzwi?

– Nie, niech pan zostawi otwarte. Gorąco tu – odparł inspektor Cailleux.

Rozmowa toczyła się dalej.

– Ale w jaki sposób? – mówił monsieur Dufour. – Jak? Monsieur Eliot był tu przez całe popołudnie. Słyszał pan przecież.

– Słyszałem. To nie znaczy, że naprawdę był.

– Ale był. Mamy na to dowody. Był tu przez całe popołudnie. Więc w jaki sposób mógł znaleźć się w Paryżu na Rue Dumont d'Urville o godzinie trzeciej? Jeśli io była jego robota, musiał mieć wspólnika.

– Nie miał żadnego wspólnika. – W głosie inspektora Cailleux brzmiało znużenie. – On działa sam lub prawie sam. Może czasem wynajmuje kogoś, kto poprowadzi samochód lub zatelefonuje, ale potem się go pozbywa. Łapiemy ich i nie wiedzą nic. Często nie wiedzą nawet, kim on jest. Jest zbyt sprytny na to, żeby mieć wspólnika. Prędzej czy później któryś z nich zdradziłby go. Nie, nigdy nie ma wspólników, tylko narzędzia, zwykłych ludzi. Zwłaszcza kobiety.

– Zwłaszcza kobiety. – Wiedziałam, że monsieur Dufour myśli o mademoiselle Zizi. Ja myślałam o zwykłych ludziach, o nas. – Ale jak? Jak? – powtórzył. – Nie rozumiem.

– Gdybyśmy mogli zrozumieć, to nie byłby to Allen.

– O czym oni mówią? – spytał Willmouse, Nie słyszałam nic więcej, aż dopiero znów wypowiedziane wolno słowa inspektora Cailleux:

– Znam robotę tego człowieka, jakbym sam ją wykonywał.

– Powiedz nam – nalegał Willmouse, przetłumaczyłam więc zdanie

po zdaniu, jak umiałam najlepiej, ale trudno było słuchać i mówić równocześnie.

– Ale... tuż pod naszym nosem... – bąknął monsieur Dufour.

– Tak, pod waszym nosem – odpowiedział inspektor, Odrzucił pióro, – Na co to wszystko? Miał trzydzieści sześć godzin czasu. Jest teraz o setki mil stąd.

– Myślę, że nie – powiedział Willmouse, kiedy to przetłumaczyłam.

– Jak to?

– Ja wiem, gdzie jest Eliot.

– Gdzie?

– Na „Marie France”.

„Marie France” odpłynęła. Przypomniałam sobie ten dziwny, stłumiony gwizd w nocy. Popatrzyłam na mego braciszka.

– Ale skąd wiesz?

– Był ubrany do tej podróży – odrzekł z prostotą Willmouse. I dodał: – Barki płyną bardzo wolno, ale myślę, że nie przyjdzie im na myśl tam go szukać.

– Cecil! – szepnęła nagle Hester.

Podniosłam wzrok. Do baru weszła mademoiselle Zizi. Widziałam ją już raz bez makijażu, ale teraz twarz jej wydawała się przez jego warstwę przebijać. Miała dziwny ziemisty kolor, była cała jakby w supty; włosy mademoiselle Zizi opadały na ramiona. Popatrzyła na nas, potem na salonik, wskazała nart pytająco, a później znów spojrzała na nas.

Potrząsnęliśmy głowami.

Oczy jej spoczęły kolejno na nas wszystkich, jakby prosiły. Położyła palec na ustach. A my wolno, uroczyście skinęliśmy głowami.

W hallu rozległ się głos madame Corbet; mówiła coś głośno i prędko. Mademoiselle Zizi odwróciła się niemal ze strachem. W progu spotkała się

z Joss. Na jej widok zatrzymała się. Przez chwilę wpatrywały się w siebie. Potem mademoiselle Zizi powiedziała:

- Już wiem. A więc to tak! Ty wysłałaś tę fotografię.
- Oczywiście. – Joss przeszła przed nią i rzekła: – Daj mi krzesło, Hester.

Głosy w saloniku rozbrzmiewały teraz głośniejsz. Nasłuchiwaaliśmy.

- Mówią o nas – powiedziałam.
- Widzieliśmy już wszystkich. – mówił monsieur Dufour.
- Z wyjątkiem dzieci. – To był głos inspektora Cailleux.
- One nie mogą mieć wielkiego znaczenia. Chyba tylko najstarsza

dziewczynka.

– Mogą mieć bardzo duże znaczenie. Proszę je tu zawołać. Najpierw zajmę się małymi i niech, pan, pamięta – nakazał – żeby nie odzywać się do tej dużej. Niech pan nie zwraca na nią uwagi.

- To ją zdenerwuje.
- Chcę żeby się zdenerwowała – powiedział inspektor Cailleux.

Monsieur Dufour podszedł; do drzwi saloniku i skinął na nas. W tym momencie spostrzegł mademoiselle Zizi.

- Zizi – odezwał się do niej – powinnaś odpocząć.
- Odpocząć!?
- No, rób, co chcesz, ale nie stój tutaj. Irène, zabierz ją, proszę.

Madame Corbet objęła mademoiselle Zizi i wyprowadziła, a my weszliśmy do salonu.

- *Asseyez-vous, mes enfants.*<sup>1</sup>

<sup>1</sup> Siadajcie, dzieci.

Usiedliśmy na brzeżku żółtych krzeseł, wiedząc, jak brudne są nasze ubrania. Joss, z uniesioną brodą i czerwonymi plamami na policzkach, siadła ostatnia na krześle przy drzwiach.

– Czy te małe dzieci muszą być w to wmieszane? – zapytał monsieur Dufour.

Inspektor Cailleux nie podniósł głowy.

– Już są wmieszane – odpowiedział.

Pisał przez parę minut, potem wyprostował się nagle i kolejno obrzucił nas wzrokiem. Poczułam, że robi mi się gorąco, a potem zimno. Pomyślałam, że wszyscy musimy być bladzi. Hester wyglądała jak... orzech obrany z łupiny. Joss przywdziała swoją maskę z dwiema jaskrawymi plamami.

– Które z was zrobiło tę fotografię?

Zostało to powiedziane tak obojętnie i po angielsku, że drgnęliśmy wszyscy. Nie wiem, czegośmy się spodziewali – że będziemy terroryzowani, wypytywani o wiek i imiona, że będą nam wykręcać palce... A on po prostu trzymał w ręku fotografię.

– Ja – odpowiedziała Hester skromnie, lecz z zadowoleniem.

– A ty jesteś... – spojrzał na zapisany papier. – Hester? – Skinęła głową. – Masz dziesięć lat? – Loki Hester zakołysały się znowu. – Dziesięć lat – powiedział inspektor Cailleux do monsieur Dufoura – i udało jej się zrobić to, czego nikt inny nie potrafił dokonać – zdobyć zdjęcie Allena. Muszę ci pogratulować, moja mała – dodał po angielsku. – To niezwykle cenne.

– Cenne? – Z twarzy Hester znikło zadowolenie. – Czy to znaczy, że moja fotografia panu pomogła?

– Czy mi pomogła? Przeprowadziła mnie wprost tutaj. – I znów zwrócił się do monsieur Dufoura. – Jestem jednym z nielicznych, bardzo nielicznych, którzy widzieli Allena. Złapałem go nawet kiedyś... na godzinę.

– I uciekł? – zapytał monsieur Dufour.

– Uciekł. – Ton inspektora Cailleux wykluczył dalsze pytania, a ja przypomniałam sobie, co wyczytałam w gazecie: „...którego policji nie udało się schwycić”.



– Muszę cię prosić o to zdjęcie – mówił znów inspektor do Hester – ale zamiast tego damy ci coś bardzo ładnego. Lalkę. Chciałabyś dostać lalkę?

– Nie – odrzekła Hester z przerażeniem w oczach.

– Eliot dał mi lalkę – odezwała się Vicky. – Nie potrzebujemy pana lalk.

– Słuchajcie – powiedział inspektor – będę rozmawiał z wami jak z dorosłymi ludźmi. Znacie tego człowieka, Allena?

Potrząsnęliśmy przecząco głowami.

– Znacie monsieur Eliota?

Potwierdziliśmy skinieniem.

– To nasz przyjaciel – powiedział Willmouse.

– Wasz przyjaciel jest złodziejem – tłumaczył inspektor Cailleux. Hester i malcy słuchali go z powagą, a on mówił coraz goręcej: – Złodziejem, który kradł w wielu krajach, oszukiwał ludzi, zabierał im pieniądze i często był dla nich okrutny. Muszę wam powiedzieć, że czasami ich nawet zabijał.

– Tak jak zabił Paula? – spytała z zainteresowaniem Vicky.

– Vicky, nie powinnaś mówić takich rzeczy – wtrąciła ze swego miejsca przy drzwiach Joss.

– Proszę, mademoiselle... – powiedział inspektor Cailleux.

– Ale... – zaczęła Joss gorąco.

– Zmuszony jestem prosić panią o nieodzywanie się. Zajmę się panią... później. – Wyrzekł to tak groźnie, że przycisnęłam się z całej siły do krzesła, wstrzymując oddech.

Inspektor powrócił do malców.

– On zabił Paula. Czy będziecie go dalej lubili?

Hester, Willmouse i Vicky odpowiedzieli bez wahania:

– Tak.

Inspektor Cailleux był zakłopotany, a może i trochę zły. Kiedy przemówił znowu, głos jego brzmiał ostro.

– Czy lubicie go, czy nie, macie obowiązek... Wiecie, co to jest obowiązek?

Skinęliśmy głowami. Eliot był naszym przyjacielem, ale gdy przyjaciel zabija przyjaciela? I to nożem do rozcinalania papieru? Nie miałam wątpliwości, że to był nóż do papieru lub to, co uważaliśmy za nóż do papieru. Jakaś szczelina rozwarła się między nami a Eliotem, a każde słowo inspektora Cailleux powiększało ją.

– Jeśli wiecie cośkolwiek, jeśli widzieliście coś niezwykłego czy niecodziennego, co dotyczy tego Allena-Eliota – mówić – macie obowiązek powiedzieć mi.

Zapadło grobowe milczenie.

– To wasz obowiązek – powtórzył inspektor Cailleux, a wzrok jego spoczął znów kolejno na nas wszystkich. Nie śmiałam opuścić rąk na krzesło, by nie zostawiły śladów, jak na parapecie okiennym.

Hester była z nas wszystkich najuczciwsza i najbardziej się podniecała. Domyślałam się, iż czuła, że musi, coś powiedzieć. W ciszy podniosła rękę.

– No co?

– On... – powiedziała Hester takim głosem, jakby zaschło jej w gardle.

– On...

– No co? – powtórzył zachęcająco inspektor. – On...

– Leżał w zatoczce... – dokończyła Hester.

– No i co? – powtórzył raz jeszcze inspektor Cailleux, ale ja uszczypnęłam ją i zamilkła.

Znowu zapadło milczenie, ale oczywiście nie mogło trwać długo. To była policja. Pomyślałam, że inspektor widział pewnie, jak uszczypnęłam Hester; detektywi widzą wszystko, bo inaczej nie byłiby detektywami. Patrzył na mnie ukradkiem i uświadomiłam sobie na nowo, że ja jedna wiem wszystko. Nie mogłam powstrzymać lekkiego westchnienia i tym razem

przez moment wzrok jego spoczął wyraźnie na mnie. Odwrócił zaraz oczy, ale wiedziałam, że mnie sobie zanotował. I słusznie, bo nawet Joss, taka domyślna, nie znała wszystkich szczegółów, które tak się ze sobą wiązały. Każde z nich wiedziało coś, ale ja wiedziałam wszystko. Co miałam zrobić? Tu przed inspektorem Cailleux wszelkie marzenia i rojenia znikają. To była policja. Niebawem będę zmuszona mówić. Rzecz zaczynała wychodzić na jaw.

– To ty dostałeś środek nasenny? – zwrócił się inspektor do Willmouse'a i z kolei zapytał monsieur Dufoura: – Myśli pan, że to też sprawka Allena?

– Szef kuchni monsieur Armand mówi, że monsieur... że Allen zaniósł chłopcu na górę tacę. Tak przypuszczamy, ale na pewno nie wiemy.

– Możemy się domyślać. Co było na tacy? – zapytał Willmouse'a.

– Jedzenie – odpowiedział Willmouse. – To samo co na bankiecie.

Kurczak, grzanki i bezy. Pyszne bezy.

– A nic do picia?

– Sok z granatu.

– Naczynia po kolacji zostały zmyte – powiedział monsieur Dufour. – Więc nie ma żadnej pewności.

– Możemy się domyślać – powtórzył inspektor jego jasne oczy obserwowały Willmouse'a. – To dziecko coś wie.

– Co może wiedzieć dziecko w jego wieku?

Inspektor Cailleux wzruszył ramionami.

– Dzieci są wszędzie, jak owady. Mogą coś wiedzieć.

– Hm – mruknął monsieur Dufour w zamyśleniu. – On podobno spał dwa dni. To musiało być mocne.

– Narkotyki czy powód, dla którego go użył?

– Jedno i drugie – odrzekł Dufour. – Ale to ohydne. Usypiać narkotykiem dziecko.

– To był Allen – przypomniał mu inspektor Cailleux. – Mały ma szczęście, że żyje.

- O kim oni mówią? – szepnął do mnie gorączkowo Willmouse.
  - O tobie.
  - Dlaczego?
  - Bo przypuszczają, że... Eliot... cię uśpił.
  - E l i o t ?
  - Tak.
  - Dlaczego? Dlaczego? – pytał natarczywie inspektora Cailleux.
  - Bo, mój mały człowieczku, wiedziałeś coś, a on nie chciał, żebyś o tym mówił. To nie było ładne z jego strony, prawda?
  - To było głupie – odpowiedział Willmouse urażony. – Dlaczego nie poprosił mnie, żebym milczał? Nie potrzebował mnie usypiać. Mógł mi zaufać.
  - Czy ten człowiek był dla nich Bogiem? – spytał inspektor Cailleux.
- Robił się coraz bardziej zły; pytania padały teraz szybciej.
- Dlaczego posłał cię do łóżka?
  - Bo było już późno, a ja byłem na dworze.
  - Dlaczego byłeś na dworze?
  - Poszedłem na spacer.
  - Dokąd?
  - Nad rzekę?
  - Czy widziałeś tam coś?
- Są coraz bliżej... jak ogary, pomyślałam i poczułam dreszcz strachu.
- Widziałeś tam coś? – spytał rozkazującym tonem inspektor.
  - Widziałem barkę.
  - Jaką barkę?
  - „Marie France”.
  - Co ona robiła?
  - Nic – odrzekł zgodnie z prawdą Willmouse, ale inspektor Cailleux patrzył mu głęboko w oczy.

– Lubisz barki?  
– Nie.  
– A w tej było coś niezwykłego? Coś tam może zobaczyłeś? Co? – dopypywał się inspektor.

– Wolałbym raczej nie rozmawiać z panem – powiedział Willmouse.  
– Ja nie żartuję! – krzyknął inspektor Cailleux. Uderzył pięścią w stolik tak mocno, że aż się zatrzęsł. Vicky wybuchnęła płaczem.  
– To mi się nie podoba – łkała. – Ja chcę do mamy.

Jak na dany znak wszyscy zaczęliśmy płakać – z wyjątkiem Joss, która wciąż była jakby z dala od nas. Wstydziłam się, lecz łzy, nieznośnie ciężkie i gorące, napływały mi do oczu. Mama! Gdyby ona była tu z nami w tych strasznych chwilach! Ale nie było nikogo, nikogo, kto by nas wziął w obronę, drżeliśmy więc jak małe króliki, zagonione i zapędzone w kąt, gotowe dać się złapać w sidła. Płakaliśmy bezradni. Czekają nas jeszcze więcej okropności, ale wzruszyliśmy monsieur Dufoura, który zaproponował:

– Mówiłem panu, że to nie metoda z dziećmi.  
– Niektóre z nich to już nie dzieci.

Podskoczyliśmy. W progu stała mademoiselle Zizi. Na widok jej wykrzywionej twarzy nawet Vicky stłumiła łkanie.

– Wypytuje pan tamtych? Po co? Trzeba pytać tylko ją – wskazała na Joss. – Niech ją pan zapyta, skąd się wzięła drabina na trawniku pod jej oknem, dlaczego na trawie widniały ślady. – Przybiegła madame Corbet, ale mademoiselle Zizi odtrąciła ją. – Niech ją pan zapyta.

Inspektor Cailleux spojrział na Joss, która wstała jak uczennica w klasie. Ja wolno wstałam także, lecz nikt tego nie zauważył.

– Czy to jest dziecko? – pytała mademoiselle Zizi.

Zwróciła się teraz do monsieur Dufoura: – Widział pan na własne oczy, jak się zachowywała podczas tej kolacji. Paul stracił dla niej głowę. To

widział pan także. Zapytajcie ją, co było dalej. Pod jej oknem stała drabina.  
*Elle a couché avec l'un après l'autre.*

Nie rozumiałam słowa „spała” użytego w zdaniu: „Spała z jednym po drugim”, byłam tylko pewna, że w jakiś sposób jest to wstrętne i niesprawiedliwe, i przysunęłam się do Joss.

– Ona nie spała – powiedziałam. – Obudziła się. Przyszła do mego pokoju i wysłała mnie tam...

– C i e b i e ? – Wszystkie oczy zwróciły się na mnie.

– *Tiens!* Wcześniej zaczynają w Anglii – powiedziała mademoiselle Zizi.

– Nie bądź idiotką! – rzuciła mi ostro Joss.

– Te małe dzieci muszą stąd wyjść – powiedział monsieur Dufour podnosząc się z krzesła zgnębiony, ale Hester i malcy zsunęli się już z żółtych jedwabnych, krzesetek i podeszli do mnie i do Joss. Nie rozumieli, o czym mowa, ale wiedzieli, że coś nam zagraża, i lojalnie stanęli przy nas.

I znów poculiśmy się mali i samotni w tym francuskim domu. Monsieur Dufour był miły, ale troszczył się o mademoiselle Zizi. Tylko jeden człowiek mógłby stanąć w naszej obronie... Eliot... a on... Nie mogłam myśleć o tym dłużej. Przełknęłam ślinę i poczułam, że łyzy spływają mi do gardła.

– A więc wy obie! – powiedziała mademoiselle Zizi. – I ja coś takiego przyjąłam do domu.

Ładny ten twój dom! – W tej okropnej chwili o mało nie powiedziałam tego głośno. „Les Oeillets”, zielono-złote dni, miłość – i taki koniec!

W tej chwili usłyszałam jakiś dźwięk na dziedzińcu i wyjrzałam przez okno. Z tego okna mademoiselle Zizi tak często wypatrywała Eliota, nasłuchując warkotu rollsa. Wyjrzałam i zobaczyłam dużą bramę zamkniętą, tak jak była zamknięta pierwszego wieczoru, gdyśmy tu przyjechali. Została

teraz zamknięta przez policję. Dźwięk, który usłyszałam, był dźwiękiem dzwonka.

Nie wiem, jak go złowiłam wśród hałasu i zamieszania panującego w pokoju, ale dźwięk ten łączył się jakoś z dzwonkiem z tamtego odległego wieczoru. Jest z nami związany, pomyślałam zdumiona.

Policjant uchylił furtkę. Przez chwilę rozmawiał z kimś, a potem otworzył bramę.

W saloniku panowała wrzawa. Dwaj policjanci zerwali się z miejsc, a madame Corbet wyjaśniała im coś, wykrzykując nad naszymi głowami. Monsieur Dufour rozmawiał z mademoiselle Zizi i chyba ją łątał. Tylko jeden inspektor Cailleux stał przy swoim biurku i spokojnie się temu przyglądał.

– Zizi! Nie masz cienia dowodu – karmił ją monsieur Dufour.

– Nie mam? – napadła na niego. – A dlaczego musiałam wyprosić monsieur Jouberta z mojego hotelu? – Wszyscy umilkli i słuchali. – Mówili, że malują! – Wypluła z siebie te słowa. – Malowali!

Poczułam, że Joss drży, ale w tej samej chwili stało się coś tak przerażającego, że wszystko inne zbladło. Joss, dumna, pełna godności, prawie dorosła Joss skurczyła się jak mała dziewczynka.

– Mamo! Ja chcę do mamy! – załkała jak Vicky

Staliśmy wokoło niej, równie jak ona przerażeni.

– Pomóżcie mi! Pomóżcie! – łkała Joss.

Nie mogliśmy jej pomóc. Bo jak? Zaledwie rozumieliśmy, o co chodzi. Nie było już nikogo, kto mógłby nam pomóc, i niedługo, niedługo będę musiała... Bezradna, wśród łez spojrzałam w okno i zobaczyłam, że przez bramę wszedł jakiś mężczyzna. Ubrany był w popielaty garnitur i brązowy filcowy kapelusz; za nim szedł tragarz i na ręcznym wózku wioził dwie walizki. W mężczyźnie tym było coś bardzo znajomego; jego mała postać wydawała się kanciasta i ciężka na tym francuskim dziedzińcu, cera świeża

i różowa przy ciemnej, ziemistej cerze policjanta i tragarza; był w nim też jakiś cudowny spokój. Moje serce nagle uspokoiło się także. To był wuj William.

– Wuj William! – Okrzyk, który wydałam, wypełnił salonik. Nie wiem, jak wypadliśmy stamtąd, mijając mademoiselle Zizi, madame Corbet i monsieur Dufoura. Zdawało mi się; że usłyszałam głos inspektora Cailleux rozkazujący nam usiąść, ale nie słuchałam go i nikt nie słuchał. Wszyscy, nawet Joss, biegliśmy przez bar do hallu.

Wszedł tam właśnie wuj William. Joss rzuciła mu się w ramiona, ja objęłam go za szyję, Vicky i Hester tuliły się do jego nóg, Willmouse tańczył i skakał przed nim. Wuj William! Kochany, kochany, kochany wuj William!

## Rozdział osiemnasty

Nazywam się Bullock.

Krzywiliśmy się zawsze, bo myśleliśmy, że ludzie muszą się śmiać, kiedy się wuj William przedstawia, ale teraz nikt się nie roześmiał, a myśmy się nie skrzywili. Staliśmy tuż za nim. Hester kurczowo trzymała w ręku brzeg jego płaszcza.

– Bullock – powtórzył i położył na biurku swój wizytowy bilet. – Bullock, Roper i Twiss, spółka prawna w Southstone. To w hrabstwie Sussex w Anglii.

– *A votre service, monsieur* – powiedział inspektor Cailleux i przedstawił pozostałych: – Monsieur Dufour, monsieur Lemaître, monsieur Aubry. – Tamci skłonili się kolejno. – Madame Corbet – ciągnął inspektor Cailleux. Nie przedstawił mademoiselle Zizi.

– Mają państwo jakieś kłopoty? – spytał wuj William uściśnawszy im dłonie. – Policja...?



– Zapewne słyszał pan na stacji albo po drodze o tych wstrząsających wydarzeniach – powiedział sucho inspektor Cailleux.

– Nie słyszałem o niczym. Nie mówię po francusku – odrzekł wuj William. Jego spokojny, beznamiętny głos brzmiał cudownie kojąco. – Przyjechałem zabrać do Anglii moją siostrę, jeśli może już znieść podróż, i moich siostrzeńców – dodał stanowczo, patrząc na nas.

– Powiedziałeś, że nie przyjedziesz, i przyjechałeś! – wykrzyknęła Hester gładząc jego płaszcz.

– Skąd wiedziałeś, że powinieneś przyjechać teraz, właśnie teraz? – pytała Joss tuląc się do niego.

– Zostałem zawiadomiony – odrzekł wuj William.

– Zawiadomiony?

Wyswobodziwszy się z naszych uścisków wyjaśnił:

– To przyszło wczoraj. – Wyjął z portfela kawałek papieru i rozłożył go. Był to telegram. Przeczytał głośno:

– „Przyjechać natychmiast hotel les oeillets vieux-mou-tiers marna francja siostra pana w szpitalu dzieci gwałtownie powtarzam gwałtownie potrzebują pomocy”

– Ale kto to wysłał? – spytała madame Corbet.

– Nie ma podpisu – odpowiedział wuj William.

– Ktoś musiał to wysłać – odezwał się inspektor Cailleux i popatrzył po nas. Spróbowałam ukradkiem dotknąć ręki Hester, ale nie zdążyłam.

– Oczywiście Eliot – powiedziała.

– Eliot! – wykrzyknęli równocześnie Joss, mademoiselle Zizi, madame Corbet i inspektor Cailleux.

– Tak. On się z a w s z e nami opiekował – wyjaśniła rozpromieniona Hester.

– Idiota! – Krzyk mademoiselle Zizi wypełnił pokój. Rzuciła się i wyrwała wujowi Williamowi telegram z ręki. Zgniotła go w dłoni i zaczęła rwać zębami, ale ją schwycili. Inspektor Cailleux wydarł jej telegram, a

madame Corbet i monsieur Dufour szamotali się z nią, próbując ją przytrzymać, gdy wyglądano mały kawałek papieru i składano całość na stole.

- Châlons. Jedenasta dwadzieścia pięć wczoraj rano.
- Kierował się ku granicy niemieckiej – powiedział monsieur Dufour.
- Najwidoczniej – rzekł inspektor i rzucił krótko: – Dajcie mi do telefonu Lavallo'a. – Nagle zatrzymał się. – Nie, czekajcie. Châlons... – powtórzył zdumiony. – Ależ Châlons to tu blisko.

– C'est *vingt-et-un kilomètres* – powiedział mężczyzna stojący przy oknie.

– Dwadzieścia jeden kilometrów stąd wczoraj o jedenastej – powiedział inspektor Cailleux.

- Był tu na kolacji – przypomniał Dufour.
- Ale tylko do północy. Miał przynajmniej dziewięć lub dziesięć godzin czasu... Nie rozumiem... – Ale mówił to tak, jakby za minutę lub za parę minut miał zrozumieć. Zaczął spacerować po pokoju. Mademoiselle Zizi uspokoiła się i szlochała tylko, opierając się bezwolnie o madame Corbet.

- Czy możliwe, żeby szedł pieszo? – spytał monsieur Dufour.
- Przy obstawionych drogach?
- Może poszedł na przełaj?
- Do Châlons prowadzą przecież drogi – odrzekł z irytacją inspektor i spacerował dalej. – Gdzieś wolno, gdzie wiedział, że nie będziemy go szukać... Oczywiście. Szukamy wszędzie szybko. Bardzo sprytnie, monsieur Allen. Więc wolno... Vieux-Moutiers przez Châlons do Niemiec.

– Châlons? Ma pan na myśli Châlons-sur-Marne? – spytał wuj William swoim uprzejmym tonem. – Nad Marną?

– Marna! – Inspektor Cailleux zatrzymał się nagle. – Marna!

Wśród milczenia, w jakim trwaliśmy wszyscy, dobiegł od strony rzeki gwizd przepływającej barki.

---